

LEO KESSLER

**STALOWE
SZPONY**

OPERACJA CYTADELA

WYDAWCA
WYDZIAŁ

BATALION SZTURMOWY SS

STALOWE SZPONY OPERACJA CYTADELA

Przekład Joanna Jankowska

BATALION SZTURMOWY SS WOTAN

Tytuł oryginału CLAWS OF STEEL

© Copyright by Charles Whiting

WYDANIE PIERWSZE

Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2010

www.WydawnictwoErica.pl

Originally published in English by Spellmount Ltd under the title:

„CLAWS OF STEEL”

copyright text © Charles Whiting 1974,1986, 2004 Published by arrangement with „Agence de l'Est”

Literary Agency

The Author asserts the moral right to be identified as the Author of this work.

Kiedy wydam rozkaz, ruszycie naprzód z największą armią pancerną świata, jaka pojawiała się w historii wojen... by dwoma stalowymi szponami skruszyd życie sowieckiego węża.

Adolf Hitler do swych generałów, maj 1943 roku

KSIĘGA PIERWSZA

WIELKI PLAN

Całe Niemcy są już zmęczone. Do wszystkich diabłów, walczymy już chyba z połową świata. Niemiecki żołnierz musi być tak twardy jak dwóch razem wziętych Angoli, Jankesów lub Iwanów, a każdy esesman musi być jeszcze dwa razy twardszy niż zwykły szarak z Wehrmachtu!

Major Geier, dowódca Batalionu Szturmowego SS Wotan, do kapitana von Dodenburga, czerwiec 1944

roku

Mercedes wyłonił się zza zakrętu drogi biegnącej przez las Mauer w stronę Rasten*burga. Samochód od razu zwiększył szybkość. Po drugiej stronie jeziora Mauer wiosenna wichura łamała gałęzie prastarych buków i smagała powierzchnię wody biczącymi białej piany.

Siedzący w mercedesie wysocy stopniem oficerowie * ubrani w posępne szare mundury ozdobione tylko czerwonymi lampasami spodni, co wskazywało, że są sztabowcami * nie zwracali kompletnie uwagi na wiosenną scenerię wokół wschodniopruskiego jeziora. Sytuacja na froncie rosyjskim była zbyt poważna.

Stalingrad upadł, a dwierd miliona niemieckich żołnierzy, powłócząc nogami, poszło do radzieckiej niewoli. Dowódcy wiedzieli, że Fuhrer musi natychmiast podjąć prawidłową decyzję, bo jeśli nie, to front wschodni może się całkowicie załamać pod olbrzymim ciężarem Armii Czerwonej, który zwali się na niego już za chwilę.

Samochód generała pułkownika Modela zatrzymał się pod bramą numer 1 rejonu specjalnego I w

Wilczym Szaocu. Strażnicy z SS dziarsko zaszalutowali. Ale nawet czerwony na twarzy generał, z monoklem wciśniętym w prawy oczodół, dobrze znany w naczelnym dowództwie, musiał okazać dowód tożsamości. Mamrocząc pod nosem przekleostwa, generał przeszedł obok masywnego porucznika, który dowodził wartą, i spojrzał na ukryte w lesie posępne bunkry. Największe, jakie zbudowano w Prusach Wschodnich.

Zadowolony z okazania karty identyfikacyjnej porucznik stuknął regulaminowo obcasami i kazał podnieść szlaban pomalowany w biało*czerwone pasy. Samochód generała pułkownika Modela mógł przejechać.

Jeden za drugim, samochody pomalowane maskującą szarą farbą wjechały za nim. Gdy konwój ruszał z miejsca, Model pomyślał, że gdyby teraz spadły na niego bomby, to byłby koniec niemieckiej armii.

Przecież jechali w nim kluczowi dowódcy frontu wschodniego * Manstein, Guderian, Hoth * wezwani z najdalszych rejonów walk, aby wysłuchać, co zaplanował dla nich były kapral z bawarskiej piechoty.

Jednak szansa, że na kwaterę główną Hitlera spadną nieprzyjacielskie bomby, jest niewielka * myślał

dalej Model * nawet, jeśli Anglicy mają bombowiec zdolny tu dolecieć. Niskie betonowe zabudowania z płaskimi dachami zamienionymi na ogrody były znakomicie ukryte wśród wysokich buków. W zasadzie z powietrza nie można było ich dostrzec. W razie ataku z lądu Wilczy Szaniec był hermetycznie

odizolowany od świata zewnętrznego licznymi polami minowymi oraz blokadami drogowymi bronionymi przez elitarną straż przyboczną z Dywizji Leibstandarte. Cokolwiek by powiedzied o Hitlerze *

konkludował Model * nie był on głupcem, jeśli chodzi o własne bezpieczeństwo. Rosjanie czy Anglicy potrzebowaliby armii, by się tu wędzied.

Kilka chwil później konwój wiozący gene*ralicję przejechał przez ostatnią barierę, za którą swobodnie hasała Blondi, alzacka suka Fuhrera. Była gotowa chwycid każdego za genitalia, jeśli wydał się jej niepowołany do tego, aby wejśd do baraku naczelnego wodza, w którym miała się odbyd dzisiaj ważna konferencja.

Jodl, bladolicy szef sztabu Hitlera, przywitał ich u drzwi i poprowadził do pokoju z mapami, gdzie na wielkim dębowym stole leżały ogromne płachty planów z napisem „ściśle tajne”.

* Możecie panowie spocząd * powiedział, wskazując na wysokie drewniane taborety. *Oczywiście nie palimy w obecności Fuhrera. Proszę o tym pamiętać, Guderian.

Spojrzał przy tym wymownie na generała pułkownika Guderiana, ojca „wojny błyskawicznej”. Reszta zgromadzonych zaśmiała się przez grzeczność, gdyż wszyscy wiedzieli, że porywczy dowódca wojsk pancernych lubił palid tanie, dziesięciofenigowe cygara.

* Możecie, panowie, wziąd sobie coś lekkiego do picia * pokazał ręką butelki stojące na stoliku. * Dla tych, którzy mają ochotę na ulubioną przez naszego wodza wodę jęczmienną z sokiem pomarańczowym, to też tam stoi. Ale nie mamy nic mocniejszego. Obawiam się, że dostaniecie coś takiego dopiero po naradzie.

* Jodl * przerwał mu zirytowany Model

* to wszystko już słyszeliśmy wcześniej. Nim przyjdzie Fuhrer, przedstaw krótko sprawę. Do diabła, przecież wiesz, że nie chcemy stad z opuszczonymi do kolan gaciami, gdy zacznie zadawać te swoje kłopotliwe pytania!

Sprytne oczka szefa sztabu zapłonęły z niezwykłym jak u niego ożywieniem.

* Mogę ci powiedzied tylko tyle, Model, że ty, Hoth i oczywiście pan, feldmarszałku * tu skłonił się grzecznie w stronę von Mansteina

* macie do wykonania najważniejsze zadanie w swoim życiu. To, co nasz wódc ma do zaproponowania, będzie ogromnym...

* Panowie * przerwał chrapliwym głosem feldmarszałek Keitel * Fuhrer!

Momentalnie zeszywnieli jak gromada rekrutów spotykająca pierwszy raz sierżanta od musztry. Keitel z tępowym wyrazem twarzy, beznadziejnie głupi, jak zawsze poleciał dosłownie do drzwi, aby przywitać Adolfa Hitlera. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę wodza i wyszczał:

* Heil Hitler!

* Heil Hitler! * wyrzuciła z siebie grupka generałów, która kierowała przeznaczeniem niemieckiej armii przez ostatnie trzy lata, i wystrzeliła rękami w nazistowskim pozdrowieniu.

Adolf Hitler stanął w drzwiach. Zatrzymał się w dramatycznej pozie i przyglądał się każdemu ze zgromadzonych swym hipnotycznym wzrokiem, jakby w ich twardych, żołnierskich twarzach widział coś, co było znane tylko jemu; Manstein (Prawdziwe nazwisko Mansteina (1887*1973) brzmiało von

Lewioski, prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia.), sprytny i cyniczny, prawdopodobnie pół*Żyd *

tak przynajmniej przypuszczał Guderian * szorstki, ale błyskotliwy, w zasadzie idący w odstawkę, ale ciągle nie można było się bez niego obyć; Model, ciężki chłop i wielki pijak, ale lew obrony; no i Hoth, siwowłosa i cichy, lecz tak dobry, że miał zamiar powierzyć mu największą armię pancerną, jaką udało się Niemcom zebrać w historii wojen. W koocu wódz spuścił wzrok.

* Panowie, możecie usiąść.

Począł, aż zajmą miejsca na twardych, wysokich stołkach, a potem od razu przeszedł do sedna sprawy.

* Panowie, wiem, co niektórzy z was myślą. Przeżyliśmy okrutny odwrót spod Stalingradu. Muszę to przyznać. Dlatego niektórzy z was uważają, że powinniśmy przejść do defensywy.

Omiótł zgromadzonych wyzywającym wzrokiem, jakby oczekiwał potwierdzenia swoich słów, ale nawet Guderian zdołał zacisnąć usta i wbił gniewne spojrzenie w leżącą przed nim mapę.

* Ale nie przejdziemy do obrony. Bo wtedy bolszewicy rozdawaliby karty, a ja nie mam zamiaru grać w grę przygotowaną dla mnie przez tę żydowską klikę rządzącą Rosją sowiecką. Co to, to nie!

Przerwał na chwilę i wysunął do przodu szczękę, jakby wygłaszał dramatyczną przemowę na dorocznym święcie partii w Norymberdze.

* Panowie, jestem dumny, mogąc wam zakomunikować, że narodowosocjalistyczne Niemcy nie

zadowolą się tym, co zdobyły w Rosji przez ostatnie osiemnaście miesięcy! Nasze Niemcy przejdą ponownie do ataku!

Oparł mocno zaciśniętą pięść o blat stołu.

* W ciągu trzech miesięcy, panowie, przynajmniej przed początkiem lipca 1943 roku, znowu ruszymy na wschód * ponownie pomaszerujemy po zwycięstwo, tym razem ostateczne!

Nawet sztywne wyszkolenie wojskowe nie pomogło im ukryć pojawiającego się na twarzach zdziwienia.

Lekkie znużenie, które zazwyczaj malowało się na długim obliczu von Mansteina, zniknęło jak starte niewidzialną ręką.

Hitler uśmiechnął się delikatnie, zadowolony z wrażenia, jakie wywarły jego słowa. Potem jego twarz ponownie zastygła.

* Panowie, tego lata dwie wielkie armie niemieckie przejdą do ofensywy * ofensywy o decydującym znaczeniu. Musi się ona zakończyć się szybkim i ostatecznym sukcesem. Armie te otrzymają najlepsze jednostki, najlepszą broń, najlepszą amunicję, jaką mogą dostarczyć narodowosocjalistyczne Niemcy *

czyli to, co najlepsze na świecie.

Jego ciemne oczy rozpałił błysk podniecenia.

* Bitwa pod Kurskiem będzie punktem zwrotnym w historii całego świata!

* Kursk * westchnął do siebie Model. * To o to chodzi!

Hitler nabrał powietrza w płuca i nakazał, by zbliżyli się do map i spojrzeli na środek jednej z nich.

Generałowie szybko wstali ze stołków i zgodnie z jego rozkazem podeszli do stołu sztabowego.

* Jak widzicie, panowie, Rosjanie stworzyli wielkie wybrzuszenie w naszym froncie w okolicy Kurska. A to ogromne zagrożenie dla całego naszego frontu wschodniego. I stąd bez wątplenia będą chcieli rozpocząć swoją nową letnią ofensywę, która ma rozedrzeć nasze siły na części.

Generałowie pochylili się nad stołem i pokiwali głowami ze zrozumieniem. Chociaż w przeszłości często nie zgadzali się z byłym kapralem w kwestiach strategii, to wiedzieli, że w tej sprawie ma całkowitą rację.

Wysunięta pozycja Rosjan pod Kurskiem stwarzała ogromne zagrożenie.

* Jeśli zaatakujemy pierwsi, panowie * kontynuował Hitler * nie tylko uprzedzimy ofensywę

bolszewików, będziemy w stanie osłabić ich siły i ochronić front, ale jeszcze zdołamy wyjść na ich tyły. Po Stalingradzie nie spodziewają się, że będziemy w stanie zaatakować. Uwierzcie mi, czuję to w kościach.

Weźmiemy ich z zaskoczenia.

* Ale, mój Führerze, skąd weźmiemy do tego ludzi? * spytał Model, nim ktokolwiek zdążył

zaprotestować.

Hitler spojrział triumfalnie na ozdobioną monoklem twarz generała.

* Spodziewałem się tego pytania, Model. Potem zwrócił się w stronę swojego szefa sztabu.

* Jodl, może będziesz tak dobry i wyszczególnisz nasze źródła, gdyż są wśród nas tacy, którzy mają wątpliwości co do tego, czy jesteśmy w stanie przeprowadzić ofensywę.

Model zrobił się pąsowy na twarzy, nic nie powiedział, tylko odwrócił się w stronę Jodla.

Ten ostatni poczuł się w swoim żywiole. Nigdy nie był szczęśliwy na froncie, jego największą miłością był

sztab, gdzie ludzkie istnienia redukowane były do serii liczb lub czerwonych linii na mapach.

* Panowie, od czasu Stalingradu zbudowaliśmy największe siły, jakie był w stanie zebrać Wehrmacht. W

pierwszej linii natarcia będziemy mieli pięćdziesiąt dywizji, z czego szesnaście pancernych lub zmotoryzowanych. Znajdzie się w nich dziewięćset tysięcy ludzi z dziesięcioma tysiącami dział i trzema tysiącami czołgów. Wzpierad ich będzie dwa tysiące samolotów, a dalszych dwadzieścia dywizji będzie stało w rezerwie, złożonych z...

Bez chodby jednego spojrzenia w notes, który trzymał w szczupłych, zadbanych palcach, podawał kolejne dane liczbowe, podczas gdy jego koledzy, generałowie słuchali tego wystąpienia z narastającym podziwem.

* Krótko mówiąc, panowie * podsumował swój błyskotliwy monolog na temat sił przygotowywanych do ataku * robotnicy i władze cywilne III Rzeszy wkładają w wasze ręce najpotężniejszą broń na świecie, wiedząc, że sztab generalny Rzeszy Niemieckiej nie zawiedzie ich oczekiwań.

Przerwał i czekał, aż zawołana groźba wsiąknie w ich umysły, ale oni nie dostrzegali tego zagrożenia.

Byli zbyt speszeni oszłamiającą liczbą ludzi i uzbrojenia, które Hitler wyczarował znikąd do przeprowadzenia nowej, zaskakującej letniej ofensywy.

* Mój drogi Jodl * westchnął Model, wyjmując monokl z prawego oczodołu. Zaszokowany podanymi informacjami, zapominając całkowicie o obecności wodza narodu, spytał:

* Skąd, na moce piekielne, wzięłeś te wszystkie liczby?

* Ja ci odpowiem, generale pułkowniku

* odezwał się żywiołowo Hitler * z poświęcenia i woli zwycięstwa niemieckich towarzyszy

ludowych.

(Narodowosocjalistyczne określenie zwykłych obywateli III Rzeszy.)

Są gotowi podjąć trud osiemnasto*godzinnej pracy tylko za nędzne racje żywnościowe. Narażeni na terrorystyczne naloty angloamerykańskich gangsterów powietrznych

* wysyłają na wojnę również swoich siedemnastoletnich synów, aby Powiększona Rzesza Niemiecka mogła wreszcie osiągnąć historyczne zwycięstwo.

Głos Hitlera stawał się coraz donioślejszy, niesforny kosmyk czarnych włosów opadł mu na czoło, a w kącikach ust zebrała się piana.

* Dla was bitwa o Stalingrad była klęską. Ale dla mnie pewnego rodzaju zwycięstwem. Tak, zwycięstwem!

Znowu spojrzał wyzywająco na zebranych.

* Stalingrad zjednoczył naród. Tak jak Dunkierka wepchnęła dekadentów Anglików w objęcia tego starego żydowskiego opo*ja, Churchilla, tak samo Stalingrad postawił za mną cały naród niemiecki. Teraz ten naród maszeruje naprzód albo kroczy, jak mówiliśmy w czasie poprzedniej wojny. Teraz jest gotów poświęcić ostatni promyk energii * prawdziwą krew życia * dla tej walki o przetrwanie. Moi towarzysze z ludu wiedzą, co zwycięstwo pod Kurskiem będzie oznaczać dla narodowosocjalistycznych Niemiec!

Uderzył się gniewnie w zapadniętą pierś. Jego gardłowy głos z austriackim akcentem brzmiał z każdą chwilą coraz bardziej histerycznie, gdy krzyczał do swoich zdjętych trwożą generałów:

* Nasza broń pancerna zostanie zgromadzona w dwóch wielkich armiach po obu stronach wybrzuszenia.

Model, dostaniesz 9. Armię na północy. Ty, Hoth, 4. Armię na południu. Musisz jeszcze wiedzieć, Hoth, że powierzam ci moją elitę * dywizję Waffen SS.

Popatrzył świdrującym wzrokiem na siwowłosego dowódcę wojsk pancernych.

* Bardzo doceniam ten zaszczyt, mój Fiih*rerze * wyjął szybko stary generał. * jestem pewien, że...

Ale jego słowa trafiły w pustkę. Hitler nie słuchał go, tylko rozłożywszy szeroko ręce, ryczał na nich jak stary bawół:

* Kiedy rozkaz zostanie wydany, ty, Model i ty, Hoth, poprowadzicie do walki największe armie pancerne, jakie zgromadzono w historii wojen. Weźmiecie bolszewików z zaskoczenia, zmiażdżycie ich stalą pancerną * złożył gwałtownie ręce * skruszycie sowieckiego gada za pomocą... * prawie desperacko szukał odpowiednich słów * za pomocą dwóch olbrzymich stalowych szponów!!!

Sierżant Schulze z Batalionu Szturmowego SS Wotan wykonał jedno ze swoich słynnych pierdnień. Było przeciągłe i niepozbawione pewnej harmonii. Ale inni podoficerowie z 1. kompanii, leżący wokół niego w wysokiej trawie, słuchali wykładu kapitana von Dodenburga o nowym czołgu Tygrys i byli oczywiście zbyt leniwi, by zwrócić na ten fakt baczniejszą uwagę. Zadowolili się jedynie zdawkowymi uśmiechami skierowanymi w stronę krzepkiego hamburczyka w podzięcie za usiłowanie rozśmieszenia ich w ten gorący czerwcowy dzień.

Komediant z 1. kompanii wcale nie poczuł się obrażony takim zachowaniem towarzyszy. Gdy usiadł na pupie, a muchy, rozleniwione gorącem, brzęczały mu cicho wokół głowy, poczuł, że jest szczęśliwy.

Batalion nie brał udziału w walkach już od kilku miesięcy. Żona Schmeera * miejscowego Kreisleitara

* Waltraut robiła najlepsze sznycle w Westfalii

* chociaż wymagała w zamian, aby czasami

wcisnął w nią w ramach rewanzu kawałek swojego mięsa; a jej służąca Heidi miała największą parę wymion, jakie głaskał w swoim życiu. A chociaż trwało ono dopiero dwadzieścia siedem lat, widział już sporo podobnych cudów. Ziewnął potężnie jak obudzony Cyklop i starał się skoncentrować na wykładzie dowódcy kompanii na temat nowego czołgu.

* Ci z was, którzy mieli szczęście służyć w batalionie podczas kampanii w Rosji * tu skinął głową w stronę sierżanta Metzgera, najstarszego rangą podoficera w batalionie, który siedział obok niego * pamiętają zapewne, że PzKpfw IV z krótkolufową armatą kalibru 75 mm nie mógł równać się z sowieckim T*34.

Pociski odskakiwały od jego pochyłych płyt pancernych jak piłki golfowe.

Von Dodenburg otarł pot z opalonego na brąz czoła i skrzywił się z niesmakiem na tamte wspomnienia.

* Ale z tym dzieciątkiem będzie inaczej! Stuknął lekko palcem w przekrojowe plany

Tygrysa, które wisiały przyłączone do tablicy ustawionej na stojącym za nim statywie.

* Tygrys ma armatę kalibru 88 mm i jest ona najlepsza na świecie. Sam ma tyle amunicji, że może posłać do diabła całą brygadę czołgów Iwana * 92 sztuki do dział głównego i 5700 kulek do dwóch karabinów maszynowych. Sporo z nich jest ułożonych dookoła

wewnętrznego pancerza wieży, a reszta obok kierowcy.

Przerwał na chwilę, by zsunąć czarną czapkę z trupa czaszką na otoku na tył głowy, dzięki czemu ukazały się jego jasne włosy, wybielone jeszcze promieniami słońca.

* W trakcie szkolenia sami się przekonacie, kiedy fabryki zaczną dostarczać nowy sprzęt. Ale w

chwili obecnej, wiecie co...

* Ja wiem, panie kapitanie * przerwał mu Schulze, gdyż wiedział, że jego pozycja w batalionie jako czołowego komedianta, a do tego posiadacza Krzyża Rycerskiego, pozwala mu na dużą swobodę w stosunku do przełożonego. * Wiem, co chciałbym robić, panie kapitanie; wlać w siebie litr dobrze spienionego, zimnego piwa. Moje usta wysuszone są jak poczekalnia trzeciej klasy na dworcu głównym w Hamburgu * po czym oblizwał mocno spierzchnięte wargi, aby podkreślić, jakie cierpienie sprawiało mu pragnienie i spojrzał błagalnie, a zarazem bezczelnie na von Dodenburga.

Przystojny dowódca kompanii tylko się roześmiał.

* To cały ty, Schulze * powiedział bez cienia urazy. * Zawsze myślisz tylko o przyjemnościach. Zrobiłeś się miękki w tej Westfalii. Masz tu za dużo piwa i kotletów. A tylko Bóg wie, co nas może spotkać, jeśli znowu będziemy musieli walczyć w Rosji.

* O to właśnie mi chodzi, panie kapitanie!

* odparł sierżant. * Tylko otworzę gębę i zionę na nich. Mam tak suchy i gorący oddech, że spaliłbym nim Ruskich jak miotaczem płomieni.

Sierżant Metzger spojrzał na rozgadane go podoficera z rozdrażnieniem.

* Tylko z powodu gównianego drapania w gardle myśli, że wykpi się morderstwem

* mruknął.

Kapitan von Dodenburg zignorował go. Spojrzał na spocone twarze podoficerów siedzących na wypalanej i zgniecionej trawie, a potem powiedział:

* W porządku, herosi. Na dzisiaj to będzie już koniec.

Metzger szybko poderwał się na nogi. Pomimo czerwcowego żaru był ubrany, jakby miał iść na defiladę z okazji urodzin Fuhrera, a jego szeroką pierś zdobiły ordery. Na ramieniu zwiisał mu nawet sznur paradny, zwany małpią huśtawką.

(Slangowe określenie używane przez niemieckich żołnierzy na odznaczenie przysługujące strzelcom wyborowym.)

* Grupa, grupa bacność! * ryknął, jakby był oddalony od reszty towarzyszy o sto, a nie o dziesięć metrów.

Potem zamasyście zsalutował oficerowi.

* Mogę dać rozkaz do rozejścia się, panie kapitanie? * szczechnął.

Kapitan von Dodenburg niedbale przyłożył dłoń do daszka czapki.

* Ma pan zgodę na rozkaz do rozejścia się.

Kapitan von Dodenburg i Schulze wracali powoli w stronę kwater, które znajdowały się w cieniu, rzucanym przez ogromną romaoską katedrę w Paderborn. Reszta młodych podoficerów szła za nimi, utrzymując wyrażający szacunek dystans, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie ludziom, którzy walczyli ramię w ramię od 1939 roku.

* Co pan z tym wszystkim zrobi, panie kapitanie? * spytał Schulze, gdy już upewnił się, że nikt ich nie słyszy.

* Z czym zrobi, ty łobuzie?

* No, te nowe czółgi i cała reszta? Oficer wzruszył beztrąsko ramionami.

* Po prostu dostaliśmy nowe czółgi i tyle, Schulze.

* No, dalej, panie kapitanie * nalegał podoficer. * Każdy, kto ma klepki poukładane pod sufitem, wie, że jesteśmy strażą pożarną Fiih*rera. Gdy gdzieś zaczyna się dymid, to zaraz nas tam wysyłają do gaszenia ognia.

* Jak zawsze masz rację, sierżancie. Schulze puścił ironię mimo uszu i czekał na dalsze wyjaśnienia.

* Gdybyś znalazł trochę czasu na czytanie gazet, zamiast opychać głowę jedzeniem w domu Kreisleiters Schmeera i robić bez wątpienia inne niecne rzeczy, o których nie chcę nawet wiedzieć, to miałbyś świadomość, że na razie nigdzie się nie pali, a już w szczególności nie na froncie wschodnim. Marszałek

„Błoto” przejął dowodzenie od marszałka „Zimy”, więc żadna cholerna akcja nie ruszy obecnie na froncie.

* To kiedy my mamy zamiar coś podpalić? * sierżant nadal nie ustępował.

* Po co ten pośpiech? Schulze, ty mnie niepokoisz. Nie wiedziałem, że jesteś tak spragniony chwały!
*

żartował kapitan.

* Ja, spragniony chwały? * spytał posępnie hamburczyk. * Ja czuję pismo nosem!

Po czym dotknął palcem wskazującym swojego niemałego nocha.

* Ale to tylko między nami, panie kapitanie. Czas ucieka! Na ostatniej przepustce byłem w Hamburgu i już nie ma większej części Barmbeku, gdzie mój stary stracił życie. Angole ciągle zrzucają gówno z

góry, pomimo tego, co wyczyniają ci dziarscy chłopcy z Luftwaffe.

* Fuhrer wie wszystko na ten temat. On jeszcze załatwi naszych wrogów, uwierz mi! * Metzger włączył

się do dyskusji z pełną powagą, ściskając pod pachą plany nowego czołgu.

Na wspomnienie bombardowania ojczyzny twarz kapitana von Dodenburga momentalnie zachmurzyła się. Po czym potakująco kiwnął głową.

* Tak, masz rację, Metzger * powiedział powoli. * Zawsze możemy polegać na naszym wodzu.

Schulze nic nie mówił, gdy przechodzili przez brukowany plac katedralny, ale nie uszła jego uwadze niepewność malująca się na twarzy dowódcy.

* Tak, koledzy * mruknął do siebie ponuro. * Wreszcie dojrzeliśmy, co nie? Wreszcie dotarło do was, że ci Angole i Jankesi trzymają nas krótko za pysk, a my nie możemy wyjść z gówna, w które się wpakowaliśmy. Prawda, kapitanie von Dodenburg?

Zamyślony oficer szedł niespiesznym krokiem w kierunku budynku ewakuowanej szkoły, w którym obecnie mieściło się kasyno oficerskie. Minęły już trzy miesiące, gdy przybyli do tego prowincjonalnego, katolickiego miasteczka. Było mu przyjemnie w cieniu dwóch wysokich wież katedralnych, gdy

melodyjnie dźwięczały kościelne dzwony. Jednak uwagi wygłaszane przez Schulzego przed ich rozstaniem zasiały w nim ziarno niepokoju, z którego nie mógł łatwo się otrząsnąć.

Oczywiście miał rację. Ojczyzna była mocno doświadczana przez tych powietrznych gangsterów. Jego rodzinny Berlin też nieźle

ucierpiał w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a wiekowy ojciec kapitana, pan generał, zmuszony został, wbrew własnej woli, wyjechać do majątku w Prusach Wschodnich, gdzie od razu zajął się

organizowaniem obrony cywilnej, „w razie, gdyby pojawili się Sowieci”. Jednak na tym etapie wojny wydawało się to mało prawdopodobne. Ale to nie same bombardowania martwiły kapitana, lecz

nastroje panujące w kraju. Zmieniły się one znacząco od czasu, gdy batalion tak dumnie maszerował do natarcia na Rosję, dwa gorące lata temu.

Teraz cywile chwyтали się żałośnie każdej przyjemności, jak gdyby śmierć już czekała na nich zaraz za następnym rogiem. Była w tym jakaś desperacja, nerwowość i nienasycenie.

Nagle pomyślał o kobiecie, którą spotkał na przyjęciu podczas pobytu na urlopie w Berlinie. Od początku jej skromna, spokojna i ciemna sukienka (zabroniono noszenia czerni) wskazywała, że jest wojenną wdową * wydawało się, że jak wiele niemieckich kobiet żyje tylko dla ostatecznego zwycięstwa. Ale po kilku kieliszkach alkoholu zaczęła się rozluźniać i poczuł, jak jej dłoń wślizguje się badawczo po nogawce do jego spodni. Dwa razy ją odtrącał, myśląc, że może nie nawykła do alkoholu i straciła nad sobą kontrolę. Ale gdy usiłowała rozpiąć mu rozporek, podczas gdy otaczający ich ludzie śpiewali i tańczyli, wiedział już, że ma do czy

nienia ze zdeterminowaną i doświadczoną kobietą, która ma chęć na chwilę rozkoszy. Pół godziny później znaleźli się w jej mieszkaniu. Wskoczył goły do małżeńskiego łóżka, podczas gdy ona pijackim ruchem usiłowała ściągnąć z siebie pantalony. W nocy chichotała.

* Pierwszego zabili w Polsce w trzydziestym dziewiątym roku * Krzyż Żelazny II Klasy. Drugiego rozerwało na kawałki w Zagłębiu Ruhry * Krzyż za Zasługi Wojenne 1 Klasy. Wszystko staje się coraz większe i lepsze

* ojej, tak jak ta zachwycająca obrączka na moim palcu.

Ta nieznaną wdowa nie była jedyną w trakcie jego dwutygodniowego urlopu w Berlinie. Ale tu nie chodziło tylko o kobiety; do tego dochodził czarny rynek, spekulanci i cała banda służb tyłowych uczonego kwatermistrzostwa i sztabów, które robiły się blade ze strachu na wspomnienie o froncie wschodnim.

* Halo, kapitanie von Dodenburg! * wyrwał go z zadumy dziewczęcy głos. * Jak się pan miewa?

Odwrócił się lekko przestraszony. To była Katrin Schmeer, jedyna córka miejscowego Kreisleitara.

Patrzyła na niego, ubrana w czar*no*biały strój BDM.

(Bund Deutscher Madel (BDM) * sekcja żeńska nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend.) Miała żywe, jasnoniebieskie, błyszczące oczy i oprócz teczek pełnej podręczników szkolnych, którą dźwigała zawieszoną na ramieniu, nic więcej nie wskazywało, że jest jeszcze uczennicą. Była wysoka, dobrze zbudowana, ze zgrabnymi opalonymi na brąz nogami oraz pełnymi piersiami, które jak się wydawało, przy głębszym wdechu mogły rozerwać jej obcisłą jedwabną bluzeczkę.

* A, to ty, Karin * stwierdził z przesadną grzecznością. * Wracasz ze szkoły?

* Nie. Już dawno skooczyłam. Byłam na zebraniu organizacji. Ta lesbijka * rejonowa szefowa związku *

marudziła o antykoncepcji i niemieckich kobietach.

Kokieteryjnie zmarszczyła nos.

* Jakby coś na ten temat mogła wiedzieć, prawda?

Kapitan z niedowierzaniem pokręcił głową.

* A ty skąd się dowiedziałaś o takich rzeczach, Katrin, w twoim wieku?!

* Mam już prawie szesnaście lat. W Indiach mogłabym być już matką * i to nawet dwa razy * powiedziała z przekonaniem i dumnie wypięła pierś. * Byłbyś zaskoczony moją wiedzą, kapitanie von Dodenburg.

Momentalnie lekko przymknęła powieki ozdobione długimi rzęsami i spojrzała * w swoim mniemaniu *

uwodzicielsko.

Kapitan von Dodenburg roześmiał się pomimo ponurego nastroju.

* Na pewno masz rację, Katrin * dotknął dłonią daszka czapki. * Wyraży szacunku dla taty, Kreisleitara.

Dziewczyna dygnęła kurtuazyjnie, pozwalając mu na szybkie spojrzenie w zagłębienie między jej piersiami. Potem ruszyła prędko w swoją stronę, kołysząc prowokacyjnie biodrami, zupełnie nie w stylu porządnej panienki.

Gdy kapitan wszedł do sali, dowódca batalionu Wotan siedział na kawaleryjskim siodle ustawionym w samym środku kasyna. Machał nogą odzianą w nieskazitelnie czyste oficerki i z zadziwiającą regularnością gniewnie smagał trzcinką dżokejską cholewkę buta.

* Ach, to ty, von Dodenburg * stwierdził zachrypniętym głosem, z trudnym do pomylenia pruskim akcentem, po czym wcisnął mocniej monokl w oczodół, obok którego sterczał monstrualnych rozmiarów nos, który zjednał mu przydomek „Sęp”.

* Rzucisz na to okiem?

* Na co, panie majorze?

* Na to * powiedział major Geier i zeskoczył z siodła z gracją kawalerzysty * którym zresztą kiedyś był, nim dołączył do SS, licząc na szybszy niż w armii awans. Podszedł do podwładnego. * Na raport tego cholernego, głupiego nadgorliwca, jakim jest zastępca porucznika Schwarza, dowódcy 2. kompanii. Ten tępy łeb zabrał swoich ludzi do idiotycznego muzeum antropologicznego w Berlinie * bez mojej zgody

*ado tego miał jeszcze czelność złożyć raport o tej wycieczce.

Z irytacją trzepnął trzcinką w zwinięte w rulon kartki papieru.

* A to wszystko o różnicach długości piszczeli między Żydami i Aryjczykami, i podobnych bzdetach.
Z

tęgo, co wiem, cały pobyt w Berlinie spędzili, mierząc długość żydowskich napletków, lub robili podobne głupoty... * przerwał, bo wściekłość nie pozwalała mu dalej mówić.

Kapitan von Dodenburg w ostatniej chwili przygryzł wargi, by nie wybuchnął śmiechem.

* Rozkazy Reichsführera * szczechnął w wojskowym stylu * wszystkie oddziały mają być szczegółowo poinformowane o germaoskiej wyższości rasowej.

* Wyższość rasowa! * wybełkotał Sęp, tocząc pianę. * Co, do diabła, ten Himmler sobie wyobraża, że gdzie jesteśmy? W szkółce dla dzieci, które nadal trzeba karmić dziecinnymi łyżeczkami? A może jednak jesteśmy elitarnymi, tak wyszkolonymi żołnierzami, aby unikać kul, które nie uznają różnic między gościem, który ma napletek na metr długi i żydowskim kapłanem, który chce go dopaść z tępą brzytwą, co?

Kapitan pomyślał, że w tej sytuacji lepiej być cicho. Kiedy Sęp się wściekał, był nieprzewidywalny, szczególnie wtedy, gdy reputacja lub skuteczność działania jego ukochanego batalionu była podważana.

Major ruszył energicznie w kierunku wielkiego okna balkonowego, trzaskając trzcinką o cholewki buta.

Po chwili obrócił się gwałtownie, skierował ją w stronę oficera, po czym stwierdził odkrywczo:

* To wszystko do siebie pasuje, von Dodenburg. Batalion mięknie, rozkleja się. Nie ma wszy, głodu, Rosjan strzelających do nas ani żołnierzy rozrywanych na kawałki. W zeszłym roku o tej porze kopali w okopach jak banda kundli, aby znaleźć coś do jedzenia; a ostatniej zimy niektórzy z nich starali się zastąpić racje „starego dziadka” (Pogardliwa nazwa wojskowych puszek z mięsem.) czymś, co mogło przypominać ludzkie mięso.

Spojrzał ponuro na von Dodenburga.

Młody oficer wiedział, co dowódca miał na myśli. Ostatniej zimy, gdy głodowali w nędzy na Kubaniu, raporty donosiły o przypadkach kanibalizmu w dywizji. Wtedy, gdy zawiodło zaopatrzenie, Schulze lubił

koszmarnie żartować, żeby do zupy na koninie * zamiast mięsa tych zwierząt, którego od dawna brakowało

* dodać kilku „byków kuchennych” czyli kucharzy.

* Oni miękną, von Dodenburg, a ja nie mam zamiaru się temu przyglądać. Nim wojna się skończy, mam zamiar zostać generałem, tak jak wcześniej mój ojciec, a nasze żółtodzioby mają mi pomóc zdobyć gwiazdki generalskie i to bez względu, czy tego chcą, czy też nie.

* Oni są zmęczeni * zaproponował delikatnie kapitan.

* Oczywiście, że są * burknął Sęp. * Całe Niemcy są zmęczone. Na Boga Wszechmocnego, przecież jakby nie było, walczymy z połową świata! * wskazał trzcinką prawie oskarżycielsko w stronę von Dodenburga.

* I właśnie dokładnie z tego powodu musimy być twardzi. Niemiecki żołnierz musi być dwa razy lepszy niż żołnierz Angoli, Janke*sów czy Iwanów, a członek Waffen SS musi być dwa razy bardziej zahartowany niż zwykły szarak z Wehrmachtu. Chyba jesteśmy elitą narodu, prawda?

Jego brzydką twarz wykrzywił cyniczny grymas, a von Dodenburg od razu wiedział, o co chodzi.

Dla Sępa Waffen SS było ważne tylko ze względu na szybszy rozwój kariery. Nie miał najmniejszego zamiaru poświęcać się dla sprawy narodowego socjalizmu. Major Geier lubił chwalić się w kasynie oficerskim: „Nig*

dy w życiu nie brałem udziału w żadnych wyborach. Nigdy nie czytałem żadnych książek od czasu skooczenia szkoły. Chyba że były to raporty wojskowe i nic więcej mnie nie interesuje poza tymi cholernymi gwiazdkami generalskimi.

* Czy uważa pan, że wkrótce wyślą nas na front? * spytał kapitan po lekkim wahaniu, nie chcąc słyszeć skierowanej do siebie kolejnej tyrady.

* Tak. Dzisiaj rano dostałem polecenie postawienia dywizji w stan pogotowia. Ogłoszono alarm trzeciego stopnia.

* Ale dokąd ruszamy?

* Tego nie wiem, ale mogę zgadywać, że będzie to front wschodni * Sęp lekceważąco wzruszył ramionami. * Znowu te cholerne Iwany.

Zamyślony, z pochyloną głową oddalił się od okna.

* Ale nasi ludzie jeszcze nie są na to gotowi, von Dodenburg. To nie są ci sami, którzy ruszali z nami pierwszy raz do Rosji. Nie mają tego samego ducha.

Nagle podniósł głowę i spojrzał wyzywająco na młodego kapitana.

* Ale na Boga, wleję w nich ten sam zapał, nawet gdybym miał zedrzed z nich skórę.

Trzepnął energicznie trzciniowym patykiem w blat najbliższego stołu.

* Na wszystkie demony, von Dodenburg, kiedy ten batalion wyruszy ponownie na wschód, ma stać się najlepszym oddziałem w armii. A teraz posłuchaj, co zamierzam zrobić, gdy przybędą Tygrysy...

TRZY

Wśród weteranów Batalionu Szturmowego Wotan było więcej żołnierzy, którzy podobnie jak Sęp i von Dodenburg byli zaniepokojeni stanem III Rzeszy. Pośród nich znajdował się również sierżant Metzger. A to z powodu Lory, jego ponętej, pulchnej, jasnowłosej żony, która po jego rocznym pobycie w Rosji nie przyjęła go tak gorąco, jak się spodziewał. W trakcie długiej, trzydniowej podróży powrotnej pociągiem chwalił się swoim kolegom podoficerom:

* Drugą rzeczą, którą zrobię, będzie wywalenie wszystkiego z plecaka, a potem powiem jej, aby napatrzyła się na podłogę, bo przez kilka następnych tygodni będzie gapie się z łóżka tylko na sufit.

Chryste, jestem tak napalony, że nie mogę wstać bez wydymania na stole blaszanej miski z kantyny!

Ale wszystko przebiegło inaczej. Lora była dosyć posłuszna i spędzili jego pierwsze czterdzieści godzin urlopu w ogromnym, staromodnym, stojącym w wynajętym mieszkaniu małżeoskim łożu, znad którego z ram

barokowego obrazu Jezus i Apostołowie spoglądali na nich z dezaprobatą. A jej jakoś brakowało ognistej pasji, jakiej spodziewał się po wyposzczonej seksualnie kobiecie, która od ponad roku nie miała kochanka. Gdy w pewnej chwili sięgnął pod łóżko po nową prezerwatywę i kolejny łyk dobrego

westfalskiego piwa z butelki wyjętej ze skrzynki stojącej na podłodze, zauważył przypadkiem, że jego partnerka ziewa szeroko, jakby była znudzona całą sytuacją.

* Ja właśnie * zauważył więcej niż raz, mówiąc do swych kumpli, gdy siedzieli w piwnicznej knajpie Ratskeller, gdzie chodzili każdego popołudnia po dwiczeniach * wsadzałem w nią armatkę, spuszczałem sok, tyłek mi podskakiwał jak łokied żydowskiemu skrzypkowi, a ona ziewała, jakbym drapał ją po swędzących plecach!

Sierżant Metzger nie był człowiekiem nachalnie inteligentnym. Co więcej, „Rzeźnik”, jak lubił siebie nazywać, był ogólnie uważany przez innych podoficerów za tępego, rogatego woła. Ale nurtujące go wciąż nieprzyjemne podejrzenie zaczęło rozrastać się powoli i skutecznie w jego tłustej, zamulonej głowie. Z jego pulchną Lorą coś było nie w porządku.

Tak właśnie mówił w Ratskeller kolegom od gry w skata w czasie pijackich zwierzeo, w kilka tygodni po powrocie z Rosji.

* W tym musi się kryć coś cholernie paskudnego, chłopcy. Duża, zdrowa baba powinna chcieć się kochać każdej nocy, prawda? Szczególnie że nikt dawno jej nie ugryzł. Ale jak odkryję, że ktoś jeszcze dobiera się do jej majtek, to zrobię... to zrobię...

Jego groźba nie została do końca wypowiedziana, ale szybki ruch ręki wyszkolonego rzeźnika pokazał, że obetnie coś, co sterczało u każdego faceta.

Siedzący wokół niego towarzysze ze spoconymi i zaczerwienionymi od alkoholu twarzami, nie mieli

wątpliwości, co się stanie z domniemanym kochankiem, gdy dopadnie go rozjuszony, zdradzany mąż.

Kilka razy koło południa Metzger podkradał się do domu, ale zawsze zastawał Lorę samą, krzątającą się po zakurzonej mieszkanie w sennej nudzie. Kiedyś wysiadł z terenowego volkswagena, który podjeżdżał

po niego każdego poranka, zaraz za rogiem pierwszego budynku, podbiegł w stronę mieszkania i spędził

kilka godzin, obserwując je z okien sklepu tytoniowego Hackenschmidta, znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Ale nikt podejrzany się nie pojawił.

W końcu zdecydował się na przekupienie młodego, szesnastoletniego Mario Marconiego * z

błyszczącymi czarnymi włosami i olśniewająco białymi zębami * który zajmował się

budynkiem z apartamentami, podczas gdy jego rodzice pracowali jako „ochotnicy” w fabryce zbrojeniowej w Paderborn, aby obserwował Lorę i donosił mu, czy ktoś podejrzany nie kręci się w jej pobliżu.

Jednak, chociaż ten mały włoski zjadacz makaronu wykonywał swoje zadanie z zaskakującą lojalnością i starannością jak na maka*roniarza, też nic nadzwyczajnego nie odkrył, poza pojedynczą wizytą młodego kapelana z katedry, który przybył do ich mieszkania w błędnym mniemaniu, że Lora jest nadal katoliczką.

* Wiesz, ksiądz * wołał podniecony chłopak, stojąc u podstawy ciemnych schodów, gdy Metzger wracał

chwiejnym krokiem z Rat*skeller. * Oni są zdolni do wszystkiego, proszę pana.

Potem wsadził palec wskazujący prawej ręki w kółko stworzone przez złączone zagięty kciuk oraz palec wskazujący lewej ręki, naśladując obrazowo ruchy kopulacyjne.

* Oni nie mają dziewczyn. A zawsze o nich myślą.

Potem jeszcze raz powtórzył obsceniczne gesty, patrząc w górę na twarz wielkiego Niemca, a jego czyste, czarne oczy płonęły gorączką.

Ale Metzger dosyć brutalnie odepchnął go na bok.

* To nie to, ty gówniany zjadaczu makaronu * burknął * te czarne gawrony nawet nie wiedzą, do czego, poza sikaniem, ten sprzęt może służyć. A nawet gdyby wiedzieli, to i tak wolą walid konia, bo w innym wypadku mogą trafić do piekła. To dlatego te czarnuchy mają dłonie zarośnięte włosami, bo zawsze tak się dzieje, gdy ktoś za często trzepie fujarę.

Po tych słowach poczłapał chwiejnie po schodach.

Ale w tym samym tygodniu, gdy na stację kolejową w Sennelager przybyły pierwsze Tygrysy z fabryki w Stuttgarcie, sierżant Metzger uzyskał coś, co mu się wydawało pierwszym dowodem na to, że jego podejrzenia w stosunku do Lory były uzasadnione. Jak zwykle Mario spotkał go w ciemnym holu klatki schodowej i złożył tradycyjny raport.

* Nic nowego, signor * powiedział, energicznie potrząsając ramionami. * Nikt nie przychodził.

* A może ty przychodziłeś? * spytał Metzger, naśladowując jego łamaną niemczyzną, i wskazał na otwarty rozporek chłopaka. * Bawiłeś się ptaszkiem, Mario?

Młodziutki Włoch zaczerwienił się ze wstydu i zaczął grzebać przy guzikach rozporoka, a roześmiany głupawo Metzger ruszył obok niego w górę schodów. Ale radość zniknęła

z jego duszy i twarzy, gdy Lora * i to nawet nim zdążył otworzyć drzwi * zawołała:

* Wytrzymaj te swoje cholerne buciory, nim wejdiesz do domu. I nie oblizuj się, słyszysz?

Metzger mruknął coś do siebie i spojrzał na drzwi takim wzrokiem, że przeciętny rekrut „posikałby się w majtki ze strachu”, jak lubił się przechwalać podczas pijaństwa z kumplami. Jednak wykonał potulnie jej polecenie, zanim wszedł do maleckiego mieszkania.

Lora, pulchniutka blondynka, z jakiegoś powodu mocno zarumieniona, leżała rozciągnięta na sofie w halce zrobionej ze sztucznego jedwabiu i to w taki sposób, by było widać, że nie ma na sobie majtek.

Chyba z gorąca * pomyślał sierżant.

* Wytarłeś je? * spytała, nawet nie patrząc na niego.

* Jasne * warknął. * Wytarłem te gówniane podeszwy.

* Nie musisz tak się drzed, nie jestem głucha * zrugwała go, zarzucając beztrósco nogę na oparcie sofy.

Uchwycił spojrzeniem coś czarnego i włochatego na tle jej miękkich i białych ud.

* Musisz zawsze tak siedzieć dyspozycyjnie rozwalona? * spytał, odpinając z ulgą pas z kaburą pistoletu.

* To znaczy, jak mam siedzieć? * rzuciła wyzywająco.

* Wyglądasz jak pięciomarkowa dziwka z burdelu na Reeperbahnie (Dzielnica czerwonych latarni w Hamburgu.) * odpowiedział, szarpiąc ciasny kołnierzyk munduru.

Potem wskazał grubym jak kiełbasa paluchem na błyszczące cekiny naszyte na halce.

* Jak wiesz, jestem starszym podoficerem w Leibstandarte, który przelewał krew za ojczyznę, naród i Fuhrera i mam stosowny status społeczny!

* Jedyne, co cię interesuje w tym statusie, to twój brzuch * odparła pogardliwie * i wsadzanie we mnie fiuta. Tylko to masz w tym swoim pustym łbie!

* No, mała, uważaj! * ostrzegł ją, groźnie unosząc pięść do góry.

Miał wielką ochotę ją trzepnąć, ale po kolacji chciał się z Lorą trochę zabawić, a poza tym było zbyt gorąco na kłótnię. Zadowolony się opadnięciem na krzesło i odepchnięciem jej prawej nogi.

* Buty!

Z westchnieniem usiadła okrakiem na cholewce buta założonego na wyciągniętą do przodu nogę. Jej tłusciutki tyłek znalazł się tuż przed nim, a kształtne pośladki wydały mu się bardzo zachęcające.

Momentalnie przyszła mu ochota, by wymierzyć w nie solidnego klapsa, ale ostatecznie powstrzymał się. Zamiast tego oparł o jej pośladek lewą stopę i pchnął nią mocno do przodu. Prychając cicho, ściągnęła buta z jego nogi i rzuciła go na dywan.

* Następny! * powiedziała * i nie wsadzaj mi tak mocno stopy w krocze, bo to boli!

Już zastanawiał się, czy nie dać jej starej wojskowej riposty, ale zdał sobie sprawę, że to bez sensu, bo nosił buty rozmiaru jedenaście, więc się powstrzymał.

* Może następnym razem założysz gacie, to będzie mniej boled. Jak by to wyglądało, gdyby Mario wszedł

tu nagle i zobaczył cię w takiej pozie? Wiesz przecież, jacy są ci ma*karoniarze * jedno pociągnięcie nosem i już im ptaki sztywnieją.

Sam pociągnął nosem i coś przez chwilę rozważał.

* No, może nie Mario, bo to dobry chłopak i jest trochę za młody na takie zabawy. On jest zbyt zajęty ręczną robotą, to bardziej prawdopodobne. Ale jego ojciec, on może być inny.

* Jesteś obrzydliwy * powiedziała Lora, szarpiąc za cholewkę drugiego buta. * Ty tylko o tym myślisz.

Odwróciła się i popatrzyła na niego gniewnie, pieczołowicie chowając jedną z obfitych piersi, która uciekła z czarnej halki.

* Tylko Bóg jeden raczy wiedzieć, jak ty potrafisz spełniać swoje obowiązki, jeśli masz w głowie tylko takie świstwa jak te. Mario, doprawdy!

Odrzuciła do tyłu blond włosy.

* Przecież on ma dopiero szesnaście lat! Metzger nadał policzki, udając, że się

obraził.

* Dobra, dobra! Jak człowiek walczy za ojczyznę przez dwanaście miesięcy z dala od domu, to po powrocie może spodziewać się czegoś więcej niż... * nie dokończył swojej zwyczajowej skargi, bo u drzwi wejściowych rozległ się głośny dźwięk dzwonka.

Metzger poderwał się z miejsca.

* Kto, do wszystkich diabłów, dzwoni do drzwi o tej porze! * zawołał niecierpliwie. * Co to jest * jakiś obóz przejściowy czy...

Przerwał w pół zdania, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich sam Kreisleiter Schmeer w przepoconej, ogromnych rozmiarów koszuli partyjnej. W zgiętej w łokciu ręce trzymał metalową skrzynkę i dyszał, jakby pierdziały westfalskie świnie, których był hodowcą do 1933 roku, nim został rejonowym przewodniczącym partii.

* Pomoc zimowa * zarechotał, wesoło potrząsając skrzynką. * Kilka fenigów dla chłopców na froncie.

W tym momencie zauważył Metzgera.

* A, to ty! Nie wiedziałem, że wróciłeś do domu.

Lora prędyutko pobiegła do sypialni, aby znaleźć szlafrok, a oczy Schmeera pożądliwie śledziły dobrze zaokrąglone pośladki kobiety.

* Nie chciałbyś kupować czegoś takiego na kilogramy, co Metzger? * powiedział i puścił znacząco oko. *

Chryste na krzyżu, za gorąco jak na czerwiec!

Me czekając na dalsze zaproszenie, rzucił się na najbliższe krzesło, aż antyczne sprężyny zaskrzypiały w proteście, że spadł na nie taki ciężar. Grubas wyciągnął z kieszeni dużą brązową płócienną chustkę i wytarł nią błyszczącą od tłuszczu twarz.

* Musiałem chyba już przejść z dziesięć gównianych kilometrów, potrząsając tą puszką. Dlaczego te zdrowe dzieciaki z Hitlerju*gend nie zajmują się tą zbiórką? Nigdy się tego nie dowiem!

Ale potem z humorem dorzucił.

* My, starzy towarzysze musimy dbać, aby sztandar nadal powiewał, co?

Oblizwał znacząco usta.

* Ale to strasznie wysusza!

Chciałbyś się schłodzić jakąś blondynką?

(Niemieckie określenie oznaczające zarówno kobietę o blond włosach, jak i jasne piwo.)

* wtrąciła się Lora, która ponownie weszła do pokoju i obwiązywała paskiem szlafrok, który ledwo co skrywał jej obfity biust.

* W moim wieku? * spytał Schmeer, ponownie puszczając oko do Metzgera. * Już jestem na to trochę za stary. Zostawiam to takim młodzieniaszkom jak twój mąż. Ale nie odmówię piwa!

* No, słyszałeś, co powiedział Kreisleiter? * rzuciła szybko Lora w kierunku oszołomionego Metzgera, który nadal nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia, jakim była wizyta tak ważnego urzędnika partyjnego w ich skromnym, wynajętym mieszkaniu.

* Oczywiście... oczywiście * wyjąkał i ruszył w kierunku kuchni,

* Mały kieliszeczek wódki też by mi nie zaszkodził pomimo upału * zawołał za nim Schmeer. * Do tego człowiek nie może stać na jednej nodze!

Metzger wrócił w samą porę, by zauważyć, że dłoń partyjniaka odrywa się od pulchnego kolana Lory.

* A to bękart * buchnął gniewem w myśli sierżant, potrząsając tacą z piwem i szklankami dzinu tak mocno, że szkło prawie pospadało na podłogę.

Schmeerowi nawet nie mrugnęła powieka. Chwycił jednym ruchem butelkę piwa i zręcznie otworzył, po czym podniósł ją, wznosząc toast na cześć Lory:

* Za panie * niech będą błogosławione * zarechotał, a potem zwrócił się do sapiącego Metzgera. * I za ciebie kolego, niech noc będzie chociaż chłodna!

Wziął głęboki łyk piwa i beknął z ukontentowania.

* To jest to, co nazywani „obycie się szklanką piwa”, Metzger.

Po czym wziął niewielki łyk dzinu.

* Ale tego właśnie szukam w gospodarstwie pani sierżantowej Metzger, prawda moja droga?

Ponownie położył rękę na kolanie Lory. Metzger ledwo panował nad sobą.

* Co pan ma na myśli, panie Kreisleiter?

* No * rzekł serdecznie Schmeer. * Zawsze lubię widzieć, czy żony naszych towarzyszy ludowych, wykonujących swoje obowiązki w stosunku do narodu, ojczyzny i Fuhrera na froncie, otoczone są serdeczną opieką. Mógłbyś powiedzieć, że jestem jak jeden z tych księży, którzy odwiedzają swoich parafian. Każdego tygodnia, gdy wy byliście w Rosji, obchodziłem wasze domostwa, Metzger, a u

pani sierżantowej zawsze coś na mnie czekało, prawda Lora?

* Tak, panie Kreisleiterze * mizdrzyła się kobieta, gdyż pochlebiało jej zainteresowanie tak ważnej osobistości.

Ja ci dam, „coś na mnie zawsze czekało”, ty tłusty świniopasie * przeklinał w myślach sierżant. Więc to tak wyglądało. To Kreisleiter był amatorem cudzych owoców! To on był tym, który podłączał się do Lory, gdy on mozolnie walczył na froncie i ryzykował życie dla Wielkiej Rzeszy Niemieckiej!

Nalał kolejną porcję dżinu grubasowi, fałszywie uśmiechając się swoją szeroką, głupawą gębą. Sierżant Metzger obiecał dozogonną nienawiść Kreisleiterowi, Adolfowi Schmeerowi.

Purpurowy na twarzy Kreisleiter był zaabsorbowany przerzucaniem do własnej kieszeni części pieniędzy, które zebrał w domach stojących w pobliżu romaoskiej katedry, gdy niemal wpadł prosto na porucznika Schwarza. Chociaż robiło się już szaro, a on sam nie był zbyt trzeźwy po wypiciu dżinu w domu sierżanta Metzgera, od razu rozpoznał niewielkiego oficera SS.

* Schwarz * zawołał z radością i wystrzelił w powietrze prawą ręką w hitlerowskim pozdrowieniu.
*

Porucznik Schwarz z Leibstan*dartel

Porucznik troskliwie przycisnął dłoń do paradnego sztyletu oficerskiego, który był osobistym prezentem Reichsführera Himmlera i popatrzył na rozmówcę takim wzrokiem, jakby gruby członek partii mógł być przebrany Rosjaninem.

* A ty kim jesteś * zapytał bezdźwięcznym głosem. * Skąd znasz moje nazwisko?

* Schwarz, siostrzeniec niedawno zmarłego generała Heydricha.

(Reinhard Heydrich (1904*1942), szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) i gubernator Protektoratu Czech i Moraw, zabity przez czeskich cichociemnych w maju 1942 roku.)

Wszyscy w partii wiedzą o tobie, poruczniku. Nie jesteśmy przecież jakąś zapadłą dziurą, tutaj w Paderborn, przecież wiesz * tłusciuch uśmiechnął się przymilnie, widząc, że oficer rozluźnił uchwyt rękojeści kordzika. * Szef miejscowego gestapo, komisarz Gerkin, zawsze dostarcza mi informacji o wybitnych członkach naszej partii przebywających między nami * oczywiście oprócz innych rzeczy. Poza tym znałem twój szacownego wuja. Był właśnie tutaj w 1938 roku, kiedy ich załatwialiśmy. Przecież musisz pamiętać Noc Kryształową, prawda? Kiedy te czarne gawrony z katedry wykręcały nerwowo ręce i moczyły się we flanelowe gacie, my naprawdę wykonaliśmy dobrą robotę z tymi Żydami.

Schwarz powoli pochylił głowę, a jego twarz błyszczała w promieniach zachodzącego na czerwono słońca jak szalona trupa czaszka. Pamiętał dobrze srogą zemstę, jaką partia wymierzyła Żydom w noc po tym, gdy dotarła wiadomość z Wielkiej Brytanii, że siedemnastoletni Żyd Grynszpan zamordował urzędnika z niemieckiego konsulatu w Pary

zu. W rzeczy samej, wziął udział w tej wspaniałej masakrze, chociaż wtedy nosił jeszcze krótkie spodnie przywódcy Hitlerjugend. To była naprawdę przejmująca noc * trzask kamieni tłukących szyby w oknach synagogi, chrzęst podkutych butów, gdy wbiegali do środka, by wyciągnąć na zewnątrz drącego się rabina i zlinczować go przy słupie latarni! Był to punkt zwrotny w jego życiu * wielkie oczyszczające doświadczenie * które przekonało go, że musi poświęcić się sprawie wypalenia żydo*stwa i likwidacji międzynarodowej konspiracji żydowsko*bolszewickiej, skierowanej przeciwko narodowosocjalistycznym Niemcom.

W ciągu dwóch lat zaangażował się w tę sprawę bez reszty. Wtedy właśnie jego wuj, Heydrich, wyznał

mu w chwili pijackiej furii i nienawiści do samego siebie, że jego własna babka była Żydówką, która miała na imię Sara. Cóż za przygniatający szok wywołała ta informacja! Zrujnowała jego życie. On, oficer SS, a do tego członek elitarnej dywizji Leib*ständarte * z dziadkiem Żydem, jakimś tłustym lekiem z haczykowatym nosem, który miał zawieszane pejsy zwisające po obu stronach złej twarzy.

Natychmiast porzucił te myśli, przestraszony ponownie wiedzą, że przez lata żył w wielkim kłamstwie.

Była to myśl, której jego rozbity umysł nie był w stanie tolerować.

* Tak * trąkotał nadal radośnie Schmeer. * Pamiętam, jak wyciągnęliśmy starego rabina na zewnątrz, tego grubego Hirschbauma. Ściągnęliśmy mu gacie i kazaliśmy stać na beczce, aby każdy mógł zobaczyć jego małego żydowskiego ptaszka, a my w tym czasie śpiewaliśmy Horst Wessel Lied.

(Horst Wessel Lied (Pieśń Horsta Wessela) * nazistowski hymn wykonywany ku czci Horsta Wessela.) Przerwał nagle i uklonił się ubranemu na czarno kapłanowi, który mijał ich w drodze do katedry.

* Dobry wieczór, wielobny * powiedział grzeczniutko jak właściciel sklepu, który wie, że bez aprobaty kościoła nikt z miejscowych nie kupi u niego żadnych towarów i zbankrutuje w ciągu miesiąca. * Bardzo piękna pogoda, prawda, przewielebny?

Stary ksiądz bąknął coś bezgłośnie i poszedł dalej swoją drogą. Gdy znalazł się już poza zasięgiem słuchu, Schmeer machnął przed nosem zaciśniętą pięścią i powiedział przepaszająco:

* Nadal potrzebujemy tych czarnych bękartów, poruczniku, ale gdy już wygramy wojnę, to się z nimi policzymy.

Potem znowu podniósł głos.

* Byłbym zaszczycony, gdyby siostrzeniec zmarłego niedawno generała Heydricha, zechciał ze mną pójść którejś nocy, gdy moja żona będzie zajęta razem z tymi paskudnymi maciorami z organizacji „Wiara i Piękno”. (Organizacja dla starszych kobiet istniejąca przy NSDAP.)

Szturchnął lekko milczącego Schwarza i spojrzał na niego chytrze.

* Nawet w tym świętym Paderborn myślę, że mogę to obiecać, znajdzie się coś, od czego ze zdziwienia wyjdą ci oczy na wierzch... A co z następną sobotą?

Nie czekając na odpowiedź młodego oficera, dodał serdecznie:

* W takim razie, w porządku. Zrobimy to w przyszłą sobotę, ale lepiej abyś najpierw najadł się sałatki z selera, poruczniku Schwarz, jeśli wiesz, co mam na myśli? (Seler był uznawany w Niemczech za

afrodyzjak.)

Jeszcze raz spojrzął z ukosa na oficera i poszedł w swoją stronę, zostawiając półprzytomnego Schwarza, który samotnie stał na środku ciemniejącego skweru z zaciśniętymi mocno pięściami, w niewyobrażalnej wściekłości na los, który płatał mu takie brzydkie figle.

Porucznik Schwarz nie był kandydatem doskonałym do zakosztowania seksualnych przyjemności, które oferowało znawcom katolickie i biskupie miasto Paderborn.

Także na sobotę wybierały się do Hamburga największe siły, jakie w swojej trzydziestoletniej historii zgromadził RAF.

Miasto płonęło i był tam potrzebny Batalion SS Wotan.

Hamburg umierał. Szybko i nieubłagane był zjadany przez chciwe, gniewne płomienie, które rozprzestrzeniały się z tysięcy bomb fosforowych. Gdy ciężarówki batalionu Wotan zaczęły przejeżdżać przez mosty na Elbie, jego żołnierze od razu poczuli mdłący, słodki smród palonego mięsa. Przed nimi stał w płomieniach cały drugi brzeg rzeki. W kabinie czołowej ciężarówki von Dodenburg obserwował

fronty osiemnastowiecznych domów, zasłaniając dłonią oczy przed rażącym, pomarańczowym blaskiem.

Kołysały się na wszystkie strony jak kawałki płonących dekoracji teatralnych. Odwrócił się za siebie i krzyknął do Schulzego, który siedział z tyłu z resztą żołnierzy:

* Sierzancie, powiedzcie im, aby założyli maski gazowe!

* Panie kapitanie! * krzyknął Schulze, starając się przekrzyczeć ryk płomieni. * Słyszał pan, co mówił ten oficer, nim wyjechaliśmy z kwater. Nasikad na chusteczki i owinąd je

wokół karków. I, do cholery, nie zapominać

o tym; bo jak będziemy potrząsać makówkami, to mogą nam poodpadać.

Ale tym razem w jego głosie nie było słychać kpiny. Przerazonym wzrokiem obserwował zgon rodzinnego miasta.

Konwój ciężarówek bardzo powoli przedzierał się przez płonące miasto. Pot zalewał twarze kierowców, którzy z niepokojem obserwowali budynki zawalające się po bokach ulicy. Dwa razy gwałtownie

hamowali i, aż im trzeszczały kości, gdy pięćsetfuntowe bomby wyrznięły w ziemię przed prowadzącym pojazdem, eksplodując z ogłuszającym hukiem, po którym nastąpił przeciągły syk. Chwilę po tym uderzył

w nich gryzący podmuch gazów, który wypierał powietrze z płuc i powodował, że kasłali jak astmatycy.

W koocu jednak dotarli do miejsca przeznaczenia czyli parkingu przed głównym dworcem kolejowym.

Jeden po drugim zapadały się mury budynków stojących wokół. Zasypywały bruk placu gruzem i zalewały falami rozgrzanego do białości fosforu.

* Wszyscy z wozów! * zawołał von Doden*burg. Chrząszcząc butami na rozbitym szkłe, próbował starannie jak baletnica omijać kałuże białego fosforu. * Ruszcie te swoje tyłki!

Żołnierze w pośpiechu wyskakiwali z kom*panijnych pojazdów, wiedząc, że jeśli samochody postoją parę minut w tym żarze, może zapalić się w nich paliwo.

Przekrzykując szum chciwych płomieni i ciągły stukot armat kalibru 88 mm, ustawionych na wieży przeciwlotniczej jakieś dwieście metrów od nich, von Dodenburg wprowadzał swoich żołnierzy w szczegóły akcji.

Grupa ogarniętych paniką inwalidów z amputowanymi kooczymi, okrytych piżamami i koszulami w białe * niebieskie paski, wtargnęła w sam środek jego oddziału. Kilku z tych biedaków podskakując na jednej nodze, ciągnęło tych, którzy już nóg nie mieli. Von Dodenburg przełknął ciężko ślinę i starał się zwalczyć ogarniające go uczucie przerażenia, gdy zauważył, że niektórzy z tych kalek byli ślepi. Ludzie ci, starając się czołgać na kikutach kooczym, krzyczeli przeraźliwie, wzywając pomocy.

* Dehn! * krzyknął do kaprala stojącego obok Schulza. * Na miłość Boską! Bierz swój oddział i pomóż tym nieszczęśnikom dostać się do schronu na stacji!

* Tak jest, panie kapitanie!

Obok nich, krzycząc jak w agonii, przebiegła kobieta. Na bokach jej nagich piersi, tam gdzie w skórę wgrzyzał się fosfor, pokazywały się płomienie. Schulze skoczył za nią, ale nie zdołał jej schwytad. Kobieta zdjeta panicznym lękiem i straszliwym bólem uciekała, pozostawiając za sobą smugę smrodu i ognia.

* Na męki piekielne! * zawołał podoficer. * Czy widział pan tę kobietę, kapitanie?

Oficer tylko skinął głową z zaciśniętymi ustami. Dla niej nie było już nadziei, chyba że zanurzy się po szyję w wodzie i w ten sposób odetnie fosfor od dostępu powietrza lub pojawi się lekarz ze skalpelem i żywcem wytnie jej palące ciało.

* Bierzcie pododdziały * rozkazał niewyraźnie, bo czuł, jak żółd podchodzi mu do gardła. * Sprawdź, czy mają ze sobą karabiny, Schulze. Kiedy reszta będzie robiła, co może z tym bałaganem, my sprawdzimy, czy ktoś nie rabuje ruin. Rozumiesz mnie, Schulze?

* Tak jest! Nie musi mi pan dawać na piśmie tego rozkazu, panie kapitanie! * odburknął podoficer, wyciągając z kabury Walthera, aby sprawdzić, czy jest odbezpieczony. Dobrze wiedział, co dowódca miał

na myśli. Hamburg był pełen maruderów z armii, przemytników i zagranicznych robotników, których częstym zajęciem była grabież ruin zaraz po nalotach. Wychodzili wtedy ze swych kryjówek jak szczury poszukujące ścierwa w śmietnikach.

Kilka chwil później maszerowali ostrożnie wzdłuż alei prowadzącej ze stacji do Alster. Na ramieniu idącego na czele kapitana kołysał się pistolet maszynowy. Schulze z pistoletem, który trzymał w dłoni wielkiej jak bochen chleba, zamykał niewielką kolumnę.

Przeszli obok wozu strażackiego, który nadal pracował, chod obsługujący jednostkę strażacy zostali uduszeni trującymi wyziewami i piekącym żarem. Ludzie ci siedzieli przepisowo po obu stronach drabiny.

Ubrania na nich spłonęły, więc siedzieli nadzy. Pozostały tylko buty, hełmy i swąd spalonych ciał.

* Przyspiesz krok! * krzyknął von Do*denburg.

Cała kolumna szybko ruszyła naprzód. Ciężkie buciorzy żołnierzy chrzęściły na porozbijanym szkłe i płytkach ceramicznych. Nikt nie śmiał ponownie spojrzeć na martwych strażaków i ich pojazd. Kilka sekund później eksplodował w nim zbiornik paliwa i ciała strażaków zniknęły w strasznej kuli

żółto*czerwonych płomieni.

Zbliżali się do dumy miasta * wewnętrznego jeziora zwanego Alster. W rdzawej poświacie płonących na dalszym brzegu budynków mogli zobaczyć wymachujące rękami ofiary płonącego fosforu, które

desperacko próbowały zanurzać się w wodzie. Wyraźnie osłabieni wzywali pomocy, jakby recytowali starodawną modlitwę, w której moc już sami nie wierzyli.

Podstarzali policjanci wydobywający ofiary z płonącego hotelu nie mieli czasu, by im pomagać. Kilka osób nadal żyło, ale większość była tak popalona przez piekące płomienie, że skurczyli się do rozmiaru i koloru czarnych Pigmejów. Policjanci układali ciała jak drewniane kłody.

* Przecież to dzieci! Dzieci, do ciężkiej cholery! * darł się zdjęty grozą Schulze. * Tylko popatrzcie!

Cały patrol skręcił i przeszedł na drugą stronę drogi, którą ograniczała linia drzew. Ogień i wybuchy pozbawiły je liści, tylko gdzieś tam sterczały z nich grube konary wyglądające jak wielkie spalone zapałki. Ale to nie te zniszczenia wywołały rozpaczliwy krzyk sierżanta, tylko nagie dziecięce ciała, które podmuchy wybuchów wyrzuciły z pobliskiego żłobka i teraz zwisały one z tych drzew jak przejrzałe owoce.

Von Dodenburg z odrazą odwrócił głowę, zbierało mu się na wymioty, więc przełykał tylko zbierającą się w ustach żółd. Maszerował i czuł się jak zabity wśród tysięcy umarłych.

Armaty przeciwlotnicze, ustawione gdzieś na wieży w okolicy stacji Dammtor, przestały strzelać. Na północy miasta zawyły syreny, dając sygnał odwołania alarmu lotniczego. Anglicy odlatywali. Ich morderczy atak na miasto dobiegł końca. Pozostawili je w przedśmiertnej agonii.

Teraz żołnierze Wotana maszerowali obok płonącego hotelu Vier Jahreszeiten w kierunku Jungfernstieg, największego portowego centrum zakupów.

* Miejcie oczy szeroko otwarte * von Dodenburg zmusił się do wydania rozkazu. * Szczury zaraz powyłażą, bo czują się już bezpiecznie.

Strzelcy z poblądzonymi z wrażenia twarzami, mocniej chwycili za rękojeści karabinów, a ich cienie monstrualnie drżały w świetle chybotających się płomieni. Ale całe Jungfernstieg i jego sklepy zamieniły się w morze płomieni, a zebrani w okolicy cywile zupełnie nie myśleli o rabunku, tylko zdjęci strachem starali się uciec z umierającego miasta. Wokół twarzy mieli poowijane szmaty chroniące od ognia, a ich ubrania parowały w panującej tu, niesamowicie wysokiej temperaturze.

W ścieżkach i rynsztokach leżały porzucane ciała. Przy stopach maszerujących biegł mały psiak, ujadając rozpaczliwie, jakby szukał zaginionego właściciela. Schulze bez słowa wyjął walthera i strzelił w głowę zwierzakowi, który padł niemal z wdzięcznością i umarł na miejscu.

Przedarli się przez gromadę uchodźców i garść urzędników miejskich, którzy nieudolnie starali się organizować ewakuację. Raz zatrzymali jakąś postać, która uciekała z płonącego budynku, trzymając w rękach worek. Ale był to tylko starzec, który zupełnie nie miał w głowie rabunku. Był właścicielem tego domu i ryzykował życie, by dostać się do niego i uratować przed pożarem stosik listów, które napisał

jego syn, nim zginął pod Stalingradem.

* To wszystko, co teraz mam. To wszystko... * powtarzał, gdy wpychali go do kolumny uciekinierów z miasta.

Trochę później wpadli na siwowłosą kobietę, która mogła być babką każdego z nich. Była kompletnie naga, a do wyschniętej, starczej piersi, w której nie było pokarmu już od ponad pięćdziesięciu lat, przyciskała martwe dziecko. Gdacząc trochę jak kwoka, przemawiała do martwego ciała jak matka namawiająca dzieci do zjedzenia kolacji. Nie ruszała się, nic nie powiedziała, gdy zarzucali ją pytaniami, więc musieli ją zostawić, skuloną, siedzącą na krawężniku z martwym dzieckiem przyciśniętym do starczej piersi, wpatrującą się bezmyślnie w pełznące ku niej

płomienie.

Kilka minut później zmuszeni byli skierować się do wyjącego ze strachu tłumu, gdy oficer saperów i garstka jego ludzi przygotowywali się do wysadzenia w powietrze schronu przeciwlotniczego, aby odciąć dostęp powietrza do pożaru, który lada chwila mógł się zamienić w burzę ognia.

* Ale tam są nadal kobiety i dzieci! * krzyczała histerycznie do zapracowanego młodego oficera jakaś kobieta w średnim wieku, której włosy były spalone do gołej skóry. * Słyszałam,

jak wołali o pomoc, nim przyszlście... Musisz posłuchać... Tam nadal są dzieci!

Ale oficer nie zwracał na nią uwagi, tylko drążącymi rękami grzebał przy detonatorze. Kobieta zaczęła rozdzierająco szlochad.

* Gdyby był tu Bóg, nie pozwoliłby na to, co się dzieje * ja to wiem! Nie pozwoliłby! * powiedziała do niego gniewnie, pozornie uspokojona.

* To już zostaw Bogu! * powiedział do niej rozkazująco starszy człowiek, który wyglądem przypominał

podoficera z cesarskiej armii. * To nie Bóg wymyślił wojnę, tylko ludzie!

Młody podoficer chrząknął niepewnie i wcisnął rączkę do środka skrzynki detonatora. Rozległ się głęboki, przytłumiony huk i brzydki strumień żółtych płomieni wystrzelił w czerwone niebo. Budynek ponad schronem przeciwlotniczym zapadł się, grzebiąc na zawsze pozostawionych tam ludzi. Zostali skazani na śmierć z braku tlenu.

Oddział żołnierzy z ponurymi twarzami ruszył dalej naprzód, zostawiając za sobą łkającą rozpaczliwie kobietę.

To zdarzenie miało miejsce, gdy zbliżając się ponownie do dworca głównego, natknęli się na dwóch starszych policjantów prowadzących siedmiu pilotów RAF*u obciążonych spadochronami, którzy byli ogromnie spoceni, gdyż mieli na sobie grube, futrzane kurtki.

* Angliki? * spytał nieswoim głosem von Dodenburg, zatrzymując patrol.

Wyższy z policjantów, którego szeroka pierś była udekorowana licznymi odznaczeniami pamiętającymi jeszcze I wojnę światową, stanął na baczność i czujnie przyglądał się runom Sieg widocznym na kołnierzach mundurów żołnierskich.

* Tak jest, panie kapitanie, spadli z nieba zaraz za targiem rybnym. Prowadzimy ich do komendy policji. A stamtąd zabierze ich wojsko.

* Na pewno ich tam nie zabierzecie! * warknął dziko Schulze, szczerząc zęby jak wściekły pies.

* Schulze! * krzyknął oficer, przywołując podwładnego do porządku.

Ale duży hamburczyk jakby nie słuchał. Patrzył nienawistnym wzrokiem na wziętych do niewoli pilotów, z których kilku było rannych. Patrzyli z wyraźnym przestachem na to, co się dzieje.

* Te jebane bękarty nie zasłużyły, by spędzić resztę wojny w obozie jenieckim, żywiąc się paczkami z Czerwonego Krzyża. Nie teraz, kiedy to wszystko zrobili * powiedział ponuro, jednocześnie pokazując uzbrojoną w pistolet ręką, płonące otoczenie. * To nie są żołnierze, tylko wyrachowani mordercy.

* Ostrożnie, sierżancie * powiedział większy z gliniarzy. * Nie możesz tak mówić. A poza tym mamy swoje rozkazy.

* Naszczaj się w nogawki * odparł niewzruszenie Schulze, po czym odwrócił się w stronę dowódcy. * A co pan o tym sądzi, panie kapitanie? Czy pozwolimy tym gównianym Angolom wyjść z tego cało? Czyż nie jest naszym obowiązkiem ukarać ich tu i teraz?

Zaskoczony von Dodenburg przygryzł wargę. Pomyślał o ślepych inwalidach z amputowanymi

kończynami, którzy na samych kikutach starali się dotrzeć do schronu na stacji kolejowej, a potem o staruszce, która przyciskała do piersi martwe dziecko, i popalonych ciałach zwisających z drzew, po czym spojrzał na Anglików, którzy nic nie rozumiejąc, wpatrywali się w esesmanów.

* Postaw ich pod ścianą * rozkazał.

* Hej, nie możecie tego zrobić * zaprotestował gniewnie starszy z policjantów.

* Zamknij gębę i daj dupie szansę! * ryknął Schulze, odsuwając go na bok, gdy chciał zasłonić sobą jeoców.

Drugi z policjantów próbował podnieść wyżej pistolet, ale dostał od jednego z żołnierzy kolbą karabinu w rękę. Zawył z bólu i wypuścił broń, która z metalicznym brzękiem uderzyła o bruk jezdni.

* Co to ma znaczyć? * spytał łamaną niemiecką przysadzisty Anglik, któremu na skręconych wąsach zastygła krew, wcześniej ściekająca z rany na twarzy. * Jesteśmy jeocami...

Przerwał gwałtownie, bo wyraz spoconych twarzy młodych esesmanów powiedział mu wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

Rudowłosey lotnik, który wyglądał na siedemnastoletniego chłopca i stał obok niego, zaczął go nerwowo o coś wypytywać. Jeden z jeoców mówiący po niemiecku położył uspokajająco rękę na jego ramieniu. Ale to nie dało żadnego efektu. Rudowłosey dzieciak padł na kolana i wznosił ręce w błagalnym geście, bełkocząc coś po angielsku. Jego paplanina zmieniła się w pisk bólu, gdy jeden z esesmanów rozwścieczony tym, co zobaczył tej nocy, kopnął go ciężkim buciosem w twarz.

Teraz schwytani piloci RAF-u stali w ponurym milczeniu. Bez słowa protestu pozwolili ustawić się pod najbliższym murem, podtrzymując łkającego siedemnastolatka. Próbowali postawić go na nogi, ale im się to nie udało. Stali tak więc z zaczerwienionymi i spoconymi twarzami, które oświetlane były łunami pobliskich pożarów, w ich oczach nie było widać nawet strachu i nienawiści, tak jakby

były pozbawione wszelkich emocji.

Von Dodenburg kazał ustawid się swoim ludziom w równej linii przed Anglikami.

Niemcy bez rozkazu zdjęli karabiny z pleców. Kapitan uniósł wyżej pistolet maszynowy, a starzy policjanci patrzyli na niego z przerażającą niemocą. Jedno słowo za dużo i wiedzieli, że mogą dołączyd do pilotów stojących pod murem. Byli weteranami walk w okopach I wojny światowej i widzieli już ludzi, którym szok okropieostw wojny odbierał rozum. Wiedzieli, że nic i nikt ich nie powstrzyma.

Przez chwilę nic się nie działo. Mający umrzed lotnicy patrzyli tępo na swoich zabójców. Poza trzaskiem płomieni i przytłumionym płaczem młodego chłopaka, któremu zmasakrowano usta, w zasadzie

panowała cisza.

* Ognia! * krzyknął nagle von Dodenburg.

Prawie podświadomie nacisnął spust broni. Z tak bliskiej odległości seria pocisków, która trafiła w twarz wąsatego Anglika, zamieniła ją w bezkształtną miazgę. Ułamek sekundy później reszta Niemców

przyłączyła się do mordowania jeoców.

Po chwili było już po wszystkim. Kaci przez moment jeszcze stali, przysłuchując się echu odbijającemu się w ciszy, a dwaj policjanci przyglądali im się z rozdziawionymi gębami. Przed nimi leżały dymiące ciała rozrzucone bezładnie w szalonych pozach, tak jak zastała je śmierd. Większy z policjantów podniósł

oskarżycielsko palec wskazujący w stronę kapitana von Dodenburga.

* Ty, ty... * zaczął, ale nie był w stanie wydobyd z siebie więcej słów.

Oficer próbował przełknąđ ślinę. W ustach czuł okropną suchość.

* Za mną * wyszeptał szorstko. Żołnierze posłusznie ruszyli jego śladem

w stronę stacji, przedzierając się przez dymiące gruzy umierającego Hamburga. Oddychali ciężko, jakby przed chwilą skooczyli długi bieg. Dwaj policjanci nadal nie byli w stanie ruszyd się z miejsca, a starszy z nich trzymał wciąż w górze palec wskazujący, w geście wiecznego oskarżenia.

i

Ze sztabu dowództwa Waffen SS w Berlinie dotarł następujący rozkaz:

„Patrząc na nadzwyczajnie efektywny sposób, w jaki Batalion Szturmowy SS Wotan wykonywał męczącą i budzącą grozę misję w trakcie angielskiego gangsterskiego ataku powietrznego na ivolne

hanzeatyckie miasto Hamburg, Reichsfuhrer SS ma przyjemność udzielić batalionowi trzydniowej przerwy w cyklu szkoleniowym. Rozkaz ma wejść w życie ze skutkiem natychmiastowym".

Heil Hitler! (podpisano) Himmler

Nawet Sęp nie ośmielił się nie podporządkować rozkazowi wydanemu przez byłego hodowcę drobiu, który teraz był najbardziej budzącą grozę postacią w całej Europie. Dowódca batalionu niechętnie udzielił podległym mu żołnierzom trzydniowego urlopu, bez prawa opuszczania miasta, w którym

kwaterowali. Oczywiście wyklinał Heinricha Himmlera

za to, że podpisał rozkaz, który położył przed nim kapitan von Dodenburg.

Ale ludzie z Wotana nie przeżyli wielkiej radości z powodu niespodziewanej przerwy w żmudnym

szkoleniu. Te trzy straszliwe dni, które zakończyły się zrzucaniem stosów ciał do masowych grobów za pomocą spychaczy, teraz zbierały swoje żniwo. Nie było między nimi nikogo, kto nie chciałby ogromną dawką alkoholu wymazać z pamięci koszmarnych wspomnień związanych z miastem, w którym w ciągu pięciu godzin zginęło czterdzieści tysięcy osób. Nawet siedemnastoletnie żółtodzioby, które nim pośpieszyły na ratunek Hamburgowi, nigdy nie wzięły do ręki szklanki z piwem, ruszyły już pierwszego dnia, aby upić się bezsensownie, z zawziętą i ponurą determinacją. Wlewali w siebie piwo i wódkę w ciemnych, malutkich barach prowincjonalnego miasta, nie zważając na surowe spojrzenia starszych mężczyzn siedzących przy stolikach zarezerwowanych dla stałych gości.

Sierżant Schulze z czapką odsuniętą na tył głowy, rozchełstaną do połowy piersi bluzą munduru i dużą twarzą pokrytą niezdrową, ponurą czerwienią, ledwie mógł się doczekać, aż Kreisleiter Schmeer wraz z córką opuszczą progi swego domu, a on będzie mógł wreszcie do niego wkroczyć przez drzwi kuchenne.

Pani Schmeer, o dziesięć lat młodsza od męża, ale równie gruba jak on, stała przy kuchni i obserwowała Heidi, która smażyła ulubione sznycle Schulzego i gotowała do nich ziemniaki.

* Już niedługo, mój bohaterze * zaświergo*tała z rozgrzaną przy piecu twarzą. * Właśnie robię je dla ciebie.

Heidi, z cyckami godnymi wymion holenderskiej krowy, stała z pochyloną głową i udawała, że nie zauważyła obecności kochliwego podoficera. Ale Schulze nie miał ochoty na panią Schmeer czy jej kotlety. Dzisiaj chciał jedynie, aby wszystko odeszło w zapomnienie. Gniewnym ruchem wielkiej łapy posłał w powietrze patelnię ze smażonymi kotletami.

* Wsadźcie sobie obie te sznycle w tłustą dupę * warknął gniewnie, niemal padając na podłogę. *

Zasuwał do piwnicy i dawaj mi sznapsa, i to dwie butelki!

Heidi pochylała się, żeby pozbić kotlety z podłogi, ale on złapał za jej bluzkę, by ją powstrzymać.

Materiał rozdarł się paskudnie i masywne piersi dziewczyny, nieosłonięte jakimkolwiek biustonoszem, wylały się jak budy. Młoda Niemka krzyknęła i próbowała zakryć nagość rękami.

* Zabieraj te łapy * zawołał pijany sierżant. * Chcę zobaczyć twoje cycki!

* Ale mój wielki bohaterze * zaprotestowała pani Schmeer, bardziej zaniepokojona tym, że nie dostanie tego, czego potrzebowała od niego w łóżku, niż stratą głupich kotletów. * Tak nie można...

* Czy ty masz nauszniaki na uszach, czy może naźarłaś się fasoli!?! * ryczał. * Czy ty mnie słyszysz?

Powiedziałem * zapierdalaj do piwnicy i przynieś coś do picia. Pójdę na górę z Heidi, ale najpierw muszę się czegoś napić. A teraz dawaj tę cholerną butelkę wódki, no już!

* Przecież to moja gosposia. Nie możesz...

* Dawaj! * Schulze uniósł groźnie pięść, a gruba dama przezornie czmychnęła. Wielki sierżant ruszył niepewnie po schodach w górę, ciągnąc za sobą półnagą, wrzeszczącą gosposię.

Ale kiedy pani Schmeer bojaźliwie zapukała w drzwi, a potem wkraadała się do pokoju służącej, trzymając tacę z trunkami, tak by być gotową w każdej chwili do ucieczki, zobaczyła, że wściekłość Schulzega gdzieś się ulotniła. Heidi stała pośrodku pokoju, a jej odkryte, obfite piersi jakby patrzyły ze zdziwieniem na sierżanta, który leżał z twarzą zanurzoną w pościeli, bezradnie młócił pięściami w kołdrę i płakał:

* Dlaczego to całe gówno musiało się wydarzyć... No, dlaczego?

Było jednak więcej ludzi w batalionie Wo*tan, którzy nie potrafili sobie poradzić z tym przygniatającym pytaniem. Jednym z nich był na pewno kapitan von Dodenburg. Błakał się jak ślepiec po ogarniętych wieczornym mrokiem ulicach katedralnego miasta. Obok niego zataczał się pijany Schwarz. Wszędzie kręcili się pijani esesmani, spychając z chodników zaszokowanych purytaoskich cywilów, zapominając salutować oficerom i podoficerom (odurzonym alkoholem podobnie jak szeregowcy) oraz sikając przy murach budynków, czym wywoływali obrzydzenie zawstydzonych, katolickich gospodyń domowych.

Von Dodenburg miał mętne wrażenie, że ci ludzie należą do batalionu Wotan. Ich zachowanie rujnowało reputację oddziału i porządek w Paderborn, ale zupełnie się tym nie przejmował. Cały czas miał przed oczami dzieci wiszące na ogołconych z liści drzewach, przez co przypominały wielkie ludzkie owoce.

* Nic mnie to nie obchodzi. Nic mnie to nie obchodzi, Schwarz * bełkotał pijany, potykając się co krok.

Schwarz z powagą pijaka starał się go podtrzymać, kiwał potakująco głową i mruczał coś

bezsensownego.

Szli, zataczając się. Nagle, gdy wtoczyli się na główny rynek miasta, w ich bezrozumny bełkot wdarł się obcy głos.

* Panowie, panowie, bardzo się cieszę, że was widzę!

Jakaś dłoń chwyciła von Dodenburga za ramię, co zmusiło go do zatrzymania się. Ogromnym wysiłkiem woli powoli się odwrócił. Jakaś rozmazana brązowa plama przesłoniła mu widok. Potrząsnął nerwowo głową, by poprawić ostrość spojrzenia. Przed nim ukazała się, podobna do świoskiego ryja, twarz Westfalczyka odzianego w brązowy mundur SA, a obok niego tkwiła blond główka z włosami upiętymi w ślimaki nad uszami, poniżej której widać było mundur pomocniczej służby dziewcząt.

* Kapitan von Dodenburg, porucznik Schwarz * powiedział jowialnie świoski ryj.

* Nie znam cię * powiedział obojętnie von Dodenburg, połykając słowa.

Odepchnął powstrzymującą go rękę i zatoczył się.

* Przytrzymaj go, Karin, na miłość Boską * rzucił szybko Schmeer w stronę córki, sam podtrzymując Schwarza. * Wpakują się w kłopoty z psami łaocuchowymi (Slangowe określenie żandarmów

wojskowych od noszonych przez nich na łaocuchach srebrnych napierśników, oznaki ich służby.), jeśli wpadną w tym stanie w ich ręce.

* Do usług! * odpowiedziała radośnie Karin. * Zawsze był pan dobry w wydawaniu rozkazów, panie Kreisleiter!

Gdy dziewczyna zajmowała się kapitanem, jej ojciec uśmiechnął się promiennie do Schwarza i powiedział:

* Może jeszcze jedno piwo, poruczniku, a potem mógłbym pokazać panu trochę tych małych przyjemności, które obiecałem panu w czasie ostatniego spotkania. Co pan na to, poruczniku Schwarz?

Mały oficer beknął, a potem szaleoczo potrząsnął głową.

* Piwo, rozkosz... * bełkotał ledwie zrozumiale.

Schmeer poczekał chwilę, aż córka zaopiekuje się kapitanem i weźmie go pod ramię * pomagając

utrzymać chwiejny krok * gdy przedzierali się przez grupkę młodych kleryków rechoczących jak żaby ze śmiechu, po czym zwrócił się ponownie do Schwarza:

* No, to w porządku, panie poruczniku, uwolniliśmy się od niej. Myślę, że możemy ruszać.

Schwarz posłusznie pozwolił poprowadzić się po nierównym, pozarastanym trawą bruku ciemnych uliczek śmierdzących rozpusztą i niemytymi ciałami. Ciężka, surowa romańska katedra patrzyła na nich z wyrzutem z wysokości swej ogromnej wieży.

Ramionami mocno oplótła jego szyję, po czym wcisnęła mu język między wargi. Śmierdział piwem, ale jej to nie przeszkadzało. Całe jej ciało aż drżało z pożądania, a sutki stwardniały z podniecenia. Wcisnęła biodra w jego podbrzusze, ale jego członek zupełnie się nie poruszał.

* Cholera, co za gówniana sprawa * przeklinała.

Ale on zdawał się jej nie słyszeć. Stał, kołysząc się, i wyglądało na to, że całą energię skoncentrował na tym, aby pozostać w pozycji wyprostowanej. Ona zręcznie zwolniła uchwyt, i gdy była pewna, że nie przewróci się na jej łóżko * na które z portretu na ścianie patrzył gniewny Adolf Hitler. Rozpięła szybko guziki spódnicy i pozwoliła jej opaść. Potem gwałtownym ruchem zerwała z siebie bluzkę, obserwując bez ustanku porucznika. Ale naga nagość dziewczyny zupełnie na niego nie podziałała.

Przez chwilę się wahała. Prawie nieświadomie przebiegała palcami po jego piersi, by w koocu ścisnąć delikatnie jego wystające sutki. Potem ściągnęła majtki, takie proste, białe, jakie noszą grzeczne uczennice, i zaczęła pocierać owłosionym wzgórkim łonowym o jego brzuch. Ale to też nie dało żadnego rezultatu.

* No, dalej, ty wielki arystokratyczny bękartie * syczała. * Wstawaj! Chcę tego!

Przycisnęła jego szczupłe dłonie, które zrobiły na niej wielkie wrażenie przy pierwszym spotkaniu, do swoich piersi, napęczniałych i twardych z pożądania.

* Ale ty masz dopiero szesnaście lat * odezwał się niewyraźnie po raz pierwszy od chwili, gdy zaciągnęła go po schodach do własnej sypialni.

* A co to za różnica? * zaśmiała się cynicznie. * Szesnaście czy sześćdziesiąt, to samo, tylko ciaśniejsza dziurka!

Naparła mocniej na niego brzuchem i momentalnie wcisnęła swój malutki, gorący języczek w jego ucho.

Wydwiczonym ruchem rozpięła jego rozporek, jak robotnik w fabryce chwytając za lewarek, i wcisnęła obie dłonie w ciemną głębię jego szarych gatek, a jej palce zaczęły chciwie przebiegać po tym, co znalazły w środku.

Nagle, jak przy pęknięciu tamy, jej zabiegi przyniosły efekt. Od razu poczuła, że jego penis staje się twardy jak dyszel wozu. Nie mogąc już kontrolować drżenia nóg, pociągnęła go ostrożnie na łóżko, ciągle trzymając za penisa.

* Będzie boled * powiedział bełkotliwie, ale to podniecenie, a nie pijaostwo zmniejszało jego słowa.

*Co?

* To * odparł i dotknął jej łona zgrabną dłonią * jeśli jesteś dziewczyną.

Niemal wybuchła śmiechem, ale powstrzymała się, nie chcąc go zranić.

* No tak, oczywiście * odpowiedziała, a potem dodała półgłosem. * Ale nie w tym roku, kapitanie von Dodenburg.

Zręcznie uniosła brązowe, zgięte w kolanach nogi ponad biodra, tworząc miękką kołyskę dla jego muskularnego ciała.

* Myślę, że już czas wejść na pokład, panie kapitanie * wyszeptała z lekką chrypką. Jej usta stały się bardzo suche, a serce waliło prawie nie do zniesienia.

Gdy już opadł na nią energicznie, ostatnią rzeczą, jaką spostrzegła, była twarz Hitlera, który z głęboką dezaprobatą patrzył, jak prowadzą się jego germaoskie Walkirie.

Panienki były ciemne, krzykliwie ubrane, egzotyczne i mało niemieckie. Ale ich akcent miał wschodniowestfalską szorstkość. Ewidentnie obawiały się jego munduru ze srebrną trupią czaszką, co rozpoznawał nawet przytępiony alkoholem umysł Schwarza.

Ale, pękaty jak celtycki kocioł, Schmeer był tu dobrze znany. Klepnął przywiedłą madame w tłusty, pokryty czarnym jedwabiem tyłek i z euforią zawołał:

* Dzisiejszej nocy nie będzie piwa. Na cześć mojego młodego przyjaciela myślę, że najlepszy będzie szampan!

* Och! * zawołały ciemnookie dziwki z fałszywym entuzjazmem.

* Jesteś mi już winien za ten miesiąc pięćset marek, panie Kreisleiterze * powiedziała ociężale podstarzała madame z farbowanymi na kruczczą czerno włosami.

Podobne oświadczenia składała już wielokrotnie i wiedziała, że jest to czcze gadanie.

* Wiem, wiem, moja precudna Rachelo * zarechotał grubas. * Ale jeśli przyjdzie najgorsze z najgorszych, to mnie Reichsfuhrer SS powierzy rozwiązanie całej kwestii.

Popatrzył na nią przebiegle swoimi świoskimi oczkami, po czym wykonał palcem wskazującym spiralny ruch do góry, co miało przypominać wirujący słup dymu unoszący się z komina. Madame wyraźnie

zbladła.

* W porządku, panie Kreisleiterze, będzie szampan * zakołysała biodrami jak kaczka i szybko ruszyła po butelki z szampanem.

Twarz Schmeera rozjaśniła się, gdy trącał lekko łokciem Schwarza.

* Tak je trzeba traktować. Cukier i bat, jak zwykły mawiał dawniej nasz Fuhrer, to na nie działa.

Schwarz pokiwał głową, nie otwierając oczu, a następnie zatopił się w najbliższym fotelu. Prawie natychmiast jedna z ciemnokochanych lafirynd, z ziemistymi policzkami mocno pokrytymi różem, której solidne ciało okrywała czarna halka ze sztucznego jedwabiu, usiadła mu na kolanach, z zawodową wprawą obmacując dłoomi jego ciało.

Tani francuski szampan lał się strumieniami. Dziewczyny się rozluźniły. W miarę jak alkohol zaczynał

działać, stawały się coraz bardziej rozbawione. Chichocząc histerycznie, wsadzały środkowy palec zamroczonego alkoholem Schwarza w kieliszek szampana i chichotały głośno, że jego zniekształcony obraz jest rozmiaru ptaszka pijanego oficera.

Zaczerwieniony Schmeer przyłączył się do zabawy. Pozwolił nawet, by burdelmama i jeszcze inna dziewczyna * koścista, odziana jedynie w czarny gorset i jedwabne pociochy * zdjęły z niego brązowe buty z cholewami i partyjne bryczesy. Śmiały się na całe gardło, gdy ciągnęły go za ciasne spodnie i cała trójka prawie się przewróciła, kiedy grubas poślizgnął się do tyłu, stojąc na jednej nodze.

Dwie inne dziwki tańczyły w obscenicznych pozach, z przytulonymi policzkami i dłoomi przyciśniętymi do pośladków partnerek. Przypominały paryskich apaszów lub tancerki tanga z taniej tancbudy. W tym czasie madame i jej towarzyska zajmowały się jego zwiotczałym ptaszkiem, który zwisał bezradnie poniżej wielkiego, bezwłosego kałduna. Kreisleiter tymczasem śmiał się niekontrolowanym rechotem z wygłupów dziewczyn.

Pokój w tanim burdelu zaczął krążyć przed oczami Schwarza. Chichoty pijanych dziewczyn i rozkoszne pochrząkiwania Schmeera jak fale morskie przypływały i odpływały

przez jego głowę. Z roztargnieniem popatrzył na ciemną ładacznice, która muskała zmysłowymi ustami jego twarz. Chrząknięcia wbijały się w mózg coraz mocniej, chichot stawał się bardziej przenikliwy, a potem cały obraz cofał się dalej i dalej. Nagle wszystko zniknęło, a przed oczyma miał już tylko ciemność.

Zapadł się w miękkie łóżko z potwornie wymiętą pościelą. Na jego kolanach przysiadła ciemnowłosa zdzirka z twarzą zdradzającą napięcie i zmęczenie. Była lekko zdenerwowana. Delikatnym, niemal matczynym ruchem zaczęła zimną wodą obmywać jego twarz.

* Dobrze się pan czuje, panie poruczniku? * spytała.

Jego czarne oczy spojrzały na nią niewidzącym wzrokiem, potem popatrzył na maleoki, brudny pokój z drobnymi czerwonymi plamkami po rozgniecionych pluskwach, wyraźnie odznaczającymi się na

niemalowanych od dawna ścianach, i na okna przysłonięte poszarpanymi zasłonami z ufarbowanych koców. Nagle zainteresował się sfatygowanym, podartym płaszczem, który wisiał na zagiętym gwoździu, wbitym w drzwi wejściowe do pokoju. Ale nie nikczemność tego stroju zwróciła jego uwagę, lecz żółty emblemat naszyty w widocznym miejscu.

Jej znużone oczy podążyły za jego wzrokiem.

* To twoje? * spytał na wdechu, bo mimo otępienia alkoholowego, ten widok wprawił go w osłupienie.

Dziewczyna powoli skinęła głową.

* Ale to przecież żydowska gwiazda!

* Przecież wiem. To gwiazda Dawida... jestem Żydówką, panie poruczniku.

* Żydówką * wybełkotał jak echo. * Chyba

pół?

* Nie * zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy. * Pełnokrwistą. Moi rodzice byli ortodoksyjnymi Żydami.

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

* Ale nie ja. A potem to... * nie dokończyła zdania i patrzyła na niego niewzruszonym wzrokiem, jakby nie było niczego dziwnego w tym, że jakaś Żydówka wyznaje swoje zbrodnie oficerowi SS w

roku.

* Ale... jak...? * jąkał się ze zgrozą, próbując znaleźć słowa, którymi mógłby wyrazić oburzenie.

* Jak to, jak? * zaśmiała się cynicznie. * Jest wielu takich, którzy tu specjalnie przychodzą, na przykład Kreisleiter Schmeer. My tu wszystkie jesteśmy Żydówkami, oni o tym wiedzą i to ich jakoś szczególnie pociąga. Członkowie partii, esesmani, i to oficerowie tacy jak pan. Mogą nas obrażać. Mogą nas bić.

Mogą zaspokajać swoje małe perwersje * to właśnie lubi Schmeer. Innym też sprawia specjalną przyjemność, że

jesteśmy Żydówkami. A dla nas cóż? Lepsze to niż obóz. Wiesz o tym, prawda?

Roześmiała się rozgoryczona i osunęła się na zapluskwione, zapadnięte łóżko. Leżała teraz tuż koło niego.

* Nie dotykaj mnie! * krzyknął, odsuwając się. * Nie!

Ale dziewczyna nadal miękkim ruchem głaskała jego ciało. Poczł odrazę do brudnych żydowskich palców, które grzebały w jego ubraniu.

* A to dlaczego, mój milutki esesmanie?

* szeptała. * Kobieta to kobieta. Chłop to chłop, czy to Aryjczyk, czy Żyd.

Rozpięła mu rozporek i jej wprawne palce zaczęły delikatnie obmacywad jego męskość.

* Nie walcz ze mną, pozwól się kochad

* namawiała go z zawodową chrypką. * Pokażę ci, że niczym się nie różnimy. Mamy serca, ciała i ci...

Zebrał w sobie resztki sił i odepchnął ją.

* Pozwól mi odejśd * zaklinał łamiącym się głosem. * Na miłość Boską, pozwól mi odejśd

* proszę, Żydówko! Proszę!

Gdy zaskoczona przewróciła się na bok, wyskoczył pijany z łóżka i w ślepej panice pobiegł do drzwi.

Odrzucił ich skrzydło mocnym ruchem, ześlizgnął się po wąskich schodach i przewrócił się u ich podstawy. Nawet nie czuł bólu upadku, tak bardzo się spieszył, by wyrwad się z ramion żydowskiej dziwki. Omyłkowo wpadł do recepcji w barwach mrocznej czerwieni i omal nie przewrócił kopnięciem chudej ładacznicy w czarnych poccochach, pracowicie pochylonej nad pękatym, nieowł*sionym

brzuchem Kreisleitara.

* Jezus, Maria i Józefie Święty * przestraszył się ten ostatni, czując, jak opuszcza go podniecenie. * Co do wszystkich diabłów w ciebie wstąpiło, Schwarz?

Oficer szaleoczo poszukiwał drzwi wyjściowych. Znalazłszy je, nie potrafił ich otworzyd, więc kopnął je i rzucił się w ciemność nocy. Chwilę później pochylił się przy rmirze w tylnej alejce śmierdzącej kapustą i kocimi szczynami i zaczął obficie wymiotowad. Obok niego stali zmartwiony i bezradny Schrneer, z obrusem stołowym owiniętym wokół nagiego brzucha oraz Żydówka, z narzuconym na gołe ramiona

charakterystycznym płaszczem.

W koocu udało się im go namówid, żeby wrócił do środka. Dziewczyna otarła usta porucznika z wymiocin kawałkiem obrusa, w który owinięty był Schmeer. Chude ramiona Schwarza unosiły się, jakby łkał z rozpacz, chociaż na jego nieprzytomnej twarzy nie widad było nawet śladu łez ani żadnych emocji. Bez oporu pozwolił się ponownie zaprowadzid do burdelu. Po chwili drzwi zatrzasnęły się za tą dziwną grupką.

Zza pojemników na śmieci wychylił się niezgrabnie Metzger. Skrył się tam, gdy tylko rozpoznał porucznika Schwarza. Starł ze spodni resztki zgniłych warzyw i przechylił do gardła ostatni łyk wódki i piwa, które wyniósł tego wieczora z Ratskeller. Jego oczy błyszcząły triumfalnie, gdyż mimo ogólnego zamroczenia alkoholem udało mu się zauważyd żółtą gwiazdę na płaszczu dziewczyny. Była Żydówką i do tego w towarzystwie tego Kreisleitara, głównianego Schmeera, który podłączał się do jego Lory, gdy on sam był daleko od domu i walczył na froncie za naród, ojczyznę i Fuhrera.

* No, ty tłusty bękarcie złotych bażantów (Pogardliwe określenie prominentnych działaczy NSDAP, odnoszące się do ich licznych szamerunków.) * westchnął radośnie, gdy tylko zamknęły się drzwi przybytku. * Mam cię, właśnie złapałem cię za jaja!

Próbował założyć czapkę zgodnie z regulaminem, ale mu się nie udało. Jednak nie przejął się tym zbyt i wyszedł ze śmierdzącego zaułka na oświetlony plac, wypinając dumnie pierś, jak gdyby stał na straży kwatery samego Fuhrera. Oczy mu błyszcząły; miał powody do satysfakcji.

Kreisleiter Schmeer był już dla niego martwy.

SZEŚD

* Jesteście bandą zasraoców i kretynów pełnych szczyn i smażonych ziemniaków * warczał Sęp nieprzyjemnym, wysokim tonem, patrząc na nich z góry z pokrywy silnika nowego Tygrysa. Pot ściekał mu z monstualnego nosa.

Ponad ośmuset młodych żołnierzy z batalionu Wotan, elita paostwa narodowosocjali*stycznego, wpatrywało się w niego bez słowa, a ich spalone słoocem twarze wyrażały tylko powagę i zmartwienie.

* Już za długo przebywacie w kraju * kontynuował dowódca. * Byliście za bardzo zajęci napełnianiem kałdunów. Zbyt zajęci opychaniem się jajami! Zapomnieliście, że walczyliśmy w wojnie o przetrwanie i że właśnie w tej chwili dobrzy ludzie * lepsi od was * umierają setkami na wschodzie, abyście wy * pasożyty

* mogli wieśd łatwe życie w Westfalii. Ale to się zaraz skooczy, ja wam to mówię! Do diabła, to się zaraz skooczy!

Trzasnął mocno szpicrutą w cholewkę buta, aż dwóch czy trzech żołnierzy stojących w pierwszym

szeregu odskoczyło przestraszonych.

* Nawet jeśli bym miał zabić każdego z was, jednego po drugim, tak będzie!

Sęp przebiegł gorejącym spojrzeniem po ich twarzach, gdy tak stali w czerwcowe, upalne popołudnie, zgrupowani wokół kilkunastu Tygrysów, które dotarły tutaj tego ranka prosto z bocznic kolejowej.

* Wy, żołnierze z Batalionu Szturmowego SS Wotan, musicie wiedzieć, że nie bawimy się w żadne gierki.

Jesteśmy elitarnym oddziałem Fuhrera * jego brygadą ogniową. I wierzę, że takim terminem jesteśmy określani w kwaterze głównej. Ale w tej chwili, wy * cienkie strumyki sików* nie dalibyście nawet rady wydobyć płomienia z zapalniczki.

Popatrzył na nich pogardliwie z wysokości kadłuba Tygrysa.

* Ponieważ jesteście rozmiękczeni, rozumiecie? Miękkie gówno, jasne? Dzisiaj ściągniecie z łapek jednopalczaste dzieciinne rękawiczki, obiecuję to wam! Dzisiaj mam was zamiar nauczyć, co znaczy zaszczytna służba w brygadzie ogniowej Fuhrera!

Złapał głęboki oddech, czyniąc widoczne wysiłki, by odzyskać kontrolę nad sobą. Jednak von Dodenburg, podziwiając znakomite

przedstawienie swego dowódcy, wiedział, że Sęp tylko wykorzystuje dar wymowy. Jego gniew był wystudiowany i sztuczny, miał ugodzić młodych rekrutów i wywołać w nich jakąkolwiek reakcję.

* Za mną * powiedział szybko * możecie zobaczyć armatę przeciwpancerną kalibru trzydzieści siedem milimetrów. Wprawdzie nie jest to zbyt potężna broń, ale na krótkim dystansie, jeśli trafi was jej pocisk, może przyprawić o niewielki ból głowy.

Uśmiechnął się lekko ze swojego dowcipu, ale w jego zimnych oczach nie było widać nawet cienia radości.

* Podo mną stoi stalowy wierzchołek, który może być zatrzymany tylko przez jakieś nieznanne działo przeciwpancerne, jeśli będzie dobrze obsługiwane.

Jednocześnie kopnął w pancerną wieżę ciężkiego czołgu błyszczącym butem do konnej jazdy, ozdobionym ostrogą. Cały czas nosił takie oficerki, mimo że z kawalerią rozstał się w 1937 roku.

* Jego pancerz czołowy nie może zostać przebity przez pocisk z takiego działa nawet z odległości dwustu metrów. Oczywiście jest to nieprzyjemny odgłos, gdy pocisk wystrzelony z takiej odległości uderza w stalową płytę * uśmiechnął się, patrząc ironicznie na poważne twarze młodych ludzi. * Ale to dotyczy tylko tych, którzy robią w portki ze strachu, nawet wtedy, gdy w nocy zaskrzypi okno. Potem podniósł

głos.

* Dzisiaj, moim zamiarem jest zrobienie z was * żółtodzioby * prawdziwych mężczyzn. Załoga każdego czołgu w batalionie przejedzie z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę przez trasę, która została wyznaczona. Jak tylko wasz pojazd dotrze do zielonego znaku, porucznik Schwarz i kapitan von

Dodenburg, obsługujący naszą armatkę, otworzą ogień.

Przerwał na chwilę, oczekując odruchu zdumienia, ale się nie doczekał.

Sęp uśmiechnął się drwiąco i kontynuował.

* Armatka wystrzeli do każdego czołgu trzy pociski. Kiedy pojazd dojedzie do białego znaku

oznaczającego dystans dwustu metrów, dowódca czołgu wyda komendę, by skręcić w prawo i wyjechać poza pole ostrzału. Jednak jedno słowo ostrzeżenia. Jeśli ktoś z was zdecyduje się skręcić przed osiągnięciem białego znaku, rozkażę naszym oficerom otworzyć ogień w stronę takiego czołgu. A nie ma żadnej wątpliwości, że pocisk naszej armatki z takiej odległości przebije pancerz boczny Tygrysa. Wtedy ktoś może nie tylko pobrudzić białiznę, ale również rozbić sobie nos.

Pozwolił, aby jego słowa wsiąknęły w umysły żołnierzy, a potem dmuchnął w gwizdek.

Stojący przy końcu trasy przejazdu kierowca Schulzego odpalił z rykiem silnik czołgu. Chwilę później ogromny, ważący ponad sześćdziesiąt ton Tygrys, z pokrowcem osłaniającym hamulec wylotowy

podniesionej lufy czołgowej, potoczył się naprzód. Żołnierze z batalionu rozbiegli się do swoich pojazdów bojowych, a Schwarz z von Dodenburgiem pospiesznym krokiem oddalili się w kierunku armaty

przeciwpancernej.

* Ognia! * krzyknął Sęp, gdy czołg Schulzego przejechał przez pozycję startową.

Z takiej odległości Schwarz nie mógł nie trafić. Biała smuga pomknęła płasko przez wyznaczony dystans i pocisk z hukiem uderzył w środek czołowej płyty pancernej. Metal momentalnie rozjarzył się

przytłumioną czerwienią. Potem pocisk niczym zwyczajna raca z gwizdem pomknął w niebo. Von

Dodenburg szybko przeładował, a na czoło wystąpił mu pot. Schwarz ponownie nacisnął dźwignię

spustu. Podmuch gorącego powietrza uderzył w twarz kapitana jak zwiotczała pięść. Odetchnął,

otwierając szeroko usta, aby uchronić bębny swoich uszu przed ciśnieniem fali uderzeniowej

powietrza, i popatrzył ponad tarczą przeciwodłamkową armaty.

Pocisk trzasnął w cel z nieprzyjemnym zgrzytem metalu uderzającego o metal. Tygrys tylko zakołysał się lekko i pocisk kalibru 37

mm odskoczył od niego jak piłka golfowa. Po uderzeniu na pancerzu czołowym została tylko nowa, błyszcząca jak srebro szrama.

Nim Tygrys Schulzego dotarł do białego znaku, Schwarz wystrzelił po raz trzeci. Chmura iskier rozplynęła się na przedzie czołgu, który cofnął się trochę na tylnym kole zębatym jak wierzgający rumak. Sekundę później czołg skręcił w prawo i skrył się w tumanie gazów spalinowych.

* Trzy bezpośrednie trafienia * oznajmił Sęp chrapliwym głosem przez megafon, patrząc na zdjętych trwożą szeregowców, którzy stali z szeroko otwartymi oczami * i żadnego przebicia pancerza. Teraz bez wątpienia do waszych tępych głów dotrze, że Tygrys jest bronią wygrywającą bitwy.

* Ale, panie majorze * wtrącił się zastępca Schwarza. * Czy stad nas na uszkodzanie naszych nowych pojazdów w trakcie dwiczeo? Uważam, że demonstracja, którą widzieliśmy, powinna wystarczająco przekonad nas o wartości broni wyprodukowanej przez naszych towarzyszy ludowych.

Sęp spojrział jak na paproch leżący na ziemi na bladolicego, młodego podporucznika, który dołączył ledwie trzy miesiące temu do batalionu, po ukooczeniu kursu oficerskiego w Bad Tólz.

* Horten, mój drogi * zachrypiał. * Twoi towarzysze ludowi, jak ich nazywasz, są po części mętami Europy, przekupionymi lub zmuszonymi biciem, by przyjechali do Niemiec i pracowali w naszych

fabrykach. I zanim powierzę moje życie robotnikom z jakiejś Polski czy makaroniarzom, to muszę sprawdzid, jak taki pojazd sprawdzi się w ogniu walki. Pechowo, w czasie obecnie trwającej wojny Iwany nie pozwolą nam w środku bitwy usiąść i usuwad usterki, które powstały w wyniku niedoróbek czy też po prostu sabotażu * jak to lubisz mówid * naszych towarzyszy ludowych.

W tylnych szeregach zgromadzonych żołnierzy rozległy się ciche śmiechy, a blade do tej pory porucznik zaczerwienił się z zakłopotania. Otworzył usta, by coś jeszcze powiedzied, ale Sęp nie dał mu szansy.

* Zbierad się! * ryknął przez megafon. * Wszystkie załogi do wozów!

Młodzi esesmani ruszyli szybko przez nierówny teren w stronę stojących z boku stalowych potworów.

Chwilę potem względna cisza popołudnia została przerwana hałasem rozruchu silników czołgowych, które jeden po drugim budziły się do życia. Od czasu do czasu rozlegał się metaliczny grzmot metalu o metal. Niektórzy młodzi czołgiści z pobladłymi twarzami, zaszokowani wychodzili

chwiejnym krokiem z ostrzelanych pojazdów. Inni wystawiali tylko głowy poza włazy i wymiotowali, a w ich głowach nadal dzwoniło po uderzeniach pocisków armatnich, wystrzeliwanych

z tak bliskiej

odległości.

Sęp nie darował nikomu. Poganiał kolejne załogi, by wsiadały do Tygrysów, mobilizując ich ironicznym tonem swojego szorstkiego głosu. W tym samym czasie von Dodenburg pocił się nad zamkiem

rozgrzanej do czerwoności lufy armatniej, a za jego plecami rosła sterta dymiących, mosiężnych łusek.

Wtedy nastąpiło najgorsze. Przestraszony dowódca jednego z Tygrysów rozkazał kierowcy porzucić wyznaczoną trasę, gdy tylko kolejne uderzenie zatrzęsło pojazdem na boki. Sęp, którego oczy pałały gniewem, nawet się nie wahał.

* Schwarz * wydarł się, przekrzykując ryk silnika czołgowego. * Walnij go dokładnie w podstawę wieży!

Porucznik z okiem przyciśniętym do gumowej osłony celownika szybko odnalazł cel. Natychmiast po tym wystrzelił. Armatka podskoczyła jak wierzgający koo, aż smugi kurzu poderwały się z ziemi. Ale nikt nie zwracał na to uwagi, bo wszyscy gapili się na ciężki czołg.

Pocisk wycelowany przez Schwarza trafił dokładnie w słaby punkt * pierścień obrotowy wieży. Z

cienkiego pasa metalu poleciały iskry. Tygrys podskoczył na tylnych kołach naciągowych gąsienic jak żywa istota. Spod pokrywy silnika wystrzelił w górę ostry szpikulec płomieni. Widzowie tylko sapali z przerażenia.

* Wskakiwad z wozu... na rany Chrystusa... wskakiwad z wozu * wrzeszczał von Dodenburg.

Rzucił na ziemię pocisk, który trzymał w rękach, i szybko pobiegł naprzód. Jego ruch jakby zdjął urok z zapatrzonych ludzi. Wszyscy rzucili się gwałtownie w stronę płonącego czołgu, z którego wydostały się czarne cienie i przewracały na ziemię, krzycząc z przejmującego bólu.

Jednak dla dowódcy czołgu, który tak przestraszył się ostatniego trafienia, pomoc przyszła za późno.

Leżał martwy na wypalonej trawie, a niewielkie niebieskie płomienie nadal lizały jego popalone ciało.

Bezroski Sęp butem odwrócił na plecy ciało zabitego i popatrzył znudzony na zwęgloną twarz.

* Tak jak myślałem * zaskrzeczał. * Przyjacieli Horten od studiów antropologicznych.

Spojrzał ironicznie na von Dodenburga, a potem odsunął wypastowany na wysoki połysk but. Ciało z rozwalonym brzuchem znowu opadło na ziemię.

* No, teraz przynajmniej wiemy, że długość napletka nie decyduje o odwadze, co, von Do*denburg?

Mówiąc to, Sęp smagnął szpicrutą po cholewce oficerek.

* W porządku, wy kocie ogony * krzyknął do zebranych wokół niego rekrutów, którzy gapili się z rozdziawionymi gębami na martwego oficera leżącego na spalonej trawie. * Tak więc zobaczyliście pierwszego sztywnego, a teraz wracamy do dwiczeo, jasne?

Czas biegł nieubłaganie. Było to jasne nawet dla najbardziej nieopierzonego rekruta z Batalionu Szturmowego Wotan. Z każdym dniem ich dowódca zwiększał nacisk * atak w sile plutonu, kompanii, natarcie całym batalionem, wsparcie nacierającej piechoty, obrona przed atakiem partyzanckim.

Godzina za godziną, od szóstej rano do późnej nocy. Gdy wreszcie czerwona tarcza słooca zniknęła za westfalskim horyzontem i rekruci, chwiejąc się na nogach, mogli udać się po omacku do swoich łóżek piętrowych, starsi podoficerowie i oficerowie wlewali nadal w ich uszy wiedzę, jaką zdobyli w ciągu czterech lat wojny.

* W nocy, gdy T*34 Iwanów podjadą do was, nie sikajcie w portki, tylko pošlijcie kilka rac oświetlających w ich wieżę. To osłepi ruskiego celowniczego na tyle długo, aby nawet takie ofiary jak wy zdołały ich załatwić...

* Poczekajcie, aż przód T*34 się podniesie. Wtedy trzymacie go krótko za pysk. Możecie zobaczyć od spodu jego wszystkie flaki, i to bez pancerza! Cap! Macie go w takiej pozycji, jakbyście spadali na własną dziewczynę w łóżku. Tak jest, oczywiście jeśli ktoś lubi dziewczyny...

* Ich łączność radiowa jest do dupy * w zasadzie nie istnieje. Rosjanie nie potrafią budować porządnych radiostacji krótkofalowych, bo bydlaki mają po sześć paluchów u dłoni. Co się więc dzieje, jeśli chcą przypuścić skoncentrowany atak? Wyciągają małe chorągiewki sygnałowe i machają nimi jak gówniani skauci w czasie podchodów. A co wy robicie? Czekać, aż pierwszy Iwan wystawi z włazu łeb i

chorągiewki, i walcie do niego z karabinu maszynowego. Całe natarcie rozpada się na kawałki, ponieważ trafiony przez was Rusek bez wątpienia był dowódcą kompanii lub batalionu. A jeśli Iwanom nikt nie wydaje rozkazów, to głupieją jak małpy na widok śniegu.

* Oskrzydlajcie ich * zawsze ich oskrzydłajcie. Jeden Tygrys w zasadzie wystarczy, by wykończyć całą kompanię T*34. Zawieszenie, pierścień wieży, pokrywa silnika * możecie załatwić ich jednego po drugim, strzelając z boku. Wtedy trzymacie ich tak, że możecie

wycisnąć im sok z orzeszków. Ale pamiętajcie, pancerz czołowy T*34 jest tak samo wytrzymały jak pancerz Tygrysa. Jeśli więc nie chcecie umrzeć za naród, Fuhrera i ojczyznę, wcześniej, niż wam to było przeznaczone, to musicie do nich strzelać z boku. Tylko z boku...

I tak to wszystko wyglądało. Von Doden*burg odkrył, że podniecające i tak ponętne ciało Karin Schmeer mogło ledwie go pobudzić do życia, sierżant Schulze stwierdził, że sznycle i smażone ziemniaki jej matki zaczęły tracić swoją atrakcyjność, zaś podejrzenia Met*zgera w stosunku do Lory trochę przycichły z obawy, że tak intensywne szkolenie oznacza, iż batalion będzie musiał jeszcze raz wyruszyć na front wschodni.

Ich obawy okazały się całkiem słuszne. 20 czerwca 1943 roku dowódcy batalionów i kompanii zostali nagle wezwani do sztabu w Bielefeld na szybką odprawę, którą miał poprowadzić osobiście sam

dowódca dywizji.

Sepp Dietrich * przysadzisty i bezwzględny, były czołgista w stopniu sierżanta z I wojny światowej; twórca Leibstandarte w czasach, gdy partia nazistowska walczyła o władzę * był w swoim tradycyjnie butnym i błyskotliwym nastroju, który bez wątpienia podtrzymywała butelka sznapsa spożyta koło południa.

* Panowie * zaczął bez zbędnych wstępów, gdy już wszyscy oficerowie zajęli miejsca

w pokoju map * najwyższe dowództwo załatwiło nam tym razem słodziutki temat.

Stuknął długim wskaźnikiem w mapę na ścianie, w rejonie centralnego odcinka rosyjskiego frontu.

* Mamy umówione spotkanie z Dywizją Gross Deutschland.

(Elitarna dywizja pancerna Wehrmachtu, której żołnierze, podobnie jak w niektórych dywizjach Waf*fen SS, także mieli prawo do noszenia honorowych opasek na rękawach mundurów.)

Naszym celem jest Procho*rowka, dzięki czemu powinno udać się oskrzydlić Kursk. Kiedy już to zrobimy

* Jezusie, Mario i Józefie * a będziemy mieć do dyspozycji 700 wozów bojowych, w tym prawie 100

Tygrysów * ruszymy dalej naprzód, by połączyć się z armią Modela nadchodzącą z północy.

Złapał kieliszek, który stał na tacy trzymanej przez ordynansa stojącego z jego prawej strony i wypił jednym haustem.

* Wielu z was zostanie wyleczonych z bólu wstążkami orderów, przynajmniej tak mi się wydaje. Inni na pewno zostaną awansowani na wyższe stopnie.

Oczy błyszczały mu radośnie, gdy pocierał dłonią swoją zbójcką szczękę.

* Chcę, żeby korpus ruszył jak jeden mąż i żeby nikt się nie wymigiwał. A na wielką nierządnicę Batszebę, dowiem się, gdyby było inaczej! Zrozumiano?

* Zrozumiano, panie generale! * odkrzyknęli jednym głosem, łącznie z Geierem, który nie dowierzał talentom dowódczym Die*tricha.

* Dobrze. Ale nie chcę też, abyście mieli wrażenie, że będzie to miły, spokojny walc wiedeoski.

Rosjanie rozbudowali na południe od Kurska potężne pozycje obronne.

Dla dodania wagi tym słowom stuknął w mapę swoją bokserką pięścią.

* Zbudowali tam setki jeży.

(System fortyfikacji ziemnych, broniony przez oddział w sile kompanii wzmocniony czterema, pięcioma wzajemnie ubezpieczającymi się armatami.)

Zgodnie z tym, co podają ludzie Starego Lisa (Przezwisko nadane admirałowi Canarisowi, szefowi niemieckiego wywiadu Abwehry.), spodziewają się naszego ataku w tym rejonie, a ich plan polega na tym, by pozwolić przebić się naszym czołgom i poczekać na idącą za nimi piechotę. Dobrze, niech te bękarty czekają * uśmiechnął się, pokazując śnieżnobiałe zęby, ponad którymi widad było

wypielegnowane wąsiki. * Mogą czekać do dnia Sądu Ostatecznego, przynajmniej tak uważam. My, w Leib*standarte weźmiemy piechotę na pancerze Tygrysów. Kiedy połączymy się już z armią Modela, a Ruscy będą się dalej drapać po owłosionych plecach i zastanawiać się, gdzie się podzieli Niemcy, zabierzemy się za te ich jeże.

A teraz usłyszycie dokładnie, z czym czekają na nas Rosjanie pod Kurskiem. Podniesionym głosem szczechnął:

* Kraemer, chodź i bądź moim szefem sztabu. Ordynans, daj mi jeszcze jeden cholerny kieliszek wódki, bo umieram z pragnienia.

Z westchnieniem rezygnacji Kraemer, elegancki szef sztabu w regularnej armii, który często wyznawał

Sępowi, że jego szef nawet nie potrafi prawidłowo czytać map, wszedł w środek grupy oficerów i zaczął

zarzucać ich danymi statystycznymi.

* Głębokość obrony Frontów Woroneskiego i Centralnego na osi naszego natarcia waha się od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu kilometrów.

Nawet najbardziej zahartowani dowódcy batalionów z „Brygady Ogniowej Hitlera” nie byli w stanie ukryć westchnienia zaskoczenia, ale Kraemer zdawał się na to nie zwracać uwagi.

* Sowieci wykopali jakieś pięć tysięcy kilometrów transzei i zakopali w ziemi ponad czterysta tysięcy min i ładunków wybuchowych. Na kilometr pasa obrony przypada mniej więcej dwa tysiące czterysta min przeciwpancernych i dwa tysiące siedemset min przeciwpiechotnych, czyli sześć razy więcej niż w czasie walk o Moskwę i cztery razy więcej niż w bitwie o Stalingrad. Sowieci przywiązują wielką wagę do obrony przeciwlotniczej. Zgodnie z tym, co donoszą agenci Abwehry, zgromadzili tam dziewięć dywizji

przeciwlotniczych plus czterdzieści pułków...

* Dość! Już dosyd! * wtrącił się gwałtownie Dietrich. * Chryste, Kraemer, czy ty chcesz ich wystraszyd na śmierd?

* Po prostu podaję fakty, panie generale * odparł sztabowiec bez cienia szacunku, jakby już wcześniej wielokrotnie zdarzały się podobne sceny.

* Fakty! * prychnął butny generał. * Żołnierze nie dbają o fakty. Gdyby tak było, nigdy nie poderwaliby się do walki. Tylko by stali skamieniali z powodu takiej statystyki, licząc każdy kawałek gówna, który koło nich przeleciał.

Roześmianymi, brązowymi oczyma popatrzył łobuzersko na swoich oficerów.

* Proponuję, aby od momentu, w którym już wiecie, czego się po was spodziewamy w trakcie nowej misji * i dzięki tu obecnemu mojemu promykowi słooça, Kraemerowi * jakiego rodzaju gównianego oporu możecie się spodziewad, proponuję odstawid wszystko na bok i zrobid to, co każdy prawdziwy żołnierz, nim ruszy do walki * walnąd kielicha wódki i położyd się spad, o ile tylko potrafi.

Potem ponownie krzyknął gromko.

* Ordynansi * napitek!

Grupa kelnerów ubranych w białe marynarki niemal wtargnęła do pokoju, niosąc na tacach kieliszki zmrożonej wódki. Szybko przekazywali je oficerom.

Sepp Dietrich wzniosł szkło wysoko w górę.

* Panowie, za sukces operacji „Cytadela”! * ryknął jak sierżant na paradzie.

* Za operację „Cytadela”! * odpowiedzieli niemal jednogłośnie.

Jednym haustem pochłonęli pałacy gardło spirytus. Po chwili salę wypełnił brzęk tłuczonych kieliszków, którymi rzucali w kamienne palenisko kominka.

SIEDEM

Von Dodenburg potrząsnął głową i wreszcie obraz pokoju nabrał większej ostrości, chociaż ciągle był

niewyraźny. Potrząsnął głową jeszcze raz, znacznie energiczniej i w sekundę później tego pożałował.

Powoli omiół wzrokiem cały pokój. Jej ubrania leżały porozrzucane dosłownie wszędzie. Białe

bawełniane majteczki, takie jak noszą małe dziewczynki w pierwszych latach szkoły, leżały na podłodze, rajtuzy zwinięte w ciasny kłębek na toaletce, tak jakby nie była w stanie ich odpowiednio szybko zdjąć; sweter leżał z rozrzuconymi rękawami na koocu wielkiego łóżka, przypominając bezgłowego pływaka.

Karin nadal spała spokojnie, z twarzą wciśniętą w wymiętoszoną i poplamioną pościel. Puchowa kołdra była odrzucona na bok, jakby skopało ją kapryśne dziecko, które nie chciało iść spać. Ale w jej opalonym na brąz ciele nie było nic dziecinnego. Pod pachą jednego z uniesionych nad głowę ramion widad było kępkę ciemnych włosów, piersi i pośladki miała znakomicie zaokrąglone, a pomiędzy rozrzuconymi nogami widad było mocno zarośnięty wzgórek łonowy * to wszystko ukazywało kobietę * doświadczoną kobietę.

Pomimo jej szesnastu lat nic nie wskazywało na niedojrzałość seksualną Karin Schmeer. Gdy Schulze odstawił go pod jej drzwi, po tym jak kompletnie pijani, zataczając się, powrócili z Bielefeld, dziewczyna nawet przez moment się nie wahała. Zlekceważyła zgorzone spojrzenie cycatej gosposi i wciągnęła go sprawnie do swojej sypialni, jednocześnie ściągając z niego mundur drżącymi z podniecenia rękami.

Potem była noc pełna szaleoczych ataków namiętności, które powtarzały się raz za razem, jakby nastoletnia dziewczyna nie była w stanie zaspokoid pałającego, rozrywającego jej ciało pożądania.

Wreszcie zaczął ją błagać

o odrobinę snu, na co zareagowała histerycznym płaczem. Pomimo tego zapadł w dręczącą drzemkę.

Śniło mu się, że cały batalion stoi nago na jakimś zapomnianym przez Boga, płonącym rosyjskim stepie, a wielkie sowieckie czołgi koszą żołnierzy spokojnie i uroczyście, jakby to były zwyczajne dwiczenia.

Leżąca u jego boku Karin westchnęła. Już przebudzona odwróciła się, otworzyła oczy

i objęła go czule ramieniem za szyję.

* Pocałuj mnie * wyszeptła przez spierzchnięte i popękane usta.

Pocałował ją, ale nie czuło się w tym czułości czy chodby tylko przekonania. Zauważyła to. Odsunęła się trochę i przez moment mierzyła go wzrokiem. Potem odrzuciła spadający na oczy długi kosmyk

blond włosów.

* O co ci chodzi? * spytała poważnie, bez emocji.

* O to, czego się spodziewam * powiedział, wstrząsając ramionami.

* Ale dlaczego?

* Coś jest nie tak. Mam na myśli, że ty jesteś zwykłą siksą chodzącą do szkoły, a ja oficerem SS. Miałem już doświadczenia... * przerwał w tym momencie, bo nie bardzo umiał znaleźć słowa, którymi mógłby opisać swoje wrażenia.

* Czy ty myślisz, że jeszcze nie spałam z innymi mężczyznami, Kuno? * spytała przekornie.

* Oczywiście. Ale co będzie, jeśli twój ojciec nas odkryje? Wiesz, co o mnie pomyśli, przecież chyba dobrze wiesz?

Zaśmiała się cynicznie i trochę pogardliwie podrapała go po piersi.

* On? Jego to nie obchodzi. Wszystko, o co się troszczy, to napełnianie kieszeni i te żydowskie dziwki z centrum miasta, które pozwalają mu zboczone sztuczki, ponieważ obawiają się, że pośle je do obozu, jak nie będą posłuszne.

* Napełnianie kieszeni, żydowskie dziwki

* w narodowosocjalistycznych Niemczech?

* wyjąkał zadziwiony oficer.

Zaśmiała się, widząc jego zakłopotanie i nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła po papierosa.

* Przecież niemieckie kobiety nie malują się i nie palą papierosów (Twierdzenie używane w trakcie wojny w Niemczech, aby wykpid sposób myślenia nazistów o roli kobiet w III Rzeszy.) * powiedziała z ironią, przypalając papierosa.

Dmuchnęła z zadowoleniem długim strumieniem niebieskiego dymu i dodała:

* Nie patrz tak na mnie, kapitanie von Do*denburg! Gówno! Gdzieś ty był przez te wszystkie lata od 1939 roku?

* Na froncie.

* Na froncie * ach tam! * powiedziała lekceważąco, jakby to było gdzieś na Marsie.

* Rozumiem. Ale ty też musisz zrozumieć, że teraz są Niemcy z 1943 roku. Wiele rzeczy się zmieniło.

* Co się zmieniło? * spytał natarczywie, chociaż czuł, jak Katrin pieści go wolną ręką i przygląda mu

się z sennym rozbawieniem.

* Ludzie się zmieniają i wychodzą z siebie.

Jej zmyślne łąpki zaczęły go głaskać z podniecającą delikatnością piórka, tak jak to potrafiły czynić paryskie nierządnicę.

* Skąd o tym wiesz? * Jesteś jeszcze dzieckiem * pytał, usiłując zważyć ogarniające go pożądanie.

* Dzieckiem? * wyszeptała szorstko. * Obejmij mnie, to pokażę ci, czy jestem jeszcze dzieckiem, czy nie.

Próbował oderwać od siebie jej rękę, ale trzymała go mocno, jakby nie mogła znieść myśli, że to źródło przyjemności może zniknąć. Czuł, jak jej ciało drży z napiętością.

* No, chodź * powiedziała, rozrzucając na bok zgrabne nogi.

Jakby wbrew woli przerzucił prawą nogę ponad jej ciałem, gotów dalej ją ujeżdżać. Jednak los zdecydował inaczej. Już nigdy więcej nie będzie kochał się z Katrin Schmeer. Gdy ugięła nogi pod brodę, aby go przyjąć, rozległo się donośne pukanie do drzwi, zza których dobiegł znajomy głos.

* To tylko ja, panie kapitanie.

Chwilę później do sypialni wtargnął Schulze, ubrany jedynie w podkoszulek i ciężkie, wojskowe buty. W

jednej ręce trzymał do połowy opróżnioną butelkę wódki, drugą zaś przyciskał do siebie całkowicie nagą, beznadziejnie pijaną i chichoczącą gosposię.

* Panie... * słowa uwięzły mu w gardle, gdy zdał sobie sprawę, co w tej chwili wyczyniał jego dowódca. *

W tych kwestiach Prusacy nigdy się nie śpieszą, wszystko robią porządnie!

Wybuchnął radosnym rechotem, który rozszerzył jego bezczelną, zniszczoną wiatrem twarz.

* Co ty, do diabła, myślisz, Schulze, że gdzie jesteś? * warknął groźnie von Doden*burg, naciągając puchową kołdrę na siebie i dziewczynę, której nogi były nadal wyczekująco podniesione do góry.

* Niech pan się nie gniewa, panie kapitanie. Spełniam po prostu swój obowiązek i przepraszam za to. Ale musiałem panu przerwać * dodał, znacząco patrząc na leżącą dziewczynę.

* No, dalej. Co za obowiązek?

* Dehn, pamięta go pan, prawda?

Von Dodenburg nerwowo skinął głową.

* Powiedziałem mu poprzedniej nocy, gdzie ma nas szukać, gdyby coś się stało, panie kapitanie.

* I co?

* Coś się dzieje.

* Ale co, człowieku? Wyduś to wreszcie ze siebie!

* Wyjeżdżamy. Dehn już wyrwał mnie i moją gospozię z naszej otchłani. A teraz czeka na zewnątrz w volkswagenie.

* Piekło i szatany, człowieku! * wybuchnął von Dodenburg. * O czym ty mówisz? Jaki wyjazd?

* Na front, panie kapitanie. Mamy wyruszyć w ciągu dwunastu godzin.

Narastająca pewność, że batalion wkrótce wyruszy na wojnę, w koocu zmusiła Metzgera do podjęcia zdecydowanych kroków. Jeszcze tego samego ranka wymknął się z biura batalionu i zamiast pójść na zwyczajowe „drugie śniadanie”, składające się piwa i kieliszka wódki, szybkim krokiem skierował się do siedziby Kreisleitara Schmeera.

Sekretarka Schmeera, kobieta z zawziętym wyrazem twarzy, która potrafiłaby nawet przed diabłem postawić zasieki, aby tylko nikomu nie pomóc, potrząsnęła przecząco głową, gdy spytał o jej szefa.

* Kreisleiter jest bardzo zajęty i nie można przyjść tak po prostu i powiedzied: „chcę się z nim widzieć”.

* A ja mogę * rzucił krótko Metzger ośmielony wiedzą i poczuciem uciekającego czasu.

Prychnęła, ale zrobiła, o co prosił. Poszła w stronę wielkich drzwi, majtając szerokim tyłkiem jak flandryjska kobyła. Wydawało się, że nie było jej szmat czasu. Metzger został w ponurym sekretariacie w towarzystwie: opuchniętego popiersia żelaznego kanclerza Bismarcka,

plakatu przedstawiającego Hitlera na białym koniu, odzianego w średniowieczną zbroję i trzymającego sztandar ze swastyką oraz niewielkiego obrazka z małym chłopczykiem sikającym do basenu, na dole którego widniał starodawny podpis: „Nie pij wody, bo to szkodzi”.

Wreszcie sekretarka z wielkim tyłkiem powróciła.

* Pan Kreisleiter znalazł dla ciebie kilka minut * powiedziała.

* A ja mu dam pięćdziesiąt lat, jeśli to gówno nie będzie uważad * mruknął do siebie sierżant, gdy przepychał się obok paskudnej kobiety.

Już wewnątrz niewielkiego gabinetu stuknął regulaminowo obcasami i ryknął:

* Heil Hitler, panie Kreisleiter!

* Heil Hitler * odpowiedział zmęczonym głosem aparatczyk, ledwo unosząc rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. * Nie tak głośno, Metzger, jeśli łaska. Szklanki w górę * za Nowy Rok, ta noc będzie wreszcie chłodna!

Schmeer spojrział ze zdumieniem na zagniewaną twarz Metzgera.

* Do diabła, co się z tobą dzieje, Metzger. Coś ci się pod sufitem pomieszało, czy co?

* O nie, panie Kreisleiter. Z moją głową jest wszystko w porządku. To pan powinien się martwić o swoją głowę i swojej przyjaciółki o imieniu Sara.

* Jaka Sara?

* Nie próbuj mnie podejść * szczechnął wściekły Metzger. * Widziałem cię ostatniej nocy z tą żydowską dziwką!

* Gdybyś tylko wiedział, Metzger, co gestapo w tym mieście potrafi zrobić * zarechotał grubas, nie ruszając się z miejsca.

Sierżant zupełnie zignorował jawną groźbę.

* Podczas gdy mężczyźni tacy jak ja są na froncie * powiedział i spojrział z pogardą na Krzyż za Zasługi Wojenne II Klasy Schmeera * wy, ogiery taborowe, wtrącacie się w życie naszych kobiet, a nie tylko parzycie się z tymi brudnymi Żydówkami.

Piorun przeleciał przez zaczerwienione z przepicia oczy Kreisleitiera.

* A, o to ci chodzi, Metzger. Ty myślisz, że ja i Lora? * nie musiał kooczyd tego zdania, tylko symbolicznie pokazał palcami uprawianie seksu.

* Tak, wiesz dobrze, o co mi chodzi! I wiem, jak to przerwad!

Schmeer potarł palcem czubek nosa.

* Nie to miałem na myśli, Metzger. Lora ma naprawdę dobre zderzaki. Sam miód z maliną * powiedział

grubas, ledwo tłumiąc śmiech. * Tak właśnie mówimy we wschodniej Westfalii.

Potem westchnął z ulgą.

* Ale obawiam się, że jakiś lepszy gość mnie już uprzedził, sierżancie.

* Co! * Metzger już tracił panowanie nad sobą. * Co to znaczy?

* To, co powiedziałem. Ktoś już wcześniej zakisił ogóra w twojej Lorze.

*Kto?

* Ten mały facecik z twojego domu. Nawet nie zauważyłeś, jak chodzi ze zgarbionymi plecami. Tak zawsze chodzą ci, którzy mają za długą kiełbasę w gaciach.

* Ale kto to jest?

* Kto? * spytał Schmeer, a jego twarz rozszerzył złośliwy uśmiezek. * To ty naprawdę nie zauważyłeś, co się dzieje tuż przed twoim wielkim nosem?

* Kto? * Metzger zrobił się purpurowy na twarzy, a żyły wyszły mu na skroniach.

* No przecież ten makaroniarz!

* Mario?

* No pewnie, że o niego chodzi.

Sprężyny łóżka trzeszczały jak tłoki w szalonej lokomotywie, gdy z hukiem otworzył drzwi i pokonując po dwa stopnie naraz, rwał na piętro. I nie trzeba mu było wmawiad, że Lora właśnie zmieniała pościel.

* Pożar w burdelu! * krzyknął w powietrze. * Dzięki Bogu. Dobrze, że mam ze sobą pistolet służbowy.

Zastrzelę te dwa zboczone bękarty.

Gwałtownie szarpnął drzwiami swego mieszkania. Jednak to, co zobaczył w sypialni, przekroczyło jego najgorsze oczekiwania.

Lora leżała na plecach z nogami wyciągniętymi do góry, pot spływał po jej nagim ciele, a szeroko otwartymi ustami łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. W tym czasie niepełnowymiarowy, chudy makaroniarz skakał na szczycie jej białego pulchnego ciała, jakby chciał napompowad dużo gazu w jej ciemną szparkę. Kobieta toczyła szalonym wzrokiem, próbując coś dostrzec przez lawinę zasłaniających jej twarz włosów.

* Ty suko! * wybuchnął. * Ty wyuzdana suko!

Mario zmartwiał z przerażenia. Odwrócił głowę, a jego ciemna twarz pozieleniała.

* Lora! * zawołał, podrywając się z ciała kochanki. * To twój mąż!

* Zamknij się! * wysapała w ekstazie i ponownie wciągnęła go na siebie. * Jest bosko, mój mały gepardziku! Więcej!

* Więcej! Ja dam ci pierdolone więcej! * ryknął Metzger, tracąc kompletnie panowanie nad sobą, chwycił Maria żelaznymi rękami, ale jej nogi nadal oplatały nogi kochanka, który desperacko chciał się wyzwolid z tego uścisku.

Mały Włoch z wysiłkiem oderwał się od pulchnego ciała Lory. Kobieta powoli otworzyła oczy i oszołomiona spojrzała na gotującego się z wściekłości męża.

* To ty * westchnęła.

* A kogo się, kurwa, spodziewałaś * świętego Mikołaja?!

Szybko uniósł w górę zaciśniętą pięść, by uderzyd ją w twarz. Ale nie dane mu było dokooczyd tej akcji. Z

dołu, od strony ulicy doleciał dźwięk klaksonu samochodowego, a potem nerwowy okrzyk.

* Sierzancie Metzger * alarm! Zameldowad się natychmiast w koszarach! Wymarsz!

KSIĘGA DRUGA

OPERACJA „CYTADELA

To był wspaniały dzieo. Dopadliśmy Rosjan z gaciami opuszczonymi do kolan.

Major Geier do kapitana von Dodenburga, 5 lipca 1943 roku

JEDEN

* Co za cholernie paskudna pora dnia, aby dać się zabić * zrzędził Schulze, patrząc na cichy, bezkresny step ciągnący się przed jego oczami. * Południe w lipcu! W czasie porannych ataków przynajmniej jest chłodno.

Von Dodenburg przykucnął obok niego w spalonej słońcem rosyjskiej trawie, zsunął pancerniacką czapkę na tył głowy i otarł rękawem pot z czoła.

* Mój drogi, głupiutki Schulze * powiedział. * Iwani są przyzwyczajeni do naszych ataków o świcie.

Dlatego tym razem dobierzemy im się do skóry po południu, gdy będą mieli majtki spuszczone do kostek.

* Chciałbym to najpierw zobaczyć, panie kapitanie * nie ustępował sierżant.

* Zobaczysz, o to się nie martw.

Kapitan spojrzał za siebie na płytka dolinę, gdzie w pełnym pogotowiu, w męczącym upale czekała cała kompania. Żołnierze, pomimo bezlitośnie palącego rosyjskiego słońca, siedzieli w środku Tygrysów, nad pancierzami z

których unosiły się drgające, niebieskawe fale gorącego powietrza. Słaby wiatr ucichł i do pracy przystąpiły wszy i pchły piaskowe. Żołnierze batalionu Wotan drapali się z ponurą, gniewną zawziętością.

Von Dodenburg ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywał się od drapania swego ciała rojącego się od pasożytów. Spojrzał na duży zegarek kieszonkowy, ale Sęp delikatnie powstrzymał go ręką.

* Trzynasta piętnaście * zachrypiał i wyprostował się, ściskając w małej dłoni szpicrutę, jedyną broń, jaką posiadał. Von Dodenburg dołączył do niego. Jeśli Rosjanie ich spostrzegą, to pewnie uznają, że dwóch Niemców przeprowadza misję rozpoznawczą, tak przynajmniej sobie wmawiał. Nie powinni

podejrzewad, że za grzbietem niskich wzgórz skoncentrowana jest najlepsza część elitarniej dywizji pancerniej.

Ale na razie na umocnionych pozycjach, które Rosjanie wcześniej stworzyli, czyli jakieś osiemset metrów od nich, nie było widać nawet ich śladu.

* Pewnie odsypiają południowy posiłek * zauważył von Dodenburg. * Tak samo jak powinno zrobić wielu szanujących się przedstawicieli mas pracujących.

* Bardziej prawdopodobne, że odzyskują siły po opiciu się tanią wódką, którą tak często pijają, kapitanie

* poprawił Sęp.

* Bez znaczenia, grunt, że dobrze to wygląda * powiedział von Dodenburg, lustrując lornetką bezkresną równinę, na której nie było widad żadnego ruchu poza niebieskim paskiem dymu unoszącym się przy linii horyzontu.

* Myślę, że tym razem zaskoczyliśmy ich w samym środku zabawy.

* Tak, chyba tak jest. Mam przeczucie, że wypchniemy ich z pozycji bez większych kłopotów. Nawet sierżant, który prowadzi naszą dywizję * te słowa odnosiły się do Dietricha, o czym von Dodenburg dobrze wiedział * nie może sobie z tego robić jaj.

* Módlmy się, aby pan miał rację, panie majorze * odparł z nagłym zapalem kapitan. * Przyszłość całej Rzeszy zależy od sukcesu pod Kurskiem.

Sęp kichnął i potarł palcami koniec olbrzymiego nochala, który rosyjskie słooco spaliło na kolor łososiowego różu.

* Tak, to jest też moja szansa na objęcie dowództwa nad pułkiem, o tym trzeba pamiętać, mój drogi von Dodenburg.

Młody oficer otworzył usta, żeby zaprotestować przeciwko tak cynicznej postawie przełożonego, zwłaszcza w chwili, gdy oczywiste było, że operacja „Cytadela” będzie decydującą kampanią w całej krwawej rosyjskiej wojnie; ale Sęp nie dał mu do tego okazji. Wyciągnął z kieszeni

gwizdek, wsadził go w usta i dmuchnął przeciągle. Rozległ się przenikliwy świst.

Ludzie czekający w głębi dolinki natychmiast zareagowali, jakby tylko czekali na sygnał startu. Gdy von Dodenburg szybkim krokiem zmierzał do swojej kompanii, mając tuż za plecami Schulzego, grenadierzy pancerni zbierali ekwipunek bojowy i ściągali z pleców pistolety maszynowe. Podoficerowie rozdawali dodatkowe granaty, które rozchodziły się błyskawicznie jak darmowe rożki z lodami. W tym samym czasie czołgiści wciskali się przez włazy do swoich stalowych potworów. Co bardziej nerwowi po raz kolejny sikali pod osłoną panczerzy Tygrysów, których kierowcy zwyczajowo wściekali się, krzycząc:

* Co ty myślisz, że co to jest * jakaś cholerna szczalnia na dworcu kolejowym czy co?

Schulze wcisnął do ust ostatni kawałek specjalnej czekolady wydawanej tylko przed rozpoczęciem natarcia i zagryzł ją mocno wielkimi szczękami. Szedł spokojnie w stronę czołgu dowodzącego kompanią von Dodenburga, jakby mieli do wykonania jakąś rutynową akcję, a nie natarcie na największy system fortyfikacji, jaki znała historia.

* Pierwsza kompania gotowa, panie majorze! * darł się von Dodenburg, starając się przekrzyczeć ogólny hałas, po czym podniósł do góry rękę.

Sęp w podziękowaniu dotknął szpicrutą wygiętej krawędzi hełmu.

* Druga kompania gotowa, panie majorze! * wrzasnął Schwarzwald.

Kolejne kompanie zgłaszały gotowość bojową. Dowódca batalionu po raz ostatni popatrzył na pewne siebie, zacięte twarze młodych żołnierzy, tak jakby ich widział po raz pierwszy.

* Ruszad! * rozkazał głośno.

Kierowcy czołgów niemal jednocześnie nacisnęli guziki starterów. Wszędzie wokół rozległy się chrapliwe, astmatyczne kasznięcia silników. Z rur wydechowych Tygrysów wydobywały się już smużki spalin.

Kolejne silniki z rykiem budziły się do życia. Popołudniową ciszę przerwał nieznośny hałas. Grenadierzy pancerni pospiesznie wdrapywali się na pancerze czołgów jak tłum uczniów, który szturmuje autobus wycieczkowy, w obawie, by nie został na miejscu.

Równy z wybiciem druga ziemia zadrżała, a ryk silników * wobec hałasu dział artyleryjskich, który rozległ się w tym samym czasie * wydawał się przypominać mruczenie kota. Chropawy jakby radosny grzmot oznaczał salwę całej artylerii korpusu pancernego SS. Ciężkie pociski przeleciały ponad ich głowami i rozdarły z ogłuszającym zgrzytem pierwszą linię obrony Rosjan, wzniesając gejzery wybuchów.

Gdy czołgi toczyły się ku

grzbietowi wzniesienia, artyleria kontynuowała ostrzał. Salwa za salwą, groźne pociski przelatywały ponad ich głowami. Pierwsze okrzyki przechodziły w ogłuszające, złowrogie wrzaski. A te zamieniały się w furie, chyba już niekontrolowaną. Cała linia sowieckiej obrony znajdującej się przed nimi zasnuła się dymem, który powoli wznosił się w stronę czystego dotąd nieba.

Teraz ostrzał został przeniesiony na drugą linię obrony wroga. Główną rolę odgrywały tu sześciolufowe moździerzowe rakiety. Ich stanowiska znajdowały się dwieście metrów za pozycjami batalionu Wotan.

Kanonierzy właśnie naciskali przyciski elektrycznych mechanizmów zapłonowych. Huk przypominał dudnienie basów fortepianowych, a potem zgrzyt, jakby diament przecinał szkło. Powietrze przygniotło żołnierzy jak ciężki baldachim, a granaty moździerzowe wylądowały między „jezami” sowieckiej obrony.

To było to! Moździerze mogły zatrzymać Rosjan w ich dziurach, póki niemieckie czołgi z desantem grenadierów nie wedrą się między pozycje wroga i nie wymiotą go stamtąd.

* Na nich! * zazgrzytał przez radio metalicznym głosem Sęp.

Von Dodenburg automatycznie nacisnął włączniki radiostacji i komunikatora wewnętrznego.

* Pierwsza kompania, naprzód! * rozkazał. * Kanonierzy, przygotować pociski dymne do odpalenia, jak tylko przesunie się bariera ogniowa.

Gdy zatrzasnął kłapę wjazdu wieży i przyciągał do siebie peryskop, mógł słyszeć w słuchawkach, jak dowódcy innych kompanii wydają te same rozkazy.

Schulze, który zajął miejsce kierowcy na czas pierwszego ataku, zwolnił uchwyt dźwigni. Tygrys drgnął i ruszył powoli przed siebie. Chwilę potem jego przód ukazał się na krawędzi stoku, zasypany dosłownie deszczem kamyków i pyłu.

Von Dodenburg wciągnął powietrze, jakby czuł, że coś wypala mu migdałki. Cała pierwsza linia oporu Rosjan płonęła. Spomiędzy ściany pyłu co chwilę wychylały się gniewne, niebieskie płomienie ognia. Ale nadal śmiertelne rakiety uderzały w transzeje wroga. Chyba nikt * pomyślał * nie może przetrwać w tym piekle!

A jednak ktoś zdołał przetrwać. Jasny jak biel cynkowa rozbłysk pokazał się po ich prawej stronie. Głuchy dźwięk, podobny do odgłosu rozrywania płata grubego płótna, rozdarł powietrze i sowiecki pocisk zygzakiem odskoczył od pancerza ich czołgu. Kapitan od razu ogłuchł na prawe ucho. Zdenerwowany pacnął otwartą dłonią w głośnik słuchawki przy prawym uchu.

* Kanonier, przygotuj się do postawienia zasłony dymnej * rozkazał przez mikrofon krtaniowy, czując, że jego głos jest zniekształcony: * Iwani się odgryzają!

* Tak jest, panie kapitanie * krzyknął celowniczy, obracając w jedną i drugą stronę wieżę uzbrojoną w potężną armatę, tak aby od razu oddadł strzał, gdy tylko ukaże się przeciwnik.

Nagle von Dodenburg zauważył rosyjski T*34 wyłaniający się z kłębow dymu.

* Rosjanie! * krzyknął w mikrofon krótkofalówki, chcąc ostrzec resztę kompanii. * Dzia*łonowy, lufa na prawo, na godzinę drugą... jazda!

Celowniczy natychmiast ustawił lufę we wskazanym kierunku.

* Na celowniku! * von Dodenburg rzucił krótkie spojrzenie przez szkła peryskopu. Sowiecki czołg wyraźnie zaznaczał się w siatce namiarowej celownika.

* Ognia! * krzyknął.

Celowniczy nacisnął dźwignię spustu. Kapitan odruchowo otworzył usta, aby wyrównać ciśnienie huk wystrzału. Potężny czołg zadrgał i lekko cofnął się na gąsienicach. Kwaśny dym wypełnił wieżę. Jego fala uderzyła von Dodenburga w twarz, potem odskoczył rygiel zamka i żółtawa, mosiężna łuska wpadła do płóciennego worka zawieszzonego poniżej zamka armaty czołgowej. Lewą ręką włączył wentylator, aby wydmuchać kordytowy dym z wnętrza czołgu.

W tym czasie ładowniczy pakował kolejny pocisk do lufy.

* Ognia * ugotuj bękart! * krzyknął gorączkowo von Dodenburg, gdy dym skrywający T*34 trochę opadł.

Powoli, zatrważająco powoli, jakby umierając, osuwał się na zamek działa, sowiecki celowniczy

próbował

obrócił wieżę czołgową z armatą kalibru 76,2 mm. Celowniczy von Dodenburga nie dał mu szansy.

Armata Tygrysa przemówiła ponownie. Stojący T*34 podskoczył w górę jak żywe stworzenie. Jego prawa gąsienica odskoczyła na bok. Nagle wieża czołgu oderwała się od kadłuba i poszybowała łukiem

piętnaście metrów od stojącego pojazdu. Wyglądało to tak, jakby rzeźnik toporem odrąbał głowę szarpiącemu się zwierzęciu.

* Przerwad ogieo! * zawołał zadowolony kapitan. Nie miał ochoty marnować cennych pocisków przeciwpancernych na dobitcie płonącego T*34.

* Walnij go! Walnij! Chcę zobaczyć, jak ten ruski bydlak płonie! * usłyszał przez radiostację, jak Schwarz darł się do swojego celowniczego, by dobił pokonanego przeciwnika.

Po prawej stronie czołgu kapitana rozległ się suchy, przytępiony wystrzał osiemdziesiątki ósemki. Pocisk trafił dokładnie w zbiornik paliwa okaleczonego T*34. W górę wystrzelił strumień pomarańczowych płomieni w otoczeniu gęstego, czarnego, oleistego dymu. Ale załoga płonącego czołgu nadal się nie ewakuowała.

Schwarz nie chciał dać się oszukać łatwej zdobyczy.

* Skierował na nich karabin maszynowy * usłyszał von Dodenburg jego komendę, która przebiła się przez zakłócenia radiowe.

Niewielka postać czołgisty ukazała się na wieży T*34. Chwilę później zaczęły lizad ją płomienie. Człowiek ten jakby nagle odzyskał świadomość, rzucił się z dużej wysokości na zniszczoną trawę i tocząc się po niej szaleoczo, próbował ugasić trawiący go ogień. Ale Schwarz czuwał.

* Kanonier * rozkazał niecierpliwie. * Karabin maszynowy! Iwan koło czołgu, ognia!

Strzelec z czołgu Schwarza musiał się zawahać, bo von Dodenburg usłyszał przez radiostację, jak porucznik wydzierał się szaleoczo:

* Powiedziałem, strzelaj, ty zaszary kocie!

Chwilę później rozległa się wściekła kanonada i seria świetlistych paciorków pomknęła przez płonąca step.

Strzelec nie mógł nie trafić z takiej odległości. Plecy Rosjanina wygięły się przedziwnie, jeszcze próbował

przytrzymać się spalonymi

na węgiel rękami i starał się złapać powietrze, lecz w koocu, krzyząc rozpaczliwie, przewrócił się na plecy. Następna seria z MG*34 trafiła kierowcę, który próbował wydostać się przez właz desantowy. Na wieży pokazał się trzeci członek załogi, podnosząc ręce do góry w geście poddania. Jednak jego błagania nie zdały się na wiele. Z odległości stu metrów niemiecki strzelec posłał kolejną porcję pocisków w bezbronne ciało, które natychmiast zamieniło się w krwawą pulpę, jakby przeszło przez maszynkę do mięsa.

Siedzący za sterem czołgu Schulze przełknął ślinę i powiedział beztrasko:

* Niech mi ktoś narobi w kapelusz! Naprawdę nieźle wystartowaliśmy, prawda, panie kapitanie?

Von Dodenburg nic nie odpowiedział. Właśnie z chrzęstem gaśienic przejeżdżali obok palącego się T*34 i jego rozstrzelanej załogi. Kapitan odwrócił tylko głowę w drugą stronę.

W tym samym momencie, gdy skooczyła się nawała raketowa, Rosjanie zareagowali. Salwa za salwą, jakby ostrzał nie zrobił na nich wrażenia * zalali lawiną stali nacierający batalion. Prawie równocześnie odezwały się wzbudzające przerażenie „Organy Stalina”. Ale ich ostrzał prowadzony był na ślepo i trafiał

w pozycje, które Niemcy właśnie opuścili.

* Dym! * krzyknął ponagłajaco von Doden*burg. * Na miłość Boską, niech wszyscy wystrzelą pociski dymne!

Kanonierów nie trzeba było pospieszać. Pierwsza linia obrony sowieckiej była jeszcze dwieście metrów przed nimi i właśnie znajdowali się na kompletnie odkrytym terenie. Szybko odpalono ładunki dymne.

Czarne pojemniki poszybowały niezgrabnie, łagodnym łukiem w powietrze. Uderzając o ziemię, natychmiast eksplodowały, wyrzucając z siebie strumienie dymu, który stworzył nieprzenikliwą dla wzroku kurtynę rozciągniętą przed nieregularną linią nacierających czołgów. Wkrótce wjechały w nią wozy bojowe batalionu.

Sowieccy artylerzyści byli bardzo zaniepokojeni tym, że łup im się wymyka. Zintensyfikowali ostrzał, wiedząc, że muszą zatrzymać Tygrysy, nim dotrą do ich pozycji. Przelatujące rakietki, wystrzeliwane z katusz, wypełniały powietrze przeraźliwym zgrzytem. Odrywały się w górę z gardłowym jękiem z tylnych pozycji Rosjan. Dystans między atakującymi Tygryсами i obrońcami był coraz mniejszy, więc sowieckie armaty zaczęły zbierać coraz większe żniwo. W radiu ze wszystkich stron nadchodziły rozpaczliwe raporty donoszące o stratach.

* Dwa kaemy ostrzeliwują mnie ze skrzydła, wszyscy moi grenadierzy zginęli! Na pokrywie silnika jest ślisko od krwi jak na lodowisku! ... Poszła gaśienica, siedzę jak kaczką na wodzie w czasie polowania.

Natychmiast potrzebuję osłony... Silnik uszkodzony. Dym jest tak gęsty, że nie widzę wyciągniętej ręki.

Czy mogę się ewakuować?...

Pokonali postawioną przez siebie zasłonę dymną, a sowiecka artyleria nadal ostrzeliwała bezskutecznie teren za ich plecami. W tej chwili byli już tylko sto metrów od pozycji wroga.

Ziemia przed nimi była pełna wielkich, brązowych kraterów. Kilka cudem ocalałych drzew miało odartą korę, a ich konary zwisały jak połamane kooczyzny. Ale nadal między nimi, na szczątkach pozycji obronnych znajdowali się sowieccy strzelcy, którzy nie rezygnowali z walki. W kilka sekund później w wypełnione płomieniami powietrze wystrzeliły flary sygnałowe i od razu odezwały się radzieckie karabiny maszynowe. Wystrzeliwane kule zaczęły walid o burty czołgów, jakby spadł gwałtowny letni deszcz. Ale to nie mogło zatrzymad Tygrysów.

Z kompanijnego czołgu wyposażonego w miotacz płomieni wystrzelił śmiercionośny jęzor ognia, obejmując gorącym tchnieniem pierwszy drewniany bunkier. Farba ochronna na jego ścianach momentalnie zaczęła bulgotad jak gotująca się melasa. Znajdujący się w środku karabin maszynowy od razu zamilkł.

Spoza gwałtownie palącego się schronu wytoczyły się niezgrabnie dwa rosyjskie T*34. W nieskoordynowanym, pospiesznym ataku omal nie wjechały na siebie. Sekundę później jakiś szczęśliwy pocisk wystrzelony z niemieckiego skrzydła przebił oba pojazdy. Nikt z ich załóg nie wydostał się na zewnątrz.

* Rozproszyd się * pierwsza kompania, na miłość Boską, rozproszyd się! * darł się desperacko von Dodenburg do mikrofonu radiostacji.

Ten rozkaz nie padł ani chwili za wcześnie. Sowiecka armatka przeciwpancerna kalibru 57 mm ukryta za czymś, co przypominało stodołę, zaczęła strzelad do nich z odległości siedemdziesięciu pięciu metrów.

Kapitan zauważył, jak biało błyszczący pocisk przeciwczołgo*wy zmierzał w ich stronę, nabierając prędkości przy wylocie z lufy.

* Celowniczy, cel na drugiej!

Huk wystrzału ich własnej armaty kalibru 88 mm, zagłuszył jego słowa. Spostrzegawczy kanonier wcześniej niż jego dowódca dostrzegł zabójczy cel. Działko wroga zniknęło w wielkiej fontannie wybuchu, a szczątki porozrywanych artylerzystów fruwały w powietrzu jak ciężkie ptaki. Pod nimi Schulze z wściekłą zaciętością szarpał drażki sterownicze i kierownicę. Tygrys obrócił się tak gwałtownie, że von Dodenburg stracił na chwilę równowagę i wyrzwał twarzą w krawędź pancerza. Po chwili poczuł w ustach słonawy smak krwi, ale nie miał nawet czasu obetrzed ust. Sowiecki pocisk tym razem chybił celu.

Lecz kolejny T*34 wyłonił się z zasłony dymu i znalazł się zaledwie pięćdziesiąt metrów od Tygrysa.

* Kanonier! * wydzierał się śmiertelnie przerażony kapitan. * Godzina trzecia! Czołg Iwanów!

Schulze, jakby czytając w myślach dowódcy, wrzucił wsteczny bieg. Stalowy kolos rzucił się do tyłu, wbijając się w grupkę dźwigających rusznicę przeciwpancerną radzieckich piechurów. Znikali pod szerokimi gąsienicami Tygrysa, które obracając się, wyrzucały przed siebie ich kawałki jak siekaną wołowinę. Ale załoga niemieckiego czołgu zupełnie nie zwracała na to uwagi. Pocisk wystrzelony z T*34 z gwizdem otarł się o ich pancerz. Sześćdziesiąt ton stali zatrzęsło się jak kartonowe pudełko.

Sekundę później T*34 przejechał obok płonącego bunkra, ukazując cały słabo opancerzony bok.

* Kanonier, na Chrystusa! Nie módl się, tylko mu przypierdol!! * darł się ze spodu czołgu Schulze.

* Teraz, teraz! * poganiał von Dodenburg spoconego młodego chłopaka, który siedział przy celowniku.

Ten szybko nacisnął pedał obrotnicy i wieża z lufą zatoczyły łuk. Dwa trójkąty w celowniku pokryły się.

Brzuch rosyjskiego czołgu dosłownie zasłaniał mu pole widzenia. Przez szkła wizjera von Dodenburg mógł dostrzec każdy zardzewiały nit na jego pancerzu, każdą plamę błota i oleju na sworzniach.

Celowniczy nacisnął dźwignię spustu. Rozległ się zgrzyt metalu o metal. Nawet przez grubo pancerz ich czołgu słychać było ogłuszający łoskot jak dudnienie dzwonów. Sowiecki czołg wierzgnął w górę i chwilę później prze*wrócił się do tyłu.

Tygrysy nacierały bez przerwy. Wszędzie było słychać zgrzyt zderzających się kawałów metalu. Czołg von Dodenburga parł na czele szyku 1. kompanii, tocząc się po ciałach zabitych i umierających Rosjan, i wgniatał ich w ziemię, która zamieniła się w czerwoną papkę. Z dobrze zamaskowanych schronów

alarmowych, znajdujących się za bunkrami bojowymi, wybiegali ubrani w ciemne mundury Rosjanie i z krzykiem zajmowali pozycje do walki. Ale nie mieli szansy. Dwa karabiny maszynowe z czołgu kapitana zaczęły wypluwać w ich stronę setki pocisków. Obroocy bunkrów padali jak kręgle. W ciągu dosłownie paru sekund ich ciała utworzyły sześciowarstwowe barykady przed wejściami do schronów. Gdy

przetoczyła się pierwsza fala czołgów, niemieccy grenadierzy rzucili na nie granaty zapalające. Ciała Rosjan zaczęły gwałtownie płonąć, a ci, którzy nadal żyli, próbowali bezskutecznie wydostać się z tego strasznego stosu pogrzebowego.

Zza jednego z bunkrów wyskoczył, pędząc, sowiecki lekki czołg T*60. Armaty czterech Tygrysów natychmiast wzięły go na cel. Ich pociski zdmuchnęły pojazd wroga z powierzchni ziemi, jakby w

ogóle nie istniał. Teraz znajdujący się w pobliżu Rosjanie rzucali się na ziemię i podnosili ręce do góry w geście poddania. Ale żołnierze z batalionu Wotan nie mieli czasu na branie jeoców.

* No chodźcie tu, bękarty * odezwał się w krótkofalówce jakiś głos, który trudno było zidentyfikować. *

Rozjedziemy was jak wycieraczki!

Ktokolwiek to był, spełnił swoją obietnicę. Najpierw strumień ołowiu poleciał w stronę bezbronnych sowieckich żołnierzy, którzy próbowali rozbiegać się w panice. Było jednak za późno, ginęli tuzinami.

Niemcy ruszyli dalej z rykiem silników. Von Dodenburg próbował wprowadzić trochę porządku do dezorganizowanej kompanii, wiedząc, że nie przebili się jeszcze przez

pierwszą linię oporu wroga. Klął w mikrofon jak pijany szewc i nawołując z nazwiska członków kompanii, którzy przechodzili na jego częstotliwość, zdołał wymusić stworzenie osłony skrzydeł oraz uchronić centrum szyku przed zbyt dużą koncentracją czołgów. Udało mu się to dosłownie w ostatniej chwili. Gdy zdobyli ostatni bunkier, pozostawiając za sobą krwawy ślad ze zmiażdżonych ciał zabitych i umierających Rosjan, dym się rozproszył, prezentując to makabryczne widowisko.

Pancerny klin stworzony przez ponad dwadzieścia T*34 pędził w ich stronę. Sowieckie czołgi z zapalonymi reflektorami, wyrzucające tumany pyłu spod gąsienic, wyglądały jak sfora atakujących upiórów. Kapitan natychmiast przycisnął do ust mikrofon.

* Schulze, dawaj z tego pudła wszystko, co masz!

Sierżant od razu zareagował. Przeciągnął przekładnię biegów przez wszystkie trzydzieści kilka położo i ciężki czołg skoczył do przodu jak żreback.

* Skosem na prawo * młody oficer ponaglał krzykiem kierowcę. * Musimy ich oskrzydlić na prawej flance.

Złany potem celowniczy, którego mundur aż błyszczał od wilgoci, zatoczył łuk lufą armaty. Von Dodenburg zdjął z zaczepów kolejny pocisk przeciwpancerny, który był umocowany tuż przed nim.

Potem wcisnął włącznik wentylatora. Dystans między dwiema liniami stalowych kolosów kurczył się błyskawicznie. Również Tygrysy zaczęły formować szereg klina, zmuszone manewrem nadjeżdżających z prawej strony T*34. Siedzący obok kapitana celowniczy przycisnął twarz do gumowej osłony dalmierza i podawał odległość od wroga.

* Trzysta metrów... dwieście metrów... sto pięćdziesiąt.

Jednak to Rosjanie zaatakowali pierwsi. Z najbliższego czołgu wystrzelił oślepiający błysk. Pół sekundy później huk eksplozji przerwał panującą ciszę. Silny podmuch powietrza odbierał oddech

niemieckiej załodze.

Działonowy wrzasnął ze strachu, jakby otrzymał bezpośrednie trafienie. Wielki Tygrys zakolysał się niby statek na morzu, gdy pocisk z rosyjskiego czołgu ześlizgiwał się nieszkodliwie po ich pancerzu. W chwilę później miody celowniczy nacisnął pedał spustowy i teraz niemiecki pocisk poleciał w stronę czołgu wroga.

To, co później nastąpiło, było w zasadzie bezładną orgią ognia, błysków i dymu wydobywających się z luf armatnich. Wywołujący dreszcze zgrzyt metalu o metal, piskliwy chrzęst rykoszetujących pocisków, świst eksplodujących zbiorników paliwa i kolejny

czołg umierał w czarnym całunie tłustego oleistego dymu. Dwa razy słyszeli, jak śmierd, niczym dziób gigantycznego kruka, pukała do ich wieży, gdy uderzały w nią pociski wroga. Pozostawiły po sobie na pancerzu tylko żarzące się bladą czerwienią punkty, otoczone żółtawą poświatą, nim bezsilnie

poszybowały dalej w przestrze. Teraz Sowietci płacili za swoją zuchwałość, ich T*34 gotowały się w ogniu, strzelając w niebo łzami rozgrzanego metalu.

Von Dodenburg nigdy nie był w stanie ocenić, ile czasu trwała ta czołgowa potyczka. Może to były godziny, choć równie dobrze mogła trwać kilka minut. Niejednokrotnie był zmuszony otwierać właz wieży, aby wypuścić z wnętrza wozu gryzący dym prochowy, który groził uduszeniem załogi.

Ryzykował

tym niebezpieczne spotkanie z oddziałami radzieckich samobójców uzbrojonych w butelki z benzyną.

Jednak za każdym razem widział dookoła tylko płonące czołgi * niemieckie i rosyjskie.

Nagle resztkę rosyjskiego oddziału pancernego zaczęła wycofywać się z walki. Kapitan przypadkiem zauważył, jak sowiecki dowódca, próbując zebrać swój słabnący batalion, rozpaczliwie macha

chorągiewkami sygnałowymi. Jedna celna seria z niemieckiego karabinu maszynowego przerwała te wysiłki. Ciało

oficera zawisło ponad czerwoną gwiazdą wymalowaną na pancerzu wieży. Jego ludzi ogarnęła panika.

Kierowcy T*34 zawracali w miejscu swoje pojazdy. W napędzanym strachem panicznym pośpiechu

niewiele brakowało, aby ich czołgi zderzyły się ze sobą. Gdzieś tam w oddali krzyczeli z radości niemieccy żołnierze * von Dodenburg słyszał to wyraźnie poprzez trzaski radiostacji. Szybko ruszyli za wycofującymi się Rosjanami, którzy teraz stanowili łatwy łup, ponieważ wystawiali na ostrzał swoje słabo opancerzone silniki. Jednak ich łączność radiowa dobrze funkcjonowała. Gdy tylko Tygrysy z Wotana zaczęły się dobierać Rosjanom do tyłków, kilka sekund później odezwały się Katusze i pole walki ponownie zasnuła gęsta pokrywa dymu.

Von Dodenburg szybko podniósł do ust mikrofon,

* W porządku! * krzyczał w eter. * Wycofujemy się! Powtarzam, wycofujemy się!

* Żołnierz niemiecki nigdy nie oddaje terenu * odpowiedział ktoś gniewnym głosem przez radio.

* Następnym razem powiesz mi, że wierzysz w bociany i świętego Mikołaja, ty świeże gówno! * odgryzł

się portową gwarą Schulze, jakby wiedząc, kim jest jego rozmówca. * Zabieraj stąd swój tyłek, nim Ruscy pozbiorają się i obetną ci te przepiórce jajka tępym scyzorykiem.

Stosując się do zaleceń, sierżant zawrócił swój czołg i ruszył w drogę powrotną. Reszta ocalałych Tygrysów z 1. kompanii ruszyła jego śladem. Pierwszy dzieło wielkiej ofensywy dobiegał kooca.

Gdy czołgi oddziału von Dodenburga wjeżdżały między zdobyte pozycje wroga, ludzie z 2. kompanii dowodzonej przez porucznika Schwarza zaczęli właśnie rozstrzeliwanie rosyjskich jeoców. Niby wszystko odbywało się w porządku i rutynowo. Tylko od czasu do czasu któryś z ostrzyżonych do gołej skóry Rosjan zaczynał zawodzić i odmawiał pójścia w stronę oddziału egzekucyjnego, który składał się z unurzanego po łokcie we krwi Schwarza i kilku starszych podoficerów. Jedno szybkie uderzenie kolbą karabinu w plecy lub ogoloną głowę przywoływało takiego delikwenta do porządku i kolejna ofiara ruszała na spotkanie ze śmiercią. Jednak większość jeoców obojętnie akceptowała swój los. Na ich żółtych płaskich twarzach nie było widać żadnych emocji, gdy kaci przystawiali im lufy pistoletów za prawym uchem, by jednym strzałem posłać ich do sowieckiego raję.

Mimo wszystko kapitan wzdragał się na widok piętrzących się stert ciał, z których wystawały na wszystkie strony kooczyny rozstrzelanych, niechlujnie układanych przez żołnierzy Schwarza. Znalazł inną trasę i ruszył w stronę czekającego na niego Sępa. Po chwili stuknął regulaminowo obcasami i

zameldował się dowódcy, jakby był na paradzie, bo tego właśnie spodziewał się major po swoich oficerach, nawet w środku pola bitwy

* Trzy wozy kompletnie zniszczone, dwa kolejne nadają się do naprawy. Ofiary * dziesięciu oficerów i żołnierzy, piętnastu rannych.

Sęp dotknął szpicrutą daszka przydużej czapki polowej.

* W porządku, von Dodenburg. Nie jest tak źle.

Chwycił za rękę młodego oficera i zabrał go z miejsca, gdzie Schwarz kierował po raz kolejny lufę pistoletu w czaszkę obojętnego na wszystko, łysiego Sybiraka.

* Chodźmy stąd. Na dzisiaj już mam dosyć hałasów * poza tym te żółte mordy mają wszy. A ja tego strasznie nienawidzę!

* Tak jest, panie majorze!

Kapitan posłusznie ruszył za dowódcą, zręcznie mijając ciała zabitych Rosjan rozrzucone wokół bunkrów lub nowe leje po wybuchach. Jednocześnie major opisywał mu efekty dzisiejszego dnia.

* To był naprawdę znakomity dzieło. Oczywiście kompletnie zaskoczyliśmy Rosjan. Naturalnie spodziewali się, że główny atak

spadnie na nich z północy * ze strony armii generała pułkownika Modela. To jest zgodne z tym, co mówi ten sierżant (Chodzi o Seppa Dietricha, dowódcę dywizji Leib*standarte.), który kieruje naszym przeznaczeniem * a wiem to po rozmowie z Kraemerem, który dzwonił do mnie jakiś kwadrans temu.

Przebiliśmy się przez gwardyjską 52. strzelecką dywizję bądź brygadę, tego jeszcze nie wiemy. Wiesz przecież, jak powoli pracują chłopcy z wywiadu Gehlena. (Chodzi o Reinhardta Gehlena, szefa wydziału Obce Armie Wschód, czyli wywiadu Abwehry działającego na wschodzie.)

Tego akurat von Dodenburg nie wiedział, ale skinął potakująco głową, jakby było to dla niego jasne.

Stawiał ostrożnie kroki obok zwłok Rosjanina, którego twarz była kompletnie spalona i pozostała po niej tylko zastygła masa poznaczona zakrzepłą krwią z dwoma wielkimi szkarłatnymi otworami, w których tkwiły kiedyś oczy.

* Przypuszczam, że rozerwaliśmy 6. Armię Gwardyjską i ta cała Prochorowka wpadnie w nasze ręce jak dojrzały owoc.

Spocona, przypominająca maskę twarz von Dodenburga, pomimo ogromnego zmęczenia, rozjaśniła się radością.

* To naprawdę dobre wiadomości * powiedział z entuzjazmem. * A co z grupą bojową Kempfa?

Sęp zapatrzył się w płonący step usiany zniszczonymi czołgami, których ciemne sylwetki wyraźnie odznaczały się na tle czerwonej tarczy zachodzącego słońca.

* Tak jak przewidział Dietrich, nie zapewnili nam, tak jak powinni, odpowiedniej osłony na skrzydle. Poza tym nie należą oni do elitarnych jednostek Waffen SS, prawda?

Von Dodenburg nie zważał jednak na cyniczne wypowiedzi cechujące jego dowódcę.

* Ojej, sami zatroszczymy się o te głupie flanki, panie majorze. Zawsze tak wcześniej robiliśmy, to dlaczego teraz mamy się o to martwić * powiedział, zmuszając się do uśmiechu. * Wotan będzie

atakował tak szybko, że Iwany nawet nie będą wiedziały, gdzie są nasze skrzydła.

Major uśmiechnął się lekko, słysząc w słowach młodego oficera pozbawiony kompleksów entuzjazm.

Podniósł powoli zmęczone ramiona.

* Jestem pewien, że masz rację, von Dodenburg. Bardzo dobrze, a teraz sprawdź, czy twoi ludzie idą już na spoczynek. Wyruszamy zaraz po świcie; najpierw przedrzemy się przez Pokrowkę, a potem pognamy na złamanie karku do Prochorowki.

Przerwał niespodziewanie. Przed nimi niewielka grupka żołnierzy z drużyny remontowej próbowała użyć nożnej pompy, by wyczyścić wewnątrz trafionego w wieżę Tygrysa. Aż do tej pory strumień różowawej cieczy spływał przez otwory drenażowe * była to krew wymieszana z wodą. Ale teraz z jakiegoś powodu ciecz przestała wypływać. Jakby od niechcenia Sęp skierował się w tamtą stronę, a za nim podążył

śmiertelnie zmęczony kapitan.

* Co się stało, kapralu? * spytał dowódca batalionu spoconego żołnierza, który męczył się przy pompie.

* To świństwo nie chce wypływać na zewnątrz * wysapał młody chłopak i przerwał swoją robotę.

Pomimo spokojnego i w miarę chłodnego wieczoru po klatce piersiowej kaprala spływały stróżki potu.

* Macie w środku jakąś blokadę, prawda? Dlaczego nie wejdziecie tam i jej nie usuniecie?

* Tak jest, panie majorze! * w głosie młodego żołnierza wyraźnie było słychać zakłopotanie.

* Ten czołg otrzymał bezpośrednie trafienie pociskiem kalibru 76 mm. Cała załoga już nie żyła, gdy wyjmowaliśmy jej szczątki na zewnątrz.

Wskazał ręką na dziurę w pancerzu wieży Tygrysa, z metalicznie błyszczącymi krawędziami.

* Boisz się trochę tego, co zastaniesz w środku, prawda? * Sęp przerwał szybko jego niezdarne tłumaczenia. * Mam rację?

Niecierpliwym ruchem major odsunął strapionego kaprala na bok i wciskał się do poczerniałej od ognia wieżyczki.

* Chcę, aby ten pojazd był rano zdolny do akcji * powiedział, patrząc w dół na oddział remontowy. * Nie mamy czasu na szczeniacki strach!

Z tymi słowami zniknął we włazie dowódcy czołgu. Przez kilka minut słychać było, jak grzebie wewnątrz Tygrysa * w wypalonym chaosie zniszczonego wyposażenia. W pewnej chwili mieszanina krwi i wody znowu zaczęła wypływać na zewnątrz przez otwory spustowe.

Sęp ponownie ukazał się w wieżyczce, a jego wielki nos był mocno zmarszczony, ewidentnie z powodu smrodu panującego wewnątrz wypalonego czołgu. Podniósł rękę w górę. Trzymał w niej za włosy głowę oderwaną od ciała. Wraz z nagłym przypiływem mdłości kapitan rozpoznał, do kogo wcześniej należała.

Była to głowa kaprala Dehna z jego własnej kompanii.

* To blokowało główny otwór spustowy * powiedział Sęp zupełnie normalnym tonem i jakby od

niechcenia odrzucił głowę na bok.

Żołnierze z oddziału remontowego pochylili się w odruchu obrzydzenia, gdy makabryczne szczątki przelatowały nad ich głowami. Sęp w tym czasie zeskoczył z pancerza i wytarł brudne od krwi ręce w nogawki bryczesów.

* A teraz zabierajcie się do roboty. Macie tylko siedem godzin do świtu.

Młodzi żołnierze zabrali się energicznie do wypompowywania wody, jakby miało to uratować im życie.

Za ich plecami leżąca na ziemi głowa kaprała Dehna niewidzącymi oczyma wpatrywała się w ciemniejące niebo.

Trzydzieści kilka kilometrów od miejsca, gdzie tamtej nocy drużyna remontowa naprawiała

uszkodzonego Tygrysa, przysadzisty i łyсы przedstawiciel sowieckiej Rady Wojennej stał w podziemnym bunkrze naprzeciw generała Katukowa i jego sztabu. Dowódca radzieckiej 1. Armii Pancernej już zdecydował, że dwa pułki dział szturmowych z jego liczącej tysiąc trzysta pojazdów pancernych rezerwy bojowej ruszą, by wesprzeć mocno przetrzebioną 6. Armię Gwardii. Teraz był ciekaw, czego chce ten mały polityk przebrany w mundur generała majora Armii Czerwonej.

Ale dość zaskakująco, ten mały człowieczek nie chciał niczego konkretnego. Przebiegał tylko świoskami, sprytnymi chłopskimi oczami

po trupiobladych ze strachu twarzach oficerów sztabowych.

* Te dwa nadchodzące dni będą straszne, towarzysze * powiedział powoli ostrzegawczym tonem. * Albo się utrzymamy, albo Niemcy zdobędą Kursk. Stawiają wszystko na jedną kartę.

Pogroził wzniesionym w górę pulchnym palcem. Pewnego dnia cały świat będzie się obawiał tego gestu.

* To jest dla nich kwestia życia lub śmierci. Musimy przypilnować, aby skęcili sobie kark.

Generał major Nikita Chruszczow, w przyszłości dyktator całej Rosji, sucho zakasłał. Na szerokiej, chłopskiej twarzy jego obwisłe policzki podniosły się w uśmiechu.

Uniósł do góry prawe kolano i uderzył w nie otwartymi dłońmi.

* Właśnie tak, towarzysze! * burknął, nie odrywając wzroku od twarzy zgromadzonych oficerów. * Tak będziemy postępować z Frycami. Zrozumiano?

Znowu zakasłał, ale tym razem nie było widać radości w jego wyblakłych, niebieskich oczkach. Pomimo panującego upału w podziemnym bunkrze powiało chłodem. Oficerów sztabowych 1. Armii Pancernej przeszedł dreszcz. Nie chcieliby być nazajutrz w skórze Niemców.

DWA

Natarcie na Prochorówkę przypominało spacer, nie było bardziej skomplikowane niż przedwojenny przejazd na poligon wojskowy. Tylko sporadycznie rozmyślania kapitana von Dodenburga przerywane były przez nurkujące bombowce i snajperów. Ale szturmowe Iły bombardowały dzisiaj wyjątkowo

niedokładnie, a serce zamarło w snajperach, elicie Armii Czerwonej. Poddali się, jak tylko ponieśli kilka niespodziewanych ofiar, gdy specjalny oddział z Wotana, przeznaczony do walki z nimi, wkroczył do akcji. Sowieccy strzelcy zaakceptowali swój los bez specjalnej walki. Teraz ich ciała ubrane w mundury maskujące z twarzami pomalowanymi na kolor bladej zieleni, zwisały z gałęzi drzew rosnących po obu stronach drogi pokrytej grubą warstwą kurzu, znacząc trasę natarcia batalionu pancernego SS.

Jedyny realny problem stanowił lejący się z nieba nieznośny żar. Grenadierzy pancerni, którzy poprzedniego dnia utracili połowę

transporterów opancerzonych, musieli teraz maszerować pieszo i padali ze zmęczenia jak muchy.

Wzdłuż całej trasy przemarszu żandarmi zmuszali przestraszonych wieśniaków, aby stali na poboczu z wiadrami wody i polewali piechurów wlokących się jak spragnione wody kundle. W koocu Sęp wysłał na przód kolumny jednego łącznika na motocyklu, aby uprzedził wszystkich Rosjan mieszkających w

rozpadających się chatach, żeby wcześniej przygotowali zapasy wody dla jego ludzi, którzy w straszliwej spiekocie padali wyczerpani na ziemię. W jednym miejscu udało się znaleźć antyczną, chyba jeszcze carską pompę strażacką i gdy utykający grenadierzy dowlekli się do tego cudu techniki, każdy z nich mógł

spryskać się od stóp do głów wodą, którą rosyjscy chłopcy pompowali ręcznie z taką zawziętością, jakby od tego zależało ich nieszczęsne życie. Jednak w ciągu kilku minut bezlitosne promienie słońca wysuszały mokre od wody mundury i mordęga zaczynała się od początku.

W poruszających się czołgach przynajmniej odczuwano lekką bryzę, a von Dodenburgowi, który przysłuchiwał się rubasznym opowieściom Schulzego o przedwojennym życiu w wolnym porcie Hamburga, pozwoliło trochę zapomnieć o wszechobecnym upale.

* W tamtych czasach to było życie * wspominał z rozrzewnieniem podoficer, przyciskając do gardła mikrofon interkomu. * Zanim ta stara lesbijka namówiła mnie do wstąpienia do swojej komunistycznej szajki, razem ze Starym Wujem, który wciąż wierzył, że słońce świeci przez dupę Thaelmana.

(Do 1933 roku przywódca Komunistycznej Partii Niemiec.) Wyobrażacie sobie, że za taką przyjemność wtedy nawet trzeba było jeszcze zapłacić.

Pamiętam, że wtedy, w 1938 roku miałem w gaciach pełną chatę.

(W niemieckiej gwarze żołnierskiej określenie chorób wenerycznych.)

To było wkrótce przed tym, jak nasz Fuhrer w swojej nieskooczonej mądrości postanowił przyłączyd kawałek scenerii Austrii do Trzeciej Rzeszy, aby uatrakcyjnid ją amerykaoskim turystom.

* Skoocz już z tym, Schulze * przerwał mu szybko kapitan.

Wiedział on, że rozmowy prowadzone przez komunikatory wewnętrzne kontrolowane są przez odpowiednie komórki sztabu korpusu i nie chciał, aby sierżant miał kłopoty z gestapo z powodu złośliwego gadania.

* Tak więc, jak już mówiłem * kontynuował bez skrępowania Schulze * kiedy dostałem porcję leków, medycy naprawdę się za mnie zabrali. Nie pytając nawet o pozwolenie, ściągnęli ze mnie bieliznę, a jeden pieprzony na*prawiacz kości wsadził mi w tyłek palec, gruby

jak kiełbasa, dokładnie do środka! Myślałem, że chce mi wywrócid flaki na drugą stronę.

* Możecie się śmiad * wspominał niezrazo*ny sierżant * ale to nie było zabawne. Było ich pięciu czy sześciu, profesorzy, doktorzy, którzy patrzyli na mój drążek, jakby miał on zamiar zaraz odpaśd. Mogę wam powiedzied, że zebrały mi się w tym momencie gazy. Ale to nie wszystko. Jeden z tych konowałów miał taki cienutki pręcik, mniej więcej jak paluch sierżanta Metzgera. I tym podtrzymywał moją rurkę do miłości.

Ale Schulzemu nie było dane skooczyd tej dramatycznej opowieści. Jadący na czele kolumny Tygrys Sępa gwałtownie przyhamował i zatrzymał się, zasypując kłębami duszącego, lessowego pyłu ciężko

stąpających poboczem grenadierów. Kolejne pojazdy zatrzymywały się za wozem dowódcy i już po chwili ich załogi mogły rozpoznać powód gwałtownej przerwy w podróży. Gdy kurz na drodze wreszcie opadł, dotarła do nich groza sytuacji. Dwie postacie w obryzganych krwią mundurach zwisały z czegoś, co kiedyś musiało byd słupami telegraficznymi. Na głowach miały założone wieoce z drutu kolczastego, i aby dopełnid scenę ukrzyżowania, bose stopy, aby każdy wycofujący się Rosjanin mógł w nie dziabnąd bagnetem.

Zdjęci grozą czołgiści i grenadierzy pancerni gromadzili się przed palami, nie zważając

na zagrożenie ze strony sowieckich samolotów i snajperów, i patrzyli na dwie ofiary, na ramionach których nadal widoczne były opaski z napisem Grossdeutschland.

* Boże w niebiosach! * ktoś przerwał ciszę i jego głos stał się jakby przełomem. * Spójrzcie na te muchy!

Gromada pobladłych z obrzydzenia wojaków spojrzała w kierunku, który wskazywał drżący palec

żołnierza.

Teraz wiedzieli, o czym była mowa.

* Ale kurewstwo! * ryknął sierżant Met*zger, który stał na pokrywie silnika czołgu dowódcy batalionu, a jego tępą twarz wykrzywiał grymas strachu. * Te jebane Sowiety obcięły im jajka!

Na ten okrzyk jeden z ukrzyżowanych podoficerów uniósł powoli zmasakrowaną głowę. Cisza zapadła wśród zgromadzonych grenadierów, którzy patrzyli sparaliżowani przerażeniem na obcięte genitalia.

Ukrzyżowany człowiek otworzył lekko oczy i chrapliwie wyszeptał:

* Iwany z NKWD, złapali nas wczoraj... komisarz rozkazał.

Przerwał na chwilę, spojrzał w dół wzrokiem pełnym niewyobrażalnego bólu.

* Na sianko ze świętej stajenki! * zawołał ktoś gorąco. * Słyszeliście? To te cholerne sukinsyny z NKWD

im to zrobiły! Chryste na

krzyżu, nie pozwól, aby jeden z tych bękartów dostał się w moje ręce! Bo wtedy obetnę mu te komunistyczne jaja zbitą szyjką od butelki!

* No, koleś, święte słowa! * poparło go pół setki innych głosów. * Iwany zasłużyły na to, żeby im jajka obcinał powoli!

* Z powrotem do wozów! * zawołał Sęp swoim przenikliwym głosem z pruskim akcentem, chcąc zakończyć tę odrażającą scenę. * Jeszcze się z nimi policzymy.

Czołgiści ruszyli biegiem do swoich maszyn, patrząc oczami zmrużonymi od silnych promieni słońca na dowódcę, który sięgał do kabury swojego gestapowskiego walthera.

* Ale panie majorze * próbował ktoś protestować. * A co z tymi biedakami na słupach?

* Zostawcie to mnie! A teraz na wszystkie plagi egipskie, wracajcie do czołgów, bo się wystawiacie Iwanom, jakbyście byli na plaży!

Pancerniacy szybko znikali we wnętrzu swoich pojazdów. W tym czasie major chwycił pistolet i bez chwili wahania strzelił. Podoficer z dywizji Grossdeutschland drgnął konwulsyjnie. Jego skrwawiona głowa opadła na pierś. Niewzruszony Sęp schował broń do kabury.

* Sierżancie Metzger * rzucił szybko * poślij im jeszcze ze dwie serie, tak dla pewności. I celuj w twarze.

Nie chciałbym, aby ludzie idący za nami widzieli, jak kruki wydziobują im oczy.

Pancerna kolumna ponownie wyruszyła w drogę. Sierżant Metzger nacisnął spust swego pistoletu maszynowego. Dwie krótkie serie pocisków kalibru 9 mm rozerwały twarze dwóch ukrzyżowanych podoficerów z dywizji Grossdeutschland. Gdy czołgi toczyły się dalej, ich załogi odwracały głowy w drugą stronę, by nie patrzeć, jak z pokiereszowanych ciał kapie krew na białą od pyłu ziemię.

Trzydzieści minut później zajęli Pokrowkę. Kolumny jeoców zaczęły wkraczać do wioski, prowadzone z lewej strony przez kompanię Schwarza i kompanię von Dodenburga z prawej. Ale tym razem

rozdrażnieni żołnierze Wotana nie zadowolili się samym rozstrzelaniem sowieckich jeoców. Chcieli, aby wzięci do niewoli Rosjanie długo cierpieli przed śmiercią, tak jak dwaj ludzie zawieszani na słupach telegraficznych.

Grupa trzęsących się, brudnych, ledwie osiemnastoletnich chłopców z moskiewskiego batalionu strażniczego została zapędzona do wiejskiej cerkwi ozdobionej cebulastą kopułą, której łuszczące się za ścian niebiesko*żłote ornamenty wyglądały, jakby nie były malowane w carskich czasach. Potem drewnianą budowlę podpalamo. Gdy tylko czołg z miotaczem płomieni odjechał po wykonaniu swego okrutnego zadania, ludzie z kompanii Schwarza wysunęli się do przodu, aby zapobiec jakimkolwiek próbom ucieczki i napawad się żałosnymi błaganiami o litość, które dobiegały z ogarniętej pożarem świątyni. Podczas gdy żołnierze Schwarza zajęci byli przy ogniu, ich koledzy z 3. kompanii przyprowadzili na pokryty pyłem wiejski plac grupę Sybiraków, tłukąc ich po głowach saperkami, jakby to były rosyjskie melony.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Grupka żołnierzy dowodzona przez Metzgera zaczęła przeszukiwanie wioski w celu zdobycia benzyny potrzebnej do na wpół opróżnionych silników czołgów.

Jak zawsze w takiej sytuacji najpierw sprawdzali magazyny spółdzielni rolniczej i tam właśnie znaleźli zabitego żandarma.

Po tym jak już z nim skooczono, jego okaleczone ciało porzucono na stercie obornika. Zabity miał wyrwane ręce ze stawów i wydłubane oczy. Ale to było nic w porównaniu z tym, co zrobiono z jego odbytem. Wystawał z niego srebrny napierśnik, jaki nosili wojskowi policjanci i przez który byli zwani psami łaocuchowymi. Wsadzony on był tak głęboko, że poza otwór odbytu wystawał tylko łaocuch do zawieszania na szyję.

* O mój Boże! * wysapał młody blond żołnierz stojący obok Metzgera i nim zdążył zakryć usta, złapały go wymioty.

Wiadomość rozniosła się wśród esesmanów lotem błyskawicy. Pomimo szaleoczych wysiłków

podejmowanych przez Sępa, aby utrzymać dyscyplinę, żołnierzy Wotana ogarnęła dzika furia. Zaczęli biegać od piwnicy do piwnicy i wyciągać z cywilów, z pianą wściekłości na ustach jak prawdziwi szaleocy.

Kto wydał rozkaz, nie udało się ustalić. Ale zdjęto wielkie białe pokryte gaszonym wapnem, zasłaniające doły kłoczne i zaczęto wrzucać Rosjan w tę zielono*żółtą breję. Mężczyźni, kobiety i dzieci * wszystkich bez różnicy płci i wieku * zapędzano kopniakami na miejsce tej strasznej kaźni. Tych, co stawiali opór, walono bez litości po głowach. Staruszek z wielkimi kozackimi wąsami nie chciał zatonąć, więc pół tuzina esesmanów w wrzaskiem i przeklinaniem tłukło go po pomarszczonej twarzy, dopóki nie zmieniła się w krwawą miazgę, a on sam nie zniknął w pływających odchodach.

Potem odkryli komisarza, który chował się za workami z ziarnem, złożonymi w kołchozowej stodole.

Kilku Niemców wyciągnęło go na zewnątrz. Uniósł tłuste ręce ponad kłębiące się na głowie czarne włosy, ukazując naszytą na rękawie czerwoną gwiazdę oficera politycznego.

* Nie strzelajcie... nie strzelajcie * błagał bełkotliwą, ale rozpoznawalną niemczyzną.

* Ty jesteś Żydem, prawda? * krzyknął ktoś z grupki żołnierzy, gdy słowa wypowiedziane w ich rodzimym języku przebiły się do oszalałych mózgów. * Dawad go tutaj!

* Nie, nie, nie! * jękał się dobrze utuczony Rosjanin, gdy pchali go w kierunku dołów kłocznych, z których wystawały kooczyny potopionych ludzi. * Nie, ja tylko uczyłem w szkole! W szkole, rozumiecie!

* No, dalej * zaczęło kpie kilka głosów. * A może jesteś Abisyocykiem. Jazda, ty ruski bękarcie, przyznaj się!

* Dlaczego mu nie ściągniemy portek? * zaproponował ktoś. * Przecież oni wszyscy mają obrzezane ogony. To nam wszystko powie!

* Jasne! * zapanowała ogólna zgoda. * Ściągaj portki, ty wieprzu!

Tuzin rąk wyciągnęło się w stronę przerażonego jeoca i w okamgnieniu zdarło z niego spodnie. Za nimi poszły krótkie kalesony, a jakże, jedwabne. Sekundę później Rosjanin stał ze spodniami zwisającymi na pięknych, ręcznie robionych butach do konnej jazdy.

* No, wspaniale * stwierdził mocno zbudowany kapral. * Teraz zobaczymy, czy jest on naprawdę Żydem.

No, dalej, pokaż ten swój ogonek!

Jakiś grenadier pancerny ze spoconą twarzą, pokrytą kroplami krwi, uniósł ostrzem bagnetu opadającą prawie do połowy ud koszulę komisarza. Gwizdnął przez przednie zęby, gdy zrozumiał to, co zobaczył.

* Patrzcie na tego tandeciarza. Jakiś starszy Izraelita już mu obciął ptaka... Wygląda na to, że robił to tępą brzytwą!

* Nie, nie! * darł się opętaoczno politruk, a jego niemiecki poprawił się w ciągu sekundy. * To była zwykła operacja ze względów medycznych...

Solidnie zbudowany kapral strzelił go na odlew w twarz, czym przerwał od razu rozpaczliwe tłumaczenia.

* Słuchaj, Żydzie! Wiemy, co ty i twoi terroryści zrobiliście z naszym żandarmem. Posiekaliście mu łapki, wyrwaliście gały i wbiliście mu w dupę srebrną płytkę, którą wcześniej nosił na kłacie!

Potem z niedowierzaniem potrząsnął głową.

* Jak mogliście coś takiego zrobić?

* Ale to nie ja zrobiłem!

* Jasne, że nie ty * zarechotali grenadierzy. * I nie teraz, kiedy już ściągnęliśmy ci portki! Ale chyba nie będzie różnicy, jeśli znajdziemy jakiś medal od Erneburga i wsadzimy ci go w dupę, zgodzisz się?

(Radziecki pisarz, który w powszechnej opinii niemieckich żołnierzy odpowiadał za sowiecką propagandę nienawiści w stosunku do Wehrmachtu.)

* Ale...

Kapral ponownie uderzył go w twarz, aż komisarz cofnął się o krok, wypluwając zęby i krew. W ciemnych oczu Rosjanina widad było przerażenie.

Przez chwilę panowała cisza, zakłócana tylko płaczem komisarza i gniewnym dyszeniem otaczających go esesmanów.

* No, już w porządku, Mosiek! * powiedział kapral, starannie cedząc słowa, jakby zbierał nadal myśli. * A teraz musimy coś zrobić, aby twój krótki żydowski ogonek zrobił się jeszcze krótszy.

* Co, co? * zamiauczał politruk, nie bardzo rozumiejąc wojskową gwarę Niemców.

To pytanie zamarło na jego ustach, gdy kapral wyciągnął z tylnej kieszeni scyzoryk. Był to rodzaj nożyka, jakiego używali żołnierze do obcinania prymki tytoniu, gdy chcieli zapalić go w fajce, Niemiec niby przypadkowo otworzył małą klingę i wprawnym ruchem kciuka wypróbował jej ostrość. Komisarz patrzył

na tę scenę sparaliżowany strachem.

* Dawad go na ziemię * powiedział niemal delikatnie kapral, a cała złość z jego głosu gdzieś uleciała. *

Tylko mocno go trzymajcie!

Kilkanaście rąk rzuciło Rosjanina na pokrytą miłkim pyłem ziemię i trzymało jak w imadle. Ofiara patrzyła na swego oprawcę oczami wypełnionymi strachem i bólem. Komisarz był tak przerażony, że nawet nie miał siły protestować. Tak, jakby już pogodził się ze swym losem.

Kapral przyklęknął obok niego, jednym ruchem odrzucił połę koszuli, która odsłoniła ciemny, obrzezany członek i biały spasiony brzuch. Wziął głęboki oddech i przygotowywał się do cięcia. Jednak czyjaś ręka chwyciła za ostrze.

* Daj mi to * odezwał się ostry głos.

Kapral odwrócił się, mając na ustach przekleństwo. W ostatniej chwili się powstrzymał. Porucznik Schwarz patrzył z góry nienawistnym wzrokiem na unieruchomionego Żyda.

* To chyba moja robota * powiedział powoli, nie odrywając wzroku od ofiary.

* Tak jest, panie poruczniku, oczywiście! * powiedział kapral i natychmiast się wycofał, po czym popukał

się w czoło za plecami oficera, chcąc pokazać, że z oficerem coś nie jest w porządku.

Schwarz klęknął na kolanach w środku pylistego gruntu, przeciągnął palcem po ostrzu scyzoryka, tak jak poprzednio zrobił to kapral. Rosjanin nadal przyglądał się całej scenie w milczeniu.

Ręka porucznika wystrzeliła do przodu i chwyciła za organ komisarza. Ten napiął odruchowo wszystkie mięśnie. Strach gdzieś zniknął z jego pucołowatej twarzy. Schwarz w tym czasie oblizwał popękane z pragnienia

usta i chwycił mocniej rękojeść scyzoryka. Nagle jeniec splunął i nim Schwarz zdążył zareagować, ślina trafiła go prosto w twarz.

* Niemcy * zachrypiał komisarz takim tonem, jakby to było przekleństwo. * Niemieckie świnie!

Schwarz nadał się jak balon. Nawet nie próbując zetrzeć plwocin z twarzy, zaczął ciąć ostrzem.

Trzy godziny później Batalion Szturmowy Wotan uderzył na drugą linię obrony Rosjan. Został na niej zatrzymany.

TRZY

Na tle krwistoczerwonej, wschodzącej tarczy słońca sowieckie pozycje odznaczały się groźną czernią w stepie, ukazując każdy szczegół umocnieo.

* Iwany musiały niedawno znaleźć generała, który widzi coś więcej niż numer legitymacji partyjnej * stwierdził w zadumie Sęp i opuścił lornetkę, by podrapad koniec swojego wielkiego nosa. Ktokolwiek to jest, to zorganizował ich pozycje bardzo ładnie, naprawdę bardzo ładnie.

Schwarz i von Dodenburg nic nie mówili. Nie było słychad żadnych dźwięków, poza trzaskiem płomieni wydostających się z dwóch nadal płonących Tygrysów zniszczonych tego popołudnia.

* Nie muszę panom mówid * kontynuował major Geier * że Rosjanie trzymają tutaj każdego atakującego krótko za grzywkę. Ten strumieo po prawej stronie i nasyp kolejowy po lewej * cholera, on musi mied przynajmniej trzy metry wysokości * ograniczają strefę natarcia do szerokości mniej więcej kilometra. I jak możecie zobaczyć ten właśnie kilometr jest nadzwyczaj dobrze zabezpieczony przez ich pozycje, znajdujące się na wyżynie.

* Mech wyda mi pan rozkaz do rozpoczęcia natarcia * prosił gorąco Schwarz, a w jego oczach błyszczał

obłąd. * Rozetnę swoją kompanią pozycje Rosjan, nim się zorientują.

Sęp opuścił jeszcze niżej lornetkę i spojrział drwiąco na porucznika. Potem powiedział ze smutkiem:

* Straciłbyś połowę swojej cennej „Dwójki”, nim przejechałibyście dwieście metrów. Tylko spójr na te sowieckie armaty przeciwpancerne, okopane wzdłuż nasypu kolejowego. Od razu wystawisz im na strzał

swoją flankę, a oni wtedy powystrzelają twoje Tygrysy jeden po drugim, jakby stały na strzelnicy.

* Musi byd więc jakieś tylne wejście na ich pozycje * powiedział nieco znużony von Do*denburg.

Sęp pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

* Tak. Frontalny atak to samobójstwo, a skrzydłowy jest niemożliwy do przeprowadzenia * powiedział i zachichotał cynicznie.

* Spodziewałem się jakiegoś działania Boga. Przecież Rosjanie są ateistami, a my, Niemcy walczymy tutaj na świętej wojnie. Ale jak się wydaje, Wszechmocny ostatnio jakby

wycofał swoje poparcie dla nas. Z tego względu musi się znaleźć jakieś wyjście awaryjne. Von Dodenburg przełknął ironiczną uwagę

dowódcy.

* O nasypie nie ma co dyskutować, panie majorze. W takiej sytuacji pozostaje tylko rzeczka. Możemy ją przekroczyć i przeprowadzić atak piechoty, aby zwinąć ich prawą flankę. Jeżeli zgramy to z atakiem kombinowanym reszty batalionu, to powinniśmy wypchnąć ich stamtąd.

* Nie powinniśmy, mój drogi von Dodenburg, ale musimy!

Stojący z boku Schwarz stuknął służbiście obcasami butów.

* Zgłaszam na ochotnika swoją kompanię do wykonania tego zadania * jego głos zadudnił jak bęben.

Sęp przecząco pokręcił głową.

* Nie ty, Schwarz, nie ty, ale von Dodenburg to zrobi. To, co zostało z jego kompanii, i tak bardziej przypomina oddział piechoty, a ty masz nadal większość swoich Tygrysów. To jest zadanie dla von Dodenburga, a ty przeprowadzisz natarcie na skrzydło.

* Ale, panie majorze!

Sęp jakby go nie słyszał i pięć minut później rozpoczęły się przygotowania do natarcia. Natarcie zgodnego z tradycją Waffen SS, która w ciągu kilku ostatnich lat zyskała w Rosji

groźną reputację dzięki szybkości, poświęcaniu ofiar i bezwzględności w przeprowadzaniu akcji.

* Atak rozpoczyna się o godzinie trzeciej zero, zero, jak tylko usłyszycie, że rozpoczęło się pozorowane uderzenie 3. kompanii na nasyp kolejowy * zakończył naradę Sęp. * I życzę ci dużo szczęścia, von Dodenburg!

* Dziękuję, panie majorze.

* A teraz proponuję, abyście złapali parę godzin snu, nim spróbujecie przekroczyć strumień.

Jednak pomimo zmęczenia von Dodenburgowi i żołnierzom jego kompanii nie dane było zasnąć tego wieczora. Zamiast tego usiadł on koło Schulzega, który leniwie nadzorował ludzi odgrzewających mięso z puszek na ogniskach podsycanych benzyną. Ich twarze wydawały się zapadnięte, stare i pomarszczone w świetle ciemnoniebieskich płomieni palącego się paliwa. Wokół słychać było tylko pomruk cichych rozmów grenadierów i suchy trzask wystrzałów pistoletowych, dochodzący z pozycji kompanii Schwarza.

Jego ludzie znowu rozstrzelali jeńców. Schulze zapalił długiego papierosa zwiniętego z gazety i czarnego rosyjskiego tytoniu, wypuścił z ust cienki strumień brzydko pachnącego dymu i sucho zakaszłał.

* Chryste, co za machorka * narzekał.

* W ustach mam smak, jakbym wąchał pachy goryla.

Von Dodenburg uśmiechnął się.

* Ciesz się, że to chociaż masz. W 3. kompanii muszą palid liście herbaty zawinięte w Schwarze Korps.

(Oficjalna gazeta SS.)

* Kurde! * westchnął Schulze. * Przecież takim skrętem można kogoś wysłać na tamten świat!

Ale tym razem na jego szerokiej, spalonej słońcem twarzy nie było widać uśmiechu.

* Co z tobą, Schulze? * zapytał kapitan.

* Wyglądasz w tej chwili, jakbyś miał świętować ciążę kaczki.

Sierżant nie od razu odpowiedział. Zamiast tego zapatrzył się w jednego ze strzelców, który mieszał

kooskie odchody z paliwem, aby uzyskać papkę o konsystencji owsianki, na której chciał odgrzać kolejną puszkę konserwowanego mięsa.

* I to jest ta przyszłość, panie kapitanie?

* spytał po dłuższej chwili, a jego twarz oświetlił blady płomień z prowizorycznego paleniska benzynowego. * Nawet nie chcę myśleć, co ona przyniesie.

~Aco masz na myśli?

Schulze potrząsnął głową, wskazując na pozycję kompanii Schwarza. *To.

* Ale co? * spytał zaniepokojony kapitan.

* Nie wydostaniemy się stąd, jeśli będziemy dalej nosić to gówno.

Wskazał na runy Sieg, naszyte na kołnierzu munduru, które błyskały złowrogo w blado*niebieskim świetle paleniska.

* Połowa świata jest gotowa zesrać się ze strachu, gdy je widzi, nawet u nas w Rzeszy. A druga połowa szczerze nas nienawidzi i myśli tylko o tym, jak to zrobić, abyśmy kwiatki wachali od spodu. Mamy za dużo krwi na rękach * Belgia, Francja, a teraz kraj Rusków. Wszędzie nas te buraki nienawidzą.

* Ale ktoś musi wykonywać tę robotę, Schulze * powiedział poważnie von Doden*burg* * Nasz kraj walczy o przetrwanie, a my jesteśmy brygadą ogniową Fuhrera.

* Wiem o tym, panie kapitanie. Ale niech pan popatrzy, co z nas zrobiono. Ci strzelcy, którzy wpychali Rosjan do dołów śmierci, jeszcze sześć miesięcy temu czytali w szkole gów*niane poezje Schillera *

pełne szlachetności i zasranego germaoskiego ducha. A co z tamtym kapralem?

Wskazał na uzbrojonego po zęby podoficera, który poderżnął przed chwilą gardło sowieckiemu komisarzowi.

* Jak rok temu dołączył do naszej bandy, to płakał, że nigdy nie będzie mógł być żołnierzem i że nie zaliczył żadnej cycatej mamuśki. A teraz nich pan na niego spojrzysz * morduje ludzi z zimną krwią. Zresztą tak samo jak reszta z nas.

Von Dodenburg spojrział z uwagą na sierżanta.

* Nie jesteśmy mordercami, sierżancie Schulze. Jesteśmy żołnierzami * elitą narodu, najlepszym, co mają Niemcy.

Ale na Schulzem nie zrobiła wrażenia podjęta przez kapitana próba poprawienia nastroju.

* Jesteśmy przekłeci * powiedział ponuro. * I pan, i ja, Wotan i to całe jebane SS * my wszyscy. Jesteśmy przekłeci.

Złamana gałązka trzasnęła pod podeszwą buta.

* Uważaj, gdzie stawiasz nogi * syknęło gniewnie chyba z tuzin głosów.

Von Dodenburg ostrożnie wstawił prawą stopę do szybko płynącego strumienia. Jego prąd był dosyć mocny, ale nie zwał z nóg.

* Trzymad się blisko * szepnął, gdy był już zanurzony w wodzie po pas.

Stojący za nim ludzie chwycili i naprężyli linę, której jeden z kooców był obwiązany wokół piersi oficera.

* Dajcie to mnie! * powiedział szybko Schulze i chwycił za linę.

Zawsze potrafił znaleźć sobie zajęcie.

* Przecież wielu z was, głupki, straciłoby jajka, gdyby nie były zaszyte w worku. A wy się jeszcze bierzecie za tę linę. No, teraz w porządku, już ją trzymam. Możecie ruszać naprzód.

Kapitan niepewnie zaczął przechodzić przez rzekę, trzymając pistolet maszynowy nad głową. Prąd wody szarpał go we wszystkie strony. Czuł, jak pod nimi przesuwają się śliskie, obłe kamienie. Nagle chwycił go silniejszy strumień wody. Schulze od razu naprężył linę. Ale kapitan był przygotowany na takie działanie rzecznej nurtu. Wreszcie prawą ręką uchwycił się gałęzi nadbrzeżnych krzaków rosnących pięćdziesiąt metrów w dół biegu rzeki. W tym czasie Schulze i reszta jego ludzi powoli popuszczali napiętą linę. Kilka minut później wydostał się z wody na mulisty brzeg, starając się czynić jak najmniej hałasu.

Pospiesznie przywiązał linę do pnia pobliskiego drzewa, szarpnął nią dwa razy, czym dał sygnał, że można się już przeprowiać. Przykucnął w krzakach i odbezpieczył pistolet maszynowy. Po chwili

usłyszał, jak wielki podoficer przedzierał się przez rzekę bez pomocy liny. Nawet nie był specjalnie zasapany, gdy skulił się obok dowódcy i wyżył wodę ze spodni i kurtki munduru.

* Gdzie oni są, panie kapitanie? * zapytał prawie bezgłośnie.

* Nie czujesz ich?

Schulze odchylił trochę głowę, by złapać w nozdrza powiew słabego wiatru.

* Tak. Teraz, tak. Iwany są naprawdę świetni w maskowaniu się, ale ten smród zawsze ich zdradzi.

Von Dodenburg pokiwał głową. Rzeczywiście, trudno było pomylić z czymś innym fetor, który

towarzyszył sowieckim żołnierzom. Była to kompozycja czarnego tytoniu, żółtego, paskudnego mydła i kiełbasy czosnkowej, której byli entuzjastami.

* Gdzieś tam, jakieś pięćdziesiąt metrów stąd. Na godzinie drugiej.

* Ten mały pagórek, panie kapitanie?

* Tak. Tam powinni być. Chyba są okopani po drugiej stronie szczytu, tak jak to zwykle robią, z głównym punktem obserwacyjnym, bardziej niż prawdopodobne, umieszczonym w tamtych krzakach.

Przez chwilę przyglądali się pozornie niewinnemu wzniesieniu, aż wreszcie Schulze wyszeptał:

* Jaki jest plan?

Zamiast odpowiedzi von Dodenburg wyciągnął zwykły bagnet, który zabrał ze sobą. Jego ostrze groźnie zabłysło w słabym świetle żółtego księżycy, który spoglądał na nich spoza chmur.

* No jasne, panie kapitanie! * wyszeptał chrapliwie sierżant. * To ja użyję swojego korektora z Reeperbahn.

Szybko zarzucił na plecy karabin maszynowy i wyciągnął z kieszeni miedziany kastet. Wsadził go na wielką jak szynka bawarska dłoń i popluł w nią na szczęście.

* Załatwiłem nim więcej frajerów, niż pan zjadł gorących kolacji.

* Nie wątpię w to, Schulze * powiedział von Dodenburg * ale najpierw załatwmy tych facetów, nim zaczniesz stosować swoje paskudne portowe sztuczki.

* Jasne, nim te nasze maminsynki zeszczają się ze strachu w gacie.

Szybko zebrali resztę kompanii, po czym pozostawili skulonych żołnierzy w nadbrzeżnych krzakach i we dwóch podczołgali się w stronę pierwszej wysuniętej placówki Rosjan. Obecność Niemców zdradzały tylko przyspieszone oddechy i delikatny szelest wyschniętej trawy. Jak zawsze posterunek sowiecki był

tak dobrze ukryty, że niemal wpadli na niego, nim go zauważyli. Nagle serce von Do*denburga

gwałtownie zabiło. Tuż przed nim kucnął Rosjanin ubrany w bluzę ziemistego koloru. Przez chwilę patrzyli jeden na drugiego. Dopiero po chwili skulony Iwan zdał sobie sprawę, że w ciemności, pięć metrów przed sobą, widzi żołnierza wroga. Otworzył usta...

Von Dodenburg nie dał mu szansy krzyknąć. Długim skokiem rzucił się na przeciwnika. Tylko nie w hełm

* darło się coś w jego umyśle * Bo bagnet się ześlizgnie! W gardło! Z chrzęstem uderzył bagnetem, który wbił się głęboko w kark przeciwnika. Rozległ się dźwięk, jakby w rurze, w której płynie gaz pod wysokim ciśnieniem, ktoś zrobił dziurę. Razem upadli na dno okopu. Czuł, jak ciało Rosjanina powoli wiotczeje.

Jeszcze raz pchnął bagnetem, aż krew trysnęła mu na dłonie i obryzgała rękawy.

* Teraz kracz, ty bydlaku! * zaklął żarliwie i jeszcze raz dźgnął konającego wroga.

Twarz sowieckiego żołnierza wykrzywiła się w bólu agonii. Krew wystrzeliła strumieniem z jego ust, a chwilę potem głowa opadła mu na bok. Nie żył. Przez jedną długą sekundę von Dodenburg czuł się całkowicie wyczerpany. Nie był w stanie zebrać myśli. Jednak dźwięk zbliżającego się nowego

niebezpieczeństwa stopniowo przywracał mu świadomość. Wyciągnął z ciała zabitego zakrwawione ostrze i jak lunatyk wylazł z wykopu.

W kierunku Schulzego niezgrabnie biegło dwóch Rosjan, dzierżących w dłoniach długie, graniaste bagnety. Niemiec nie ruszał się, tylko czekał.

* Rusz się! * krzyknął von Dodenburg, chociaż nie śmiał tego uczynić głośno.

Gdy już wydawało się, że Rosjanie przebiją mu brzuch, sierżant błyskawicznie zareagował. Obrócił się szybko jak szermierz i kopnął jednego z atakujących w krocze, a drugiego zdzielił kastetem prosto w twarz. Pierwszy z nich padł z okropnym jękiem na ziemię, zaś drugiemu sztuczne zęby z nierdzewnej stali, które w świetle księżyca błyszcząły jak kryształki, wpadły do gardła.

* Zrób coś, żeby ten bękart się zamknął * rozkazał nieświadomie Schulze i rzucił się na drugiego Rosjanina.

Von Dodenburg zanurkował na wroga zwijającego się z bólu, który wymiotował przez zaciśnięte zęby.

Szybkim ruchem przejechał ostrym jak brzytwa ostrzem bagnetu po wystającym gardle. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje. A potem gruba czerwona krecha pojawiła się na przeciętej szyi Rosjanina. Kapitan zakneblował mu dłonią usta i jeszcze raz pociągnął ostrzem po rozciętym już gardle.

Stojący ponad nim Schulze ponownie uderzył pięścią w twarz drugiego wroga. Kapitan wyraźnie słyszał, jak kość nosowa trafionego chrupnęła niczym złamana sucha gałązka. Krew rannego trysnęła jak

fontanna. Ale Rosjanin nadal nie przewracał się na ziemię. Sierżant uderzył go jeszcze raz i oko bitego człowieka zamieniło się w krwawą masę, lecz on

nadal kołysał się na nogach jak pijany statek, który nie chciał się przewrócić.

* No, przewród się, ty sowiecki głupku! * zaklął Schulze półgłosem. * Co, chcesz umrzeć jako bohater czy co?

Rosjanin coś próbował wybełkotad, a krew zalewała mu straszliwie pokiereszowaną twarz. Gdy jego towarzysz leżący na ziemi już umarł, von Dodenburg oderwał dłoń od jego ust i patrzył, jak Schulze po raz kolejny bierze zamach ręką uzbrojoną w kastet, by uderzyć chwiejącego się wroga.

* Naprawdę jesteś odważnym skurczybykiem * syknął Schulze. * Ale teraz, masz!

Zebrał całą siłę i trzasnął pancerną pięścią w łuk brwiowy ofiary. Rosjanina odrzuciło chyba na trzy metry i wreszcie znalazł się na ziemi. Teraz Schulze już nie dał mu szansy na powstanie. Rzucił się do przodu i nabitym dwiekami butem wojskowym uderzył w twarz leżącego. Raz i drugi. Von Dodenburg wyraźnie słyszał, jak łamią się kości czaszki. Jednak skatowany człowiek nadal próbował się poderwad z ziemi.

* Chryste na krzyżu! * Schulze już tracił nerwy z desperacji. * Czy ty naprawdę chcesz żyć wiecznie?

Resztką energii wykonał kooczące kopnięcie i trafił buciorem w połamaną szczękę Rosjanina. Ten potężny cios przerwał śmiertelny

okrzyk. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Coś ponownie chrupnęło i zmasakrowany człowiek zmarł, nim ciało opadło na ziemię.

Pięć minut później rozpętała się burza. Najpierw rozległ się huk, jakby nad ich głowami nurkowały Stukasy. Błyskawica przecięła ciemne jeszcze niebo i deszcz zaczął lać strumieniami. Wielkie krople wody tłukły o hełmy. Piechurzy szybko narzucili na siebie peleryny maskujące i powoli ruszyli przed siebie.

Grunt pod ich nogami prawie natychmiast zamienił się w grzęzawisko, które skutecznie tłumiło odgłosy, gdy zbliżali się do sowieckich pozycji. Uparcie przedzierali się przez gęste błoto, a na ich czele, z odbezpieczonymi pistoletami maszynowymi ponownie znaleźli się Schulze i kapitan.

* Na sianko z betlejemskiej stajenki * mrucał jakiś młody żołnierz za ich plecami * jak sobie pomyślę, że mógłbym być w domu, w czystym łóżeczku i spać, aż obróć się wskazówki zegara...

* Dwa razy * dodał ktoś w tyłu. * Przynajmniej dwa razy.

* A do tego ziarnista kawa i gorące ciasteczka.

* Tak, z dżemem morelowym. Jedliście kiedyś takie ciastka z dżemem morelowym?

* A co z małymi cycuszkami? * wtrącił się z zadumą Schulze. * Zamknąd się, gnoje. Myślicie, że jesteście na wycieczce szkoły dla dziewcząt czy co!

Von Dodenburg uśmiechnął się pod nosem, pomimo że za kołnierz leciały mu krople ciepłego deszczu.

Schulze potrafił każdego marzyciela z hukiem sprowadzić na ziemię. Nagle jakiś obco brzmiący głos zawołał przez deszczową ciemność.

* Tutaj, Fryce! Fryce, słyszycie mnie?

Z wilgotnej twarzy kapitana natychmiast znikł uśmiech. Jakby zamarł w bezruchu. Za jego plecami przystanąła przemoczona deszczem kompania.

* Nikt się nie rusza, nikt nie mówi! * syknął z boku Schulze.

Powoli uniósł do oka broń i wpatrywał się w ciemność.

* Fryc, tutaj! * zawołał ponownie głos, jak do tej pory pozbawiony ciała. * Coś złego się stało, Fryc? Może mnie nie słyszysz?

* Na ziemię! * rozkazał cicho pełnym napięcia tonem von Dodenburg.

Teraz dziwne głosy nadlatywały ze wszystkich stron.

* Fryc, tutaj... Fryc, coś złego... Fryc...

Ale starzy wyjadacze znali sztuczki sowietów. Weterani zatykali ubłoconymi rękami usta młodych żołnierzy, aby zapobiec jakimkolwiek próbom odpowiedzi. Z lewej strony rozległ się wystrzał, któremu przez deszcz odpowiedziało złowrogie echo. Wydawało się, że minęły wieki, gdy bezskutecznie

poszukiwali w ciemności pozycji wroga. Kolejny wystrzał.

I jeszcze jeden, z innego kierunku.

Była to sytuacja mocno szarpiąca nerwy i von Dodenburg mocniej przytulił przemoczone ciało do błotnistej ziemi. Modlił się cicho, dziękując losowi, że nikt z jego ludzi nie wystrzelił i nie zdradził ich pozycji. Dla Rosjan nadal było zagadką, gdzie znajdowała się ich kompania. Od czasu do czasu rozlegał się kolejny strzał snajpera. Dwa pociski przeleciały tuż nad ich głowami, a raz ktoś nawet strzelił za ich plecami. A potem nagle zaległa cisza, tak samo gwałtownie, jak została przerwana. Cisza przerywana jeszcze przez chwilę odbiciem echa.

* Wstawad! * syknął von Dodenburg.

Wiedział, że był to dla nich najtrudniejszy test. Jeśli puszczą im nerwy i zaczną się poruszać * w przód lub w tył * Rosjanie prawie na pewno ich unicestwią. Ale na szczęście cały oddział trwał nieruchomo.

Minuty mijały nieskooczenie wolno. Usłyszeli delikatne odgłosy ruchu dochodzące z lewej strony. To Rosjanie nadchodzili najciszej, jak umieli. Musieli chyba pozdejmować buty, a częśćd ekwipunku, która mogła dzwonić w czasie podkradania się, owinęli szmatami lub po prostu zostawili. Ale z pewnością to oni nadchodzili.

Von Dodenburg szturchnął Schulzega.

* Słyszysz ich?

* Tak, podam to dalej.

Słowa ostrzeżenia szybko przechodziły od jednego do drugiego, a ciche do tej pory szmery przybrały na sile. Wydawało się, że Rosjan musi być cała chmara, a teraz kapitan słyszał wyraźnie, jak ślizgają się w błocie, lekko skręcając przed czołem niemieckiej kompanii. Powoli wyjął jedyny posiadany przez siebie granat zapalający.

Niewyraźny cień zamajaczył kilka metrów od niego. A potem następny. Zatrzymali się, ewidentnie nie mogąc ustalić, gdzie znajdują się niemieckie pozycje. Pierwszy z cieni podniósł rękę, dając znak reszcie swoich ludzi, aby podążali za nim. Kolejna pochylona sylwetka pojawiła się w strumieniach deszczu.

* Teraz! * krzyknął von Dodenburg i rzucił granatem, celując w pierwszy z cieni.

Granat od razu eksplodował. Z ciała Rosjanina wystrzeliły oślepiająco białe języki ognia. Wykrzywiona strachem twarz pojawiła się w świetle rozbłysku, po czym zniknęła w kuli płomieni. Sekundę później w linię Rosjan uderzyła lawina ołowiu. Ponad tuzin z nich padło od razu na ziemię. Pozostali krzyczeli z przerażenia.

Jednak już po chwili szarżowali na Niemców. Moment później błotniste pole zamieniło

się w pole walki. Niewielkie grupki żołnierzy klnąc i krzycząc, dźgały, strzelały do siebie i walczyły pazurami w krwawym grzęzawisku, skacząc po nim jak łyżwiarze na lodzie.

* Chryste, dźgnął mnie w brzuch... Przebił mnie... Sanitariusz... Trafili mnie... Ten sukinsyn mnie trafił...

Z obu stron dobiegały gorączkowe okrzyki pełne agonalnego strachu.

Olbrzymi Rosjanin, cuchnący czosnkiem i czarnym tytoniem, rzucił się na von Doden*burga. Oficer posłał

mu w brzuch serię z pistoletu maszynowego. Trafiony wielkolud został odrzucony do tyłu i usiadł w błocie. Kapitan dla pewności uderzył go kolbą broni w twarz. Coś zgrzytnęło i Rusek przewrócił się

na plecy. Jakiś niemiecki grenadier stanął mu stopą na twarz, a ta zniknęła pod powierzchnią błota.

Następny Rosjanin wynurzył się zza zasłony deszczu, trzymając z boku pistolet maszynowy z dziwnym okrągłym magazynkiem. Ale von Dodenburg strzelił pierwszy. Jego przeciwnik zamachał w powietrzu rękami, jakby chciał odzyskać równowagę, gulgocąc strasznie przez przestreloną tchawicę.

Wtedy do akcji wykorzystali jedyny miotacz płomieni, jaki miała ze sobą 1. kompania. Długi język ognia polizał linię nacierających Rosjan. Schylony oficer z wielkimi epoletami na ramionach wydierał się przeraźliwie, gdy

jego mundur znalazł się w płomieniach. Ta straszna broń rozświetliła ciemność nocy. Młody Rosjanin dosłownie zniknął w strumieniach ognia. Koszmarnie krzycząc, staczał się po drugiej stronie stoku, a jego kooczyny bezradnie młóciły ziemię w nieuniknionej agonii. Kolejny sowiecki żołnierz potoczył się za nim jak ognista kula. I jeszcze jeden. Zapanowała panika. Rosjanie zaczęli rzucać broń i chwytać jeden drugiego, by tylko wydostać się z tego morza ognia.

A Niemcy przedzierali się przez nich, biegnąc szaleoczo w ciemność przez nasiąknięty wodą step. W międzyczasie w powietrze strzelały sowieckie racie sygnałowe, a za nimi zaraz odezwały się katusze, zarzucając raketami pozycje, które dopiero co opuścili, zanurzając się ponownie w deszczową ciemność.

Za nimi zostali tylko ranni i zabici.

CZTERY

Jak leśne wilki przemykali się przez zniszczony jodłowy las w kierunku pozycji niczego

niespodziewających się Rosjan. Była już prawie trzecia i nadchodził czas rozpoczęcia dywersyjnego uderzenia. Za ich plecami ostrzał sowieckiej artylerii powoli zamierał i ustępował krótkim, nerwowym seriom z broni maszynowej, tak jakby sowieccy kanonierzy spodziewali się, że Niemcy nadal znajdują się gdzieś w błotnistym stepie.

Von Dodenburg dał sygnał ręką. Kilku doświadczonych żołnierzy ruszyło cichutko naprzód. Uzbrojeni byli jedynie w saperki i bagnety, które mocno ściskali w oblepionych gliną dłoniach. Sowieccy strażnicy nawet nie zareagowali, gdy zostali szarpnięci za hełmy tak, aby podtrzymujące je rzemienie zdusiły ich alarmujące okrzyki, a ostrza bagnetów zagłębiły się między ich zębra.

Von Dodenburg dał ponownie sygnał. Jego ludzie przygięci do ziemi pomknęli szybko ku konturom wystających ponad ziemię wyrzutni raketowych M*13, które zabezpieczały tyły

rosyjskich pozycji. Jeden ze strażników dreptał między dwiema wielkimi stertami pocisków raketowych kalibru 30 mm. Schulze trzasnął go swoim hamburskim kastetem. Uderzenie jak cięcie siekierą rozwaliło mu usta i powybijało przednie zęby.

* Granaty * szepnął ponagłajaco kapitan, gdy pochylił się nad nieprzytomnym strażnikiem.

Jakiś olbrzym z dwoma wielkimi worami granatów i trzema taśmami amunicji przewieszonymi przez szeroką pierś przypadł w błocie obok niego.

* Działa! * powiedział oficer. * Czas odpalenia zapalników * spojrzął na świecącą tarczę zegarka * dokładnie pięć minut od tej chwili.

Wielki grenadier zniknął w ścianie deszczu. Von Dodenburg położył rękę na hełmie, co oznaczało: „do mnie”.

Podczołgała się do niego dwudziestka żołnierzy pozostałych z 1. kompanii. Woda spływająca z krawędzi hełmów zalewała im twarze.

* Podzielcie się na dwójki. Sprawdźcie, czy wszyscy macie granaty, i zajmijcie pozycje obok schronów.

Wskazał na niewielkie wzgórki znajdujące się poniżej pozycji mózdzierzy.

* Jak tylko na południowym wschodzie ukążą się rakiety oświetleniowe, to będzie znaczyło, że bomba poszła w górę. A wtedy gazem i szybko robid porządek z Iwanami. Bez bałaganu. Granat przez strzelnicę, a potem do środka.

* Jeocy? * spytał ktoś niepewnie.

* Żadnych. Nie mamy dla nich czasu. Poza tym jest nas za mało, aby ich pilnowad. Nie, zlikwidowad Ruskich, a potem przygotowad się do odparcia kontrataku. Cała sprawa polega na tym, abyśmy się utrzymali, aż dotrze do nas kompania Schwarza. Jakieś pytania?

Rozejrzał się po pobladłych twarzach widocznych spod mokrych hełmów.

* Dobrze. Schulze, ty idziesz ze mną. A reszta * miłego lądowania!

* Wzajemnie, panie kapitanie * odpowiedziało obowiązkowo kilka głosów.

Żołnierze podkradli się pod umocnienia Rosjan i czekali w napięciu z palcami na spustach broni. Słychad było tylko chrapanie ich niczego niespodziewających się ofiar oraz odległy terkot przestarzałego sowieckiego Maxi*ma, który przypominał warkot piły tarczowej. Von Dodenburg spojrzad na

fosforyzującą tarczę zegarka. Zostały jeszcze dwie minuty. Czas włókl się nieskooczenie. Czuł, jak pot spływa mu po ciele. Uwolnił jedną rękę i wytarł ją do sucha o spodnie. To napięcie nerwowe

powodowało, że się pocił, dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Zawsze tak się działo w trudnych chwilach. Ponownie ścisnął mocniej pistolet maszynowy i w kilka sekund później znowu miał oślizłe ręce.

Zaklął lekko i uwolnił prawą rękę. Wtedy zapanowała cisza. Odwrócił się mocno przestraszony. W

powietrze wyleciała flara oświetleniowa, a zaraz potem następna. Duża twarz Schulzego zrobiła się nienaturalnie biała. Przez chwilę młody oficer trwał w bezruchu. Po prostu nie mógł się ruszyd, jakby wrósł w tym miejscu w ziemię. Kolejna raca pofrunęła w deszczowe niebo. Sowiecki karabin maszynowy jakby zaczął szybciej strzelad. W bunkrze znajdującym się poniżej jego stóp ktoś poruszył się niespokojnie.

* Teraz! * krzyknął niespodziewanie.

Schulze rzucił się do przodu. Jednym kopnięciem buciora otworzył drzwi do ziemianki. W tej samej chwili wrzucił do jej środka granat trzonkowy i szybko je zamknął.

Rozległ się lekko przytłumiony wybuch, a potem słychad już było tylko krzyki rannych. Schulze ponownie kopnął w drzwi, by je otworzyd, i od razu odskoczył na bok. W otworze wejściowym pojawił się von Dodenburg. Stanął na szeroko rozstawionych nogach, przycisnął broo do biodra i puścił do wnętrza schronu serię pocisków. Wyjący ze strachu, na wpół ubrani sowieccy żołnierze zaczęli cisnąd się do wyjścia. Jeden odpychał drugiego, byle dotrzed do drzwi. Kilku z nich krwawiło z licznych ran, a ich twarze były wysmarowane pyłem prochowym po wybuchu granatu. Zataczali się przy wyjściu i wykrzykiwali jedno z nielicznych słów niemieckich, które znali:

* Towarzysze... towarzysze!

Schulze nie wahał się. Kopnął dwóch z nich, potem długo dźgał ich ciała, aż zamieniły się w krwawą breję. Von Dodenburg wkroczył do środka z bronią przygotowaną do strzału. Miejsce to śmierdziało

niemytymi ciałami i tanim tytoniem, których nie był w stanie zagłuszyć nawet kwaśny smród eksplozji.

Przeskakiwał ponad okaleczonymi ciałami oświetlonymi przez lekko syczącą lampę olejową, która cudownie nieuszkodzona nadal świeciła na stole ustawionym pośrodku bunkra. Nagle usłyszał słabe jęki.

Odwrócił się ostrożnie. Serce waliło mu jak kafar. Po prawej stronie było wąskie przejście prowadzące do głównej sali schronu. Wyciągnął zza paska ostatni granat, wyjął zawleczkę i rzucił łukiem w ciemność. Od razu odskoczył pod osłonę ziemnej ściany. Leżący u jego stóp jęczący Rosjanin próbował podnieść się z podłogi. Gdy granat już wybuchł, brutalnie kopnął rannego wroga w twarz. Jego głowa odskoczyła z kliknięciem do tyłu jak u drewnianej lalki * jego kark został złamany.

Von Dodenburg skoczył do przodu, zasypując przejście gradem ołowiu. Jednak szkoda

było cennego metalu. Jedyni lokatorzy tego pomieszczenia, które było oczywiście stanowiskiem

dowodzenia, umierali lub już nie żyli. Ostatni Rosjanin, który na szerokich epoletach nosił odznaki pułkownika, próbował unieść się zza stołu, a z jego rozciętej arterii szyjnej tryskała struga krwi. Kapitan nie dał mu żadnej szansy. Seria pocisków dosłownie rozerwała górną połowę ciała. Zrobiło się prawie zupełnie cicho. Nic nie było słychać poza delikatnym skapywaniem krwi, która wypływała z ciała zabitego na zapyłoną podłogę.

Von Dodenburg chwiejnym krokiem cofnął się pod ścianę, pochylił i gorączkowo chwycił powietrze.

Wyparli ich, udało się! Czuł, jak opuszcza go energia, tak jakby ktoś wyciągnął z niego ukryty korek.

Wydawało mu się, że już nigdy się nie poruszy. Chwilę później w przejściu pojawił się Schulze, wywołując alarmująco jego nazwisko, by przekazać mu, że Niemcy rozpoczęli już atak wspierający natarcie Wota*na. Zaczął wycofywać się z bunkra.

* Tutaj jestem * krzyczał. * Tutaj jestem, Schulze!

W chwili gdy Schulze wszedł do środka, pierwsze salwy sowieckiego ognia kontrujące*go przeleciały z sykiem nad ich głowami. Wybuchły i cały bunkier się zatrzęsł, a von Dodenburg wiedział, że to ich chwila, teraz zabawią się jak rzadko.

Cała linia umocnieo drgała jak umierające zwierzę. Co jakiś czas spadały na nią rakiety, a za nimi ciągnęły się ogniste ogony. Rosjanie próbowali zniszczyć resztkę kompanii von Dodenburga. Ale na ich

nieszczęście zbudowali solidnie utraczone niedawno umocnienia, tak jak to zazwyczaj czynili i chociaż bunkry trzęsły się, nic poza bezpośrednim trafieniem nie mogło ich zniszczyć. Między salwami Schulze krzyczał:

* Myślę, że zostanę tutaj do końca tej zabawy. Tak będzie bezpieczniej.

Von Dodenburg złożył dłonie w trąbkę przy ustach, jego usta błyszcząły na tle poczerńniętej twarzy, gdy krzyknął:

* Raczej ty niż ja, Schulze! To jakbyśmy byli w szponach dwunastostopniowego sztormu * mój żołądek mówi, że jesteśmy na środku morza!

Ale gdy pierwsza próba przedarcia się do nich, podjęta przez kompanię Schwarza, nie powiodła się, ostrzał artylerii osłabł i do walki ruszyła sowiecka piechota. Masy niewielkich ludzi w mundurach koloru ziemi ruszyły w ciasnych szeregach, krzycząc zwyczajowo „urra!”. Byli koszeni setkami, a każdy dwuosobowy zespół Niemców działał niezależnie, z przekonaniem o własnej wyższości nad tym

pod*ludźmi, którzy tak bezmyślnie poświęcali swe życie. Ciała Sowietów gromadziły się

w stosy wysokie na pięć warstw jakieś dwadzieścia metrów od pozycji Niemców, którzy zatrzymali ich szarżę. Wkrótce ci, którzy ocaleli odpływali strumieniami z tej rzeźni do miejsca, skąd przyszli, pozostawiając ponownie pole do działania artylerii.

Wkrótce bunkier dowodzenia zaczął się kołysad po eksplozjach rakiet i czegoś, co jak sądził von Dodenburg, było pociskami z armat kalibru 105 mm. Młody dowódca już odzyskał równowagę nerwową.

Spojrzał przez niewielki otwór na zapełnione trupami pobojuwisko i zawołał:

* Schulze, ja zostanę na straży, a ty może pójdziesz i zobaczysz, czy da się coś znaleźć do jedzenia. Kiszki zaczynają mi grad marsza z głodu.

* Tak jest, panie kapitanie * zameldował sierżant, zarzucając na plecy dwa sowieckie pistolety maszynowe, których używał od chwili, gdy wyczerpała się amunicja do jego schmeissera. * Ale nie mogę panu obiecać nic więcej niż gotowana kiełbasa z kundli, którą objadają się Rosjanie.

* W tej sytuacji brzmi to jak zapowiedź najlepszego dania z hotelu Kempioski * zawołał oficer, a Schulze, urodzony szabrownik, zaczął przeszukiwad resztki bunkra dowodzenia.

Ale duży hamburczyk powrócił z czymś jeszcze, poza dwoma kawałami sowieckiego

razowego chleba, pętem jasnoczerwonej kiełbasy, która wisiała mu na ramieniu, i dziwną mieszankę wódki i wody deszczowej.

Schulze połknął kawałek czosnkowej kiełbasy i od niechcienia potoczył po podłodze monetę w kierunku von Dodenburga, który przykucnął przy osypującej się ziemnej ścianie. Zdziwiony oficer z ustami pełnymi chleba i zmieszanej wódki podniósł do góry metalowy krążek i zaczął go oglądać.

* Co to jest? * spytał po chwili. Odpowiedź Schulzego zagłuszyła kolejna

salwa rakiet. Niecierpliwie oczekiwał na koniec łoskotu, a kapitan przypatrywał się zmatowiałej złotej monecie z imperialnym orłem starej Rosji na rewersie i głową niezidentyfikowanego cara po

drugiej stronie.

* Dwudziestorublowy kawałek * zawołał w koocu Schulze.

* Aha * odpowiedział oficer bez specjalnego zainteresowania, miał zamiar potoczyć z powrotem złotą monetę w stronę sierżanta, który po sekundzie dodał:

* Złoto * prawie czyste złoto.

Kapitan gwizdnął przez zaciśnięte zęby, a sierżant obserwował wrażenie, jakie ta informacja wywarła na dowódcy.

* Złoto, co?

* Tak, wystarczy, aby opłacić najlepszą gej*szę za cały tydzień bzykania.

* Naprawdę?

* Tak, tak * Schulze wziął kolejny łyk mieszanki alkoholowej i wytarł usta rękawem munduru, nie odrywając wzroku od twarzy von Dodenburga.

* W porządku, Schulze * zaczął krzyczeć oficer, gdyż ponownie odezwały się katusze.

* No, sikaj albo złaż z nocnika! Miałeś mi coś powiedzieć, więc mi powiedz!

* Z tyłu, w tamtej salce musieliśmy zabijać granatem prawdziwego starego ruskiego oficera. Niewiele zostało z jego ciała, ale miał na sobie tyle świecidełek i blachy, że jak mogę ocenić, nawet nasz stary major Sęp byłby zazdrosny, gdyby to zobaczył. Naramienniki wskazują, że był to generał * major.

* A dokumenty, mapy i temu podobne?

* krzyknął von Dodenburg.

* Nie rozglądałem się za tym. Znalazłem tylko to * a to dosyć dla syna pani Schulze.

Sięgnął za pazuchę porozrywanego i zabłoconego munduru i wyciągnął coś, co wyglądało na staromodny pas na monety. Rzucił go w stronę oficera. Ciężki przedmiot upadł na zapyloną podłogę, tuż obok stóp kapitana.

* Jeśli chce pan, proszę je policzyć * powiedział podoficer. * Bo ja to zrobiłem. Może pan sprawdzić, jest ich tam prawie trzy setki.

* Za to miałbyś całą armię ładacznic, prawda, Schulze?

* Mógłbym, panie kapitanie. Ale ja nie chcę dziwek. Nadal nieźle wyglądam i pomimo wszystko jestem czarujący. Jeszcze nie muszę płacić za kieszonki ogórków.

* To czego w takim razie chcesz? * von Dodenburg naprężył się, gdy kolejny ciężki pocisk wylądował

zaraz za bunkrem, zasypując ich hełmy ziemią i kamieniami. * No, dalej... Co ty chcesz zrobić, człowieku?

* Wynieśd się stąd * powiedział lakonicznie Schulze, ale w jego głosie wyczuwało się zdecydowanie.

* Ale skąd?

* Z tego gówna, z Wotana, z SS i poza Niemcy!

* Co powiedziałeś? * spytał von Dodenburg i szczeka mu opadła prawie do podłogi.

* Słyszał pan, panie von Dodenburg. Ale nie zrozum mnie źle. Jeśli jakiś sodomita Iwan załatwi mnie jutro ładną kulką, co nie będzie miłym przeżyciem, nie obawiam się tego. Cholernie boję się tego, co z nami będzie dalej. Nie wytrzymam w ruskim obozie czy w jakiejś innej klatce dla jeoców wojennych.

Potrząsnął zdecydowanie głową.

* A dla nas obu tego złomu w pasku wystarczy, aby się stąd wydostać * Schulze ochoczo zaczął wyjawiać swój plan.

Opisywał, jak kilka takich monet pozwoli im załatwić kwity ewakuacyjne do któregoś

z pociągów szpitalnych jadących do Rzeszy. Tam znał kilku ludzi pracujących w dokach: * Ten „mały bękart”, który był już przy*skrzywniony parę razy, ale dobrze się czuje w tym sosie, a do tego jest najlepszym fałszerzem na St Pauli * z łatwością podrobi nam kilka cywilnych ausweisów. Z nimi udamy się na teren okupowanej Francji, gdzie nawiążemy kontakt z katalooskimi szmuglerami, którzy w Pirenejach regularnie przeprowadzają uciekinierów przez granicę z Hiszpanią.

* Od tej chwili * Schulze machnął szeroko ręką i patrzył na swego dowódcę, który z niedowierzaniem otworzył usta * świat jest nasz. Argentyna, Brazylia, Chile * do wyboru, kto się o to troszczy. Tak daleko, gdzie nie ma SS i wojen.

Nagle przerwał.

* Co pan o tym myśli, panie von Dodenburg? To jest jedyny sposób, by ocalić nasze tyłki, nim będzie za późno.

Zadziwiony kapitan otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg, która łaknęła oddechu.

* Ty, ty * jękał się, nie potrafiąc znaleźć słów, które mogłyby wyrazić jego wściekłość. * Chyba nie spodziewasz się...

Nie dokończył tego zdania. Ryk rakiet wystrzelanych z katiusz zagłuszył metaliczny

zgrzyt gąsienic Tygrysa. Dobrze im znany pruski głos zawołał:

* Wotan do mnie! Batalion Szturmowy SS Wotan, zebrał się wokół mnie!

Wreszcie reszta oddziału przedarła się do ich pozycji.

PIĘD

Krwawe natarcie na Kursk rozwijało się w promieniach bezlitosnego, rozgrzanego do białości rosyjskiego słońca. Dzień po tym, jak została przełamana druga linia obrony sowieckiej, nad pozycjami niemieckimi pojawiła się flotylla trzysilnikowych samolotów „Ciocia Jusi”, jak popularnie nazywano transportowce Ju*52. Statecznie i w znakomitym szyku, pomimo ostrzału przeciwlotniczego Rosjan, uwalniały z lin holowniczych wielkie szybowce Do*230. Kilka chwil później, rzucając wielkie czarne cienie, bezsilnikowe maszyny coraz bardziej zniżały się nad spalonym stepem, po czym lądowały w doskonałym stylu. Nim rosyjska artyleria wstrzelała się w ich lądowisko, piloci szybowców rozładowali pokryte materia drewniane maszyny, które leżały na ziemi jak bezradne ptaki.

Wypłynął z nich strumień ludzi i wyposażenia. W większości byli to nastolatki, którzy ledwo co ukończyli kurs szkoleniowy. Niektórzy z nich mieli za sobą tylko sześciotygodniowy trening podstawowy.

Wielu z nich mówiło po niemiecku z dziwnym, obcym akcentem. Byli to etniczni Niemcy pochodzący z różnych krajów okupowanej Europy, rekrutowani na siłę przez „łapaczy” Heinricha Himmlera bądź

kuszeni fałszywymi obietnicami. Wyposażenie nie było wiele lepsze: polatane PzKpfw IV, odzyskane z poprzednich kampanii, uzbrojone w przestarzałe krótkolufowe armaty kalibru 75 mm, które już nie nadawały się do walk z Rosjanami.

Ale pomimo raportu niezadowolonego sierżanta Metzgera, że „przybyło dwustu zdobycznych Niemców i osiem dziecinnych czołgów”, dowódca batalionu był zadowolony z otrzymanych posiłków. W ciągu ostatnich czterech dni Wotan stracił pięćdziesiąt procent swych sił, więc zastrzyk świeżej krwi był

naglądco potrzebny.

Dwanaście godzin później 3. kompania, której została przydzielona większość wzmocnienia, sondowała trzecią linię obrony Rosjan i wpadła w chytrze ustawioną przez nich zasadzkę. Zachęceni do natarcia Niemcy, którzy szarżowali jak kozacka kawaleria, nadziali się na skrzydłowy ostrzał całej sowieckiej brygady dział szturmowych, okopanych do połowy kadłubów na prawo od osi natarcia. Rosyjskie działa samobieżne SU były uzbrojone w piekielnie groźne armaty kalibru 76 mm. W innej

sytuacji niemieckie armaty czołgowe kalibru 88 mm poradziłyby sobie z nimi. Ale SU*76 były

głęboko wkopane w ziemię, dzięki czemu niszczyły jednego Tygrysa za drugim, same nie narażając się na ich ostrzał. W ciągu trzydziestu minut 3. kompania niemalże przestała istnieć. Tylko dwa niemieckie czołgi uszły z tego pogromu. W jednym z nich znajdował się dwudziestoletni oficer dowodzący w tym

momencie kompanią.

Zameldował o stratach Sępowi w regulaminowy, wojskowy sposób, potem poprosił o zgodę na

oddalenie się od dowódcy i podszedł do najbliższego połamanego drzewa, jakby chciał załatwić potrzebę naturalną. Zamiast tego wyciągnął służbowy pistolet, przyłożył jego lufę do skroni i pociągnął za spust.

Kula roztrzaskała czaszkę, a krew trysnęła tak daleko, że aż obryzgała lśniące buty do konnej jazdy majora Geiera. Sęp spokojnie wyjął chusteczkę do nosa i starł z nich krew, a pobladły Metzger patrzył na niego z przerażeniem.

* Pochowajcie gdzieś tego głupka, Metzger

* zachrypiał oficer. Jego głos był całkowicie pozbawiony emocji. * Widzę, że muszę wypisać dla niego rekomendację do odznaczenia

* no, powiedzmy Krzyż Żelazny II Klasy!

Pociągnął nosem i przez monokl w oku sprawdził, czy ma już czyste cholewki.

* To wszystko, na co zasłużył za bezmyślną utratę kompanii. Gdyby to był rok 1940, trafiłby pod sąd wojenny. No, a teraz, Metzger, wyjmij ołów z tyłka! Ruszaj się!

Tej samej nocy do ich obozowiska przybyła długa kolumna ciężarówek z 8. Dywizji Pancерnej, która do tej pory była w rezerwie. Zdumiona kompania czołgistów w czarnych uniformach zeskokczyła na pylistą ziemię i ustawiła się w jednym szeregu przed Geie*rem i jego oficerami. Przsadzisty kapitan

pancerniaków pospiesznie stuknął obcasami i złożył raport.

* Kapitan Stuke z 1. kompanii 7. batalionu i dwustu ludzi!

Sęp obrzucił go smutnym spojrzeniem. Von Dodenburg wiedział, o czym myśli teraz jego dowódca *

kapitan był typowym dekwonni*kiem tyłowym, którego jedynym odznaczeniem była brązowa odznaka sportowa. Po dłuższej chwili wahania odwzajemnił pozdrowienie:

* Witamy w Batalionie Szturmowym SS Wotan, Stuke * powiedział dobitnie major.

* Batalion Szturmowy SS Wotan? * kapitan trochę idiotycznie powtórzył słowa Sępa. * Ależ majorze!

Nikt nie mówił mi w dowództwie, że mamy podlegać Waffen SS.

* W takim razie musi to być dla pana miłą niespodzianka, co? Niecodziennie ma się okazję dołączyć do takiej elitarniej jednostki jak Wotan, prawda?

* Tak, tak. Ja to rozumiem, majorze * powiedział Stuke, po czym spłonił się jak panienka. * Ktoś musi zastanowić się nad takim rozwiązaniem i podjąć decyzję. Niech mi pan wybaczy, majorze, ale nie możemy tak po prostu zostać dołączeni do Waffen SS.

* Chce pan czy nie? * spytał łagodnym tonem Sęp.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, a w oczach pojawił się ołów. Ze swojej strony von Doden*burg współczuł

kapitanowi wijącemu się jak piskorz na patelni.

* Nie * mruknął niepewnie oficer.

* Dziękuję, żołnierzu * szczechnął krótko major i zerwał pierwszy naramiennik z munduru czołgisty. *

Strzelec SS Stuke może już wstąpić do szeregu.

* Ale to... jest zniewaga * wyrzucił z siebie jego rozmówca.

Sęp nie przejmował się jego protestami. Zwrócił się do chorążego Barscha, jednorękiego weterana ze starego składu Wotana, który przyłączył się na ochotnika do Waffen SS, gdy w 1941 roku stracił rękę.

Jego pierś była pełna odznaczeń za odwagę.

* Barsch, będziesz tak miły i przejmiesz 3. kompanię. Upewnij się, czy przed świtem każdy z nowych żołnierzy Wotana ma naszytą

na rękawie opaskę z napisem „Leibstandarte Adolf Hitler”.

* Tak jest, panie majorze! * krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, tak jakby byli na placu defilad w Bad Tolz.

Popychając przed sobą załamane kapitańskie czołgisty, krzyknął do nowych rekrutów:

* Witamy w batalionie Wotan! W porządku? Wszyscy za mną i to szybko!

Ubrani w czarne mundury pancerniacy podążyli chwiejnie za nim, obciążeni ekwipunkiem, a ich zdegradowany kapitan włókł się na końcu kolumny. W tym samym czasie Sęp powiedział cicho do von Dodenburga:

* Jedno słówko na ucho. Niech 3. kompania zajmie pozycje * i będzie na nich tak długo, jak się da. Barsch to idiota, ale odważny. Nie będzie problemów. Do prawdziwej bitwy potrzebuję tylko ludzi, na których mogę polegać.

* Prawdziwej bitwy, panie majorze?

* W sztabie dywizji dowiedzieli się dziś rano od ludzi Gehlena, że Rosjanie większość swoich sił pancernych trzymają w okolicy Kur*ska. Nie użyli jeszcze nawet ich połowy. Potrzebuję starych wyjadaczy, gdy Rosjanie rzucą je wreszcie do walki. Do tej pory tylko się z nami bawili.

Stojący za nimi Schulze westchnął lekko:

* Jeśli to był dopiero pierwszy akt * mruknął * to nie chciałbym wiedzieć, jak wygląda drugi...

Rankiem 9 lipca batalion został nagle ściągnięty z pola walki i wycofany osiem kilometrów w głąb pozycji niemieckich, aby „przyjad ważną osobistość”, tak przynajmniej wynikało z telefonicznej informacji przekazanej ze sztabu Dietricha.

Tą osobistością okazał się sam Heinrich Himmler. Jego chudą postać okrywał mundur w kolorze feldgrau z insygniami generała Waf*fen SS, a na piersi widniała brązowa odznaka sportowa, Krzyż Żelazny III klasy i coś, co przypominało partyjny Order Krwi. Gdy wysiadł z małego, jednosilnikowego storcha, za nim pojawiła się przysadzista postać o posturze boksera wagi średniej, który już dawno przeszedł na emeryturę. Schulze stojący za plecami von Dodenburga szepnął półgłosem:

* Myśli pan, że on dostanie Krzyż Rycerski po tej wizycie? Mówili mi, że ma dostać jakąś wstążeczkę na ból gardła.

* Zamknij się, głupku * rzucił kapitan, nawet nie odwracając głowy. * Albo zaboli cię tyłek, i to szybko!

* Batalion Szturmowy SS Wotan, baczość!

* zabrzmiał głos Sępa.

Wszyscy żołnierze stanęli na baczość. Sęp ruszył sztywnym krokiem, zatrzyma! się regulaminowe sześć metrów przed Reichsfuhre*rem i małym, pękatym działaczem NSDAP

* którzy w porównaniu z towarzyszącymi im

adiutantami z SS, z których kilku miało prawie dwa metry wzrostu * wyglądali jak karły. Następnie zawołał:

* Batalion Szturmowy SS Wotan * czterystu ludzi, osiemnastu oficerów i jeden chorąży * wszyscy obecni i gotowi do służby!

Heinrich Himmler dotknął swoją bladą, kobiecą dłonią daszka czapki i uśmiechnął się nieśmiało:

* Dziękuję ci, mój drogi Geier. Dobrze cię znów widzieć, a tak przy okazji, masz już swoje gwiazdki podpułkownika. Wczoraj podpisałem twój awans.

Twarz Sępa poróżowiała z niewysłowionej radości. Awans był jedyną kwestią, która miała dla niego znaczenie. Oczywiście poza ślicznymi jak cherubinki upudrowanymi chłopcami, którzy po zmierzchu królowali na stacji metra Lehrter w Berlinie.

* Dziękuję, mój Reichsführerze! * szczechnął. * Jestem pewien, że batalion będzie dumny z tego zaszczytu.

Himmler przeprowadził powolny i dokładny przegląd oddziału, zachowując się bardziej jak starszy sierżant niż generał * major, gdy sprawdzał podarte mundury i zniszczoną w trakcie walk broń, jakby cała sprawa miała miejsce w Berlinie w czasie pokoju, a nie w środku ogarniętej wojną Rosji. Schulze westchnął później:

* Stał tak blisko, że mógł mi zajrzeć w migdałki i założyć wstążkę * mówiąc to, miał na myśli Krzyż Rycerski * a to byłoby coś więcej niż ten jego wstrętny oddech. Boże Wszechmocny! To był tak paskudny smród, że nie zdziwiłbym się, gdyby mógł stopić nim ten cholerny medal!

Ale w końcu Reichsführer, który z powodu zbyt młodego wieku nie mógł brać udziału w I wojnie

światowej i obecne obowiązki szefa Waffen SS traktował nadzwyczaj poważnie, zakończył z satysfakcją drobiazgową inspekcję. Żołnierze nadal stali sztywno, gdy Himmler wdrapywał się na płytę pancerną Tygrysa, skąd chciał wygłosić przemówienie. Dwa razy nie udało mu się wejść na pancierz i machał do stojących na boku adiutantów, by pomogli mu w tym ekwilibrystycznym przedsięwzięciu. Gruby

aparaczyk zaśmiewał się z kłopotów swego towarzysza. Rzeczywiście pałkowate nogi Reichsführera nie nadawały się do takiej wspinaczki, więc musiał oprzeć się o jednego z ogromnych adiutantów.

Gdy wreszcie wgramolił się na stalowe podium Tygrysa, obciągnął gniewnie mundur i stanął twarzą do zgromadzonych.

* Żołnierze Wotana, towarzysze! * zaczął uroczyście. * Mam wielką przyjemność dzisiaj do was przemówić. Ale jednocześnie jest mi bardzo przykro, że tak bardzo stopniały wasze szeregi. Jest jednak waszym smutnym obowiązkiem bycie elitarnym batalionem * być na czele ofensywy podjętej w imieniu narodu, ojczyzny i Fuhrera.

* Uważaj, Heini * powiedział Schulze do sąsiada stojącego obok. * Bo jak tak dalej się będziesz nadymać, to jeszcze przepukliny dostaniesz!

Stojący wokół niego esesmani, którzy do tej pory zachowywali kamienny wyraz twarzy, nie mogli

powstrzymad chichotu. Ale stojący na pancerzu wielkiego czołgu Himmler nie zwracał na to uwagi, był

zbyt zajęty łapaniem oddechu, a jego gigantyczny ordynans podawał mu szklanę z ulubioną lemoniadą.

* Ale wasze poświęcenie, towarzysze, nie jest daremne. Jak wiecie, odpychamy stale i skutecznie bolszewicką bestię. Wygrywamy, i to zdecydowanie. Teraz wy, jako szpica osobistej gwardii Fuhrera, będziecie mieli zaszczyt zadania śmiertelnego ciosu sowieckiej bestii.

Przerwał dramatycznie, a jego chorobliwie blada twarz rozpałała się gorączkową czerwienią.

* W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin * kontynuował były hodowca kurczaków * staniecie się ostrzem, które przetnie czwartą i ostatnią linię radzieckiej obrony. Tam Rosjanie będą musieli stanąć i walczyć albo uciec na zawsze. Z tego, co donosi nasz

wywiad, wynika, że Rosjanie będą walczyć. Dlatego to wam przypadnie honor zadania pierwszego ciosu w tej niezwyklej bitwie.

Znowu zrobił przerwę, a von Dodenburg stojący w pierwszym szeregu słyszał wyraźnie, jak świszczy powietrze, wydostając się z jego astmatycznych płuc.

„Złoty bażant”, który stał trochę poniżej, patrzył na zegarek i ziewał znudzony, nawet nie próbując zakryć ust dłonią. Stojący beczynn timer von Dodenburg zastanawiał się, kim jest ten grubas, który tak grubiaosko zachowuje się w obecności Himmlera.

* Koledzy! Nie mogę wam zbyt wiele powiedzied. Jak sobie zdajecie sprawę, wiedza, którą posiadam, jest okryta tajemnicą. Ale tyle mogę przed wami odkryć * bitwa, w której weźmiecie udział w ciągu

czterdziestu ośmiu godzin, będzie największym starciem w dziejach ludzkości. I kiedy już ją wygracie, ci z was, którzy ją rozstrzygną i przeżyją, będą uważad, że uczestniczyli w najważniejszym wydarzeniu swojego życia.

Jego twarz wykrzywił lodowaty uśmiech.

* A teraz towarzysze, ja i towarzysz ludowy Bormann * tu wskazał na grubego aparatczyka, którego znudzona twarz ożywiła się, gdy dotarł do niej zapach jedzenia * uznaliśmy, że będzie dla nas zaszczytem, jeśli będziemy uczestniczyd wraz z wami w skromnym żołnierskim posiłku.

Gdy kucharze zaczęli rozstawiad na długich, prymitywnych stołach ustawionych zaraz za placem obozowym, wazy z grochówką mocno okraszoną kiełbasą, nowo awansowany podpułkownik Geier zawołał:

* Sieg Heil!

W entuzjazmie związanym ze świeżą promocją nawet zapomniał o swoim wrodzonym cynizmie i komediowej teatralności narodowego socjalizmu.

* Sieg Heil * wzniósł się okrzyk z czterystu gardeł z takim zapalem, że von Dodenburg, który stał sztywno na baczność, naładowany nadzieją i nową energią, stwierdził w duchu, że dawno czegoś takiego nie słyszał. Ponownie nabrał wiary, a wątpliwości zasiane przez Schulzego gdzieś znikły. Muszą pokonać Sowietów i to zrobią!

* Sieg Heil! * krzyczał z oczami błyszczącymi fanatyzmem. * Sieg Heil!

Metzgerowi powierzono wybranie z grona młodych żołnierzy kilku, którzy będą usługiwać przy stole Himmlera. Garść ludzi zameldowała się jemu i Schulzemu, który jako jedyny z podoficerów posiadał

Krzyż Rycerski i miał być razem z nim dowódcą obsługi stołów. Młodzi mężczyźni stali teraz w szeregu przed przechodzącymi sierżantami, którzy dokonywali selekcji.

* Ty! * szczerknął Metzger do tyczkowatego Niemca z Siedmiogrodu. * Powiedz: „Czy mogę podać panu sól, Reichsfuhrer”.

Wielki sierżant tylko jęknął, jak usłyszał to zdanie wypowiedziane ledwo zrozumiałą niemczyzną.

* Wynoś się, ty źle podrobiony Szwabie! * ryczał. * Do diabła, co ty sobie myślisz, że ten batalion to jakaś Legia Cudzoziemska?

Kilku innych zostało od razu odrzuconych, gdyż nie byli blondynami * a przecież wszyscy wiedzieli, że Heinrich Himmler lubił w SS tylko ludzi z jasnymi włosami, chociaż sam miał ziemistą cerę i włosy czarne jak egipski fellach. Metzger spojrzał na wysokiego żołnierza stojącego na koocu szeregu, który dołączył

do nich z 8. Dywizji Pancерnej.

* Ty się nadasz * powiedział. * Tylko zdejmij tę swoją czarną piżamkę, teraz jesteś w SS, pamiętasz?

Surową twarz żołnierza ożywił leniwy uśmiech.

* A kto by mógł o tym zapomnieć, sierżancie? * spytał zuchwale. * Grochówka i pół pęta kiełbasy z Reichsfuhrerem jednego dnia, a następnego drewniana jesionka. Oczywiście znacie życie w SS.

* Zamknij ten głupi ryj, ty cioto! * powiedział groźnie Metzger, ale nie było teraz czasu „zrobić z niego świni”, jak to miał w zwyczaju

w takich sytuacjach, ponieważ Reichsfuhrer zażądał wody mineralnej, a kucharze nie byli w stanie jej znaleźć.

* Schulze * powiedział * obejrzyj ich paluchy i sprawdź, czy za paznokciami nie mają połowy stopy. Jakby co, użyj tego do manikiuru.

Podniósł długi rosyjski bagnet, którego kucharze używali do krojenia kiełbasy przy stole Himmlera, rzucił

go w stronę hamburczyka, a sam udał się na polowanie na wodę sodową. Schulze przeszedł szybko wzdłuż linii stojących żołnierzy i po kolei kazał im czyścić paznokcie. Wreszcie zrównał się z czołgistą z 8.

dywizji.

* No dobra, cieniasie. Pokaż swoje łapki.

Zaczął od oglądania lewej dłoni. Na każdym palcu zobaczył wytatuowane dla hecy niebieskie litery.

*M*A*R*C*H*E* przeczytał głośno Schulze. * Marsz? Co to, do cholery, znaczy?

Duży facet podniósł prawą dłoń. Na palcach też miał wytatuowane litery.

* Marche ou creoe, jak tu napisano. To po francusku * w razie, jak pan nie jest tak wykształcony jak ja, sierżancie. Albo zmusisz się do marszu, albo wykitujesz.

Schulze spojrział na niego z sympatią.

* Byłeś w Legii Cudzoziemskiej?

* Oczywiście, sierżancie * powiedział szeregowiec. * Osiem lat. Zdezerterowałem w Afryce Północnej w 1941 roku, gdy Korpus Afryka wylądował w Libii. Uciekłem do niego przez granicę.

* Północna Afryka * powiedział zadumany Schulze. * Chciałbym z tobą porozmawiać, kolego.

* W każdej chwili, sierżancie. Ale nie spodziewaj się, że pokocham cię bez gry wstępnej. Widzisz * były legionista rzucił mu kpiący uśmiezek. * Prawdziwą miłość zostawiłem w Afryce.

Schulze wykonał lubieżny gest, ale nie był obrażony na wojaka z 8. dywizji. W jego głowie zaczęły się tworzyć zarysy wielkiego planu.

Towarzysz ludowy Bormann zjadł chciwie pół litra zupy grochowej, całkowicie koncentrując się na pochłanianiu zawartości talerza, jakby pierwszy raz od dłuższego czasu dostał coś do jedzenia. Przy tym kompletnie ignorował Himmlera, jego sztab i oficerów z batalionu Wotan, którzy siedzieli wokół niego.

Potem nadział na widelec kawał kiełbasy i ogryzał tak, jak to czynią prości chłopci, pozwalając spływać tłuszczowi po zadziornie wydętych policzkach. Gdy już skończył posiłek, wytarł twarz i bez ceremonii przystąpił do rozmowy.

* Jestem Meklemburczykiem, jak wiecie * powiedział schrypniętym i prostackim głosem, aż kilku oficerów spojrzęło na niego

z przestrachem. * Tysiąc lat temu żyli tam Słowianie, dopóki nie wykopali ich Germanie. Od tamtej pory generacje porządnych niemieckich chłopów z mazołem tworzą z Meklemburgii i terenów na wschód od niej prawdziwe Niemcy * generacja po generacji porządny naród niemiecki * podniósł głos, który pomimo swojej szorstkości był pełny mocy. Bormann był przyzwyczajony do wydawania rozkazów i

spodziewał się, że będą one wykonywane. * A teraz, jeśli w lipcu nie pokonamy bolszewików, to zaczną nas wypierać z Rosji. I nie zatrzymają się w Polsce ani Prusach Wschodnich. Nie, panowie, ich celem będzie Elba, kiedyś granica starych słowiańskich państw. A wtedy Meklemburgia ponownie stanie się słowiańska. To dlatego bitwa, do której wkrótce przystąpimy, panowie, jest tak ważna dla przyszłości Rzeszy. I to jest bardzo proste.

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy, w trakcie której kamerade Bormann patrzył wyzywająco na zmęczone walką twarze, jakby spodziewał się, że ktoś zaprzeczy jego odważnym stwierdzeniom.

* Oczywiście masz rację, Martin * powiedział Himmler i zmoczył wyschnięte usta łykiem wody mineralnej. * Nadchodząca bitwa jest rzeczywiście ważna dla Rzeszy, ale czy nie przedstawiasz całej sprawy zbyt dramatycznie? Uważam, że jeśli weźmiesz...

* Nie * przerwał mu szorstko Bormann, a von Dodenburg dostrzegł, że sekretarz partii ledwie skrywa pogardę dla przywódcy SS. * Nie jestem wcale zbyt dramatyczny, Hein*rich. Obym się nie mylił. To jest bitwa o przetrwanie Trzeciej Rzeszy. A czas ucieka. Jeśli nie pokonamy bolszewików w lecie, to na pewno nie uczynimy tego zimą. Wszyscy pamiętamy, co się stało w zeszłym roku, prawda?

Kilku zatroskanych oficerów pokiwało głowami; Stalingrad i potworna klęska na zawsze zapadły im w pamięć

Bormann szybko rzucił twarde spojrzenie na twarze młodych oficerów Wotana.

* Wierście mi, Fuhrer jest świadom wielkiego poświęcenia z waszej strony i ludzi, którzy już od nas odeszli. Ale wie również, że musi wymagać i otrzymać jeszcze więcej ofiarności z waszej strony w czasie nadchodzącej bitwy. Gdybyście byli u jego boku, tak jak ja przez dwadzieścia godzin w ciągu dnia i widzieli, jak martwi się o was i o Niemcy, wiedzielibyście, że wasze zaangażowanie nie pozostanie niezauważone. Strata nawet jednego prostego grenadiera rani jego serce. Jednak uodpornił się na straty, bo musiał. Wy też musicie być twardsi * tak twardzi jak stal Kruppa, jak zwykło się mówić w

Meklemburgii, gdy byłem chłopcem. Musicie wymagać i dostać najbardziej okrutne poświęcenie od swoich ludzi

w tej bitwie. A co najważniejsze, los Trzeciej Rzeszy leży właśnie w waszych rękach.

Skooczył, pociągnął nosem, zajrzał do pustej miski, jakby już zapomniał o „losie Trzeciej Rzeszy”, i wyrzucił go ze swojego chłodnego, logicznego umysłu, po czym powiedział bardzo grzecznie:

* Myślę, że jeszcze zjadłbym z pół litra tej wspaniałej zupy grochowej. I jeśli można z pół kielbaski,

oczywiście jeśli tylko coś zostało, pułkownik, no...

* Geier * powiedział zaczerwieniony Sęp.

* Tak, pułkownik Geier. Może pan to załatwić?

* Metzger * zagrział dowódca batalionu.

* Zobacz, czy znajdzie się jeszcze trochę zupy dla Reichsleiters. Przecież nie chcemy, aby opuścił linię frontu z myślą, że żołnierze głodzą gości z dalekich tyłów, gdzie * jak każdy wie * ciągle brakuje jedzenia.

Obraza była oczywista, ale sekretarz NSDAP nie wydawał się nią przejmować.

* Dziękuję * powiedział nad wyraz uprzejmie.

* Nie pchaj paluchów do wazy z zupą, kolego * powiedział groźnie wyglądający były legionista do żołnierza, który jako kelner szedł z michą grochówki w stronę Bormanna.

* Może się zepsud.

* E, tam * odpowiedział nieco zaskoczony chłopak.

* Tak, właśnie naplułem, aby ją trochę doprawić, a chyba nie do końca wyleczyłem się z trypra.

Schulze wrzucił kawałek kiełbasy do zupy dla grubego aparatczyka. Cały bok miski był ochlapany, więc kelner wytarł go rękawem.

* Ruszaj dalej * mruknął sierżant do chłopaka * bo ten błazen już na nią czeka. I to kłusem albo poczujesz szpic mojego buta w tyłku.

Schulze poczekał, aż kelner znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i spytał:

* No, cieniasie, jaki masz plan? Tylko nie próbuj ze mnie robić balona, bo dostaniesz hamburskim wyrównywaczem * powiedział i wyciągnął z kieszeni groźnie wyglądający kawałek metalu.

Ale były legionista był szybszy. Jego ręka błyskawicznie wyskoczyła z kieszeni. Nim Schulze założył mosiężny kastet na palce, w dłoni jego rozmówcy błysnęło cienkie ostrze.

* To pierwsza rzecz, której musisz się nauczyć w Legii. W kompanii szkoleniowej starzy wyjadacze lubią rznąć w kakao. Jeśli więc nie chcesz zostać czymś materacem na resztę służby w jednostce, musisz nauczyć się szybko machać nożem. Ciach, ciach, po ich pedalskich tyłkach i już ci więcej nie będą przeszkadzać

* powiedział i uśmiechnął się leniwie. * A poza tym, gdybyś na to pozwolił, to straciłbyś dobry punkt obserwacji świata, prawda?

Jego śmiech był zaraźliwy, więc Schulze przyłączył się do niego. Legionista schował nóż tak szybko, jak go wyciągnął.

* Wydaje mi się, że masz rację * powiedział sierżant. * Chodź, ulżymy trochę naszym nogom. Myślę, że nawet ten mały gruby bękart, który przewodzi wiodącej w Niemczech partii, już nakarmił swoją gębę.

Cicho odeszli w cieo najbliższego drzewa, usiedli, opierając się plecami o jego pieo i obserwowali ludzi, którzy pili piwo przywiezione w samolocie Himmlera.

* Jedna butelka na dwie twarze * prychnął Schulze. * To się nazywa hojność. Ale z drugiej strony, sam zapach fartucha barmanki wywołałby pijacką furję u tych żółtodziobów.

* Mam pół skrzynki piwa * powiedział jego towarzysz. * Dmuchałem ją, gdy ciąłeś kiełbasę.

* Zrobiłeś to! * przyznał z podziwem Schulze. * Sprytny z ciebie chłopczyk. Zbyt sprytny, by siedzieć w tym bagnie.

* Wiem i nie mam zamiaru tu zostać długo

* wyciągnął małą kosmatą fajkę i najdziwniejszy kapciuch na tytoo, jaki Schulze kiedykolwiek widział.

* A co to jest, do diabła?

* Cycek kabylskiej kobiety * odparł jego nowy kumpel, zawzięcie pakując tytoo do cybucha. * Obciąłem go i wyprawiłem jeszcze w tym samym roku. To była młoda suka * możesz to poznać po brodawce i klasie skóry * nigdzie ani zmarszczki.

* Wywał to gówno, dobrze? * powiedział zde gustowany sierżant. * Co sobie inni ludzie o tobie pomyślą!

* Sierżant Grimaldi zrobił sobie podobny z worka na jądra pewnego Chioczka * stwierdził spokojnie były legionista. * Był tak wielki, że można było zmieścić w nim z kilogram tytoniu.

Odłożył koszmarny woreczek i powiedział:

* Jest wiele sposobów, by to zrobić. Wie pan o tym, sierżancie. Nie trzeba uciekać aż tak daleko, by zainfekować oko rzeźączką, gdyż można je stracić, ale wystarczy tylko trochę kamienia nazębnego wtartego w ranę, by wywołać ropieć. Albo może kilka kropli oleju rycynowego wetrzed w oko,

zabandażować je na noc, a rano masz piękne, soczyste zapalenie spojówek. Warto też spróbować

wsadzić korek pod stopę w bucie i skoczyć, no, powiedzmy, że dwa metry do przodu i już masz piękne zwichnięcie stawu.

* W porządku, chłopczyku. Nie musisz się już dalej wymądrzać * wiem, o co chodzi. Ale

co nam to da? Jesteś nadal w armii, a gdy już pożegnają cię łapiduchy, to wrócisz tam, skąd uciekłeś, czyli do Batalionu Szturmowego Wo*tan. A wiesz, co to znaczy?

Spokój legionisty gdzieś się ulotnił.

* Wiem * odpowiedział niewyraźnie

* szybki ubój w krótkim czasie.

* No, właśnie! To jest już trzeci raz, jak ten zażarty batalion pcha się do Rosji i dalej też nie będzie inaczej, uwierz mi!

Wskazał ręką na opalonych młodych żołnierzy, którzy pili piwo przy prymitywnych stołach.

* Większość z tych żółtodziobów będzie wachad kwiatki od spodu przed koocem miesiąca. A ty nie masz zamiaru byd między nimi, sierżancie?

* Ani trochę, żołnierzu. Jak do tej pory mały synek pani Schulze miał nosa.

* A jak się chcesz wydostać z tego bagna?

* spytał jego towarzysz.

* To jeszcze nie twój problem. Tylko mój. Pytanie brzmi, czy gdy przyjdzie na to czas, cieniasie, mogę liczyć na ciebie? Potrzebuję kogoś takiego jak ty, kto zna trochę świata.

Nim jednak były legionista zdołał odpowiedzieć, przybiegł do nich Metzger i zawołał gniewnie:

* Rusz się, Schulze, co ty sobie myślisz, że co to jest, żydowska szkoła czy co? Reichsfuhrer już wyjeżdża i mamy jeszcze raz stanąć przed nim w szeregu. Podnieś ten swój ciężki tyłek, no już!

Silnik storcha już warczał. Na tle spalonego stepu stała na baczność resztką batalionu Wotan, oblewana palącymi promieniami słońca. Sęp, stojący po prawej stronie von Do*denburga, mocno przyciskał dłoń do daszka czapki, pod którym kryła się opalona na brąz twarz.

Dwaj ważni goście zatrzymali się na chwilę. Heinrich Himmler ostatni raz spojrział na harde twarze, których oczy wpatrywały się w odległy horyzont. Przez szum silnika samolotowego wyraźnie przebijał się pomruk ciężkiej artylerii zasypującej pociskami linie obronne Rosjan, nim jeszcze rozpoczął się pancerny atak. W jego ciemnych oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Szybko ściągnął z nosa binokle, które nadawały mu wygląd wiejskiego nauczyciela, i wytarł je starannie.

* Towarzysze * bełkotał niewyraźnie. * Ja, wasz Reichsfuhrer, pozdrawiam was.

Złączył swoje chude nóżki, chcąc stanąć na baczność, i wyrzucił w górę prawą rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

* Heil Hitler!

Stojący za von Dodenburgiem sierżant Schulze napiął się, aby wykonać swoje słynne pierdnięcie wyrażające pogardę dla dekowników na tyłach, którzy wysyłają lekkomyślnie na okrutną śmierć tak wielu młodych ludzi.

Ale Reichsleiter Bormann stojący obok wodza SS ubiegł go. Beknął głośno i chwycił bezceremonialnie Himmlera pod pachę.

* Na miłość boską, Heinrich, chodź już! Dzisiaj wieczorem u Adolfa w kwaterze będą pieczone kurczaki.

Jeśli nie zjawimy się odpowiednio wcześniej, to ten zachłanny bękart Hoffmann pożre je wszystkie!

(Najprawdopodobniej chodzi o „profesora” Hoff*mana, osobistego fotografa Hitlera, który był śmiertelnym wrogiem Bormanna.)

KSIĘGA TRZECIA

STARCIE GIGANTÓW POD KURSKIEM

Bitwa, w której weźmiecie udział w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, będzie największą bitwą czołgową w historii ludzkości. Ci, którzy przeżyją, uznają ją za najważniejsze zdarzenie w swoim życiu.

Heinrich Himmler do oficerów Batalionu Szturmowego SS Wotan, 9 lipca 1943 roku

JEDEN

Gdy wielka kula pomarańczowego słońca ślizgała się nad horyzontem, radziecki generał*major oparł się o pień samotnego drzewa rosnącego na wzgórzu wznoszącym się ponad polem bitwy i nastawiał ostrość soczewek lornetki, koncentrując wzrok na pozycjach Niemców.

W jego polu widzenia pojawiło się pobojuwisko bitewne: połamane skrzynki po amunicji, porzucone puste kanistry po paliwie, zardzewiałe druty zasieków, zniszczone niemieckie i sowieckie czołgi.

Wszystko to zaczynało błyszczeć w promieniach wschodzącego groźnie słońca. Poza obozowiskiem

Fryców stały wielkie, ciche pudła Tygrysów i Panter, z których smętnie zwisały ku ziemi długie lufy ich armat, zakoocone puszkowatymi hamulcami odrzutu. W tej ciężkiej ciszy wiszącej ponad polem

bitewnym rosyjski generał dosłyszał słabe odgłosy stukotu i dźwięczne dzwonienie metalu o metal.

Szybko nastawił ostrość szkła. Tak jak podejrzewał, wszędzie biegali żołnierze, aby dotrzeć do spokojnych do tej pory czołgów gotowych do kolejnego dnia walki.

* Fryce to ranne ptaszki, towarzyszu generale Rotmistrow * mruknął do stojącego nieco z tyłu dowódcy 5. Armii Pancерnej Gwardii.

Rotmistrow, najlepszy ekspert od broni pancерnej w Armii Czerwonej, spojrział w dół na ukraińskiego działacza partyjnego.

* To wielki naród, towarzyszu Chruszczow * powiedział ostrożnie, starając się ukryć niechęć do swojego rozmówcy. * Ciężko pracują i twardo walczą.

* To prawda. Lenin zawsze myślał o nich jak o wielkim narodzie. Przez wiele lat nawet sądził, że to oni rozpoczną rewolucję światową. Ale chyba się mylił, nieprawdaż?

Chruszczow opuścił lornetkę i uśmiechnął się, ukazując krzywe żółte zęby. Ale w jego oczach nie widać było tej radości. Uderzył kciukiem w beczkowatą pierś.

* W tej kwestii, ja, Nikita Chruszczow na pewno się nie pomylę, towarzyszu generale. Dzisiaj na tej równinie, my Rosjanie będziemy walczyli z Frycami i ich pokonamy * i będziemy ich tak głośno bili, by nigdy więcej się nie podnieśli. Dzisiaj, towarzyszu generale Rotmistrow, wygramy wojnę!

* Rotmistrow? * spytał Schwarz w noc poprzedzającą odprawę bojową. * Czy to żydowskie nazwisko?

* Nie wiem, mój drogi Schwarz * odparł Sęp. * Naprawdę nie obchodzi mnie, czy jego matka była zezowatą zdzirą z Reeperbahnu w Hamburgu, a jego ojciec legendarnym cadykiem spod Lwowa.

Wszystko, co mnie interesuje, i ciebie również, to czy ten zdolny dowódca sowieckich jednostek pancерnych zorganizuje nam czas tak samo jak pod Stalingradem i kto stanie jutro przeciwko nam z

piętnastoma setkami czołgów!

Ta informacja poruszyła zgromadzonych oficerów, a Sęp zaśmiał się chłodno.

* Tak myślałem, że to was trochę przestraszy, szczególnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że generał Hoth zdołał zebrać ledwie osiemset czołgów, dział szturmowych i transporterów opancerzonych, by przeciwstawić się Rosjanom. Krótko mówiąc, przewyższają nas liczebnie dwa do jednego.

* Ale my jesteśmy z SS, panie pułkowniku! * zaprotestował gorąco Schwarz.

Przez chwilę Sęp patrzył na niego w milczeniu. Potem potarł palcem czubek swego wielgachnego nocha i zachrypiał:

* Tak, mój drogi młody Schwarz. Jak słusznie zauważyłeś, jesteśmy z SS. Miejmy nadzieję, że nasi przyjaciele Rosjanie z drugiej strony linii frontu też sobie z tego zdają sprawę, co?

Teraz, gdy całe obozowisko wypełnił jazgot trzaskających gaśienic, syk siłowników hydraulicznych i basowy pomruk odpalanych silników, von Dodenburg nie potrafił oprzeć się poczuciu ogromnej mocy, pomimo faktu, że przeciwnik posiadał tak wielką przewagę liczebną. Czołgi zaczęły rozjeżdżać się wa*chlarzowato, a pierwsze promienie krwistego słońca odbijały się od ich czołowych płyt pancernych.

Widok tak wielu niemieckich pojazdów pancernych, zebranych na południowy wschód od Kurska, wywoływał w kapitanie wrażenie ogromnej wyższości nad wrogiem. Oczywiście nic nie jest w stanie zatrzymać tak ogromnego pancernego rajdu, nawet jeśli Rosjanie mają dwukrotną przewagę liczebną!

Byli przecież elitą niemieckiej broni pancernych, posiadającą najlepszych ludzi, z których każdy z ogromnym przekonaniem wierzył w credo narodowego socjalizmu, jedynej nadziei Europy, która jest zdolna zatrzymać pochód bolsze*

wizmu.

Gdy tylko pojazdy Wotana uformowały szyk za Tygrysem, w którym jechał Sęp, i ruszyły naprzód z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, ich kierowcy przypatrywali się spod przymrużonych powiek pustemu i zadziwiająco nieruchomemu stepowi. Schul*ze, siedzący w wieżyczce czołgu obok von

Dodenburga, z napięciem wypatrywał pierwszych rozbłysków na horyzoncie. Według młodego oficera on i reszta załogi mieli zwierzęcą

cierpliwość. Jak długo jeszcze można wytrzymać tak straszliwe oczekiwanie, nim pierwszy mosiężny kawał metalu wbije się w nich, rozrywając ścięgna, mięśnie i nerwy?

Poniżej, w głębi czołgu, nowy kierowca, którego wypatrzył Schulze w uzupełnieniach z 8. Dywizji Pancerniej, zwiększył obroty silnika. Von Dodenburg podskoczył nerwowo. Przez chwilę był nawet zły na kierowcę.

* Hartmann! * szczechnął krótko przez mikrofon przyczepiony do gardła, ale zaraz zmienił zdanie i wyłączył komunikator.

Może facet chciał przeczyścić zabrudzone świece albo coś podobnego. Kapitan spojrzał ponownie na tarczę zegarka. Minuty wlokły się potwornie. Któryś raz z kolei oblizał wyschnięte wargi.

Tu i tam niektórzy z młodszych dowódców czołgów zamykali już włązy, szykując się do czekającej ich walki. Ale horyzont nadal pozostawał pusty, a promienie słoneczne świeciły Niemcom w oczy pod tak ostrym kątem, że nie byli oni w stanie dostrzec dobrze zamaskowanych pozycji oczekujących ich Rosjan.

Nic się nie poruszało.

Nagle w powietrze wystrzeliła raca sygnalizacyjna. Wydawało się, że wisi nad ich głowami bardzo długo, po czym zmieniła się w srebrne iskry lecące w stronę jasnego nieba, a jej resztki spadły gdzieś w step jak upadły anioł. Ale to, co się później stało, nie było już anielskie. Linia całego horyzontu gwałtownie podskoczyła. Rozległ się dźwięk, jakby ktoś rozrywał kawał grubego płótna. Czerwone płomienie zafalowały wzdłuż widnokregu po prawej stronie i białe kropki pomknęły ku nim, pozornie zwiększając cały czas prędkość.

* Ostrzał przeciwpancerny * zawołał Sęp przez radio * rozluźnid szyk!

Jego słowa zginęły w głośnym trzasku metalu o metal. PzKpfw IV jadący w pobliżu Tygrysa von

Dodenburga, podskoczył jak wierzgający mustang, a potem zatrzymał się w miejscu. Potężne pociski latały w powietrzu, które szybko zaczął wypełniać kwaśny smród kordytu, stopionego metalu i spalonych ludzkich ciał.

Von Dodenburg od razu zareagował.

* Celowniczy... trawers w prawo... aż do stu... ruska pięćdziesiątka siódemka!

Schulze błyskawicznie obracał potężną wieżą z armatą kalibru 88 mm, niemal z czułością dotykając palcami mechanizmu obrotnicy.

* Na celu * zameldował krótko.

* Ognia!

Powietrze przed czołgiem zrobiło się jasno*żółte od dymu. Cała wieża podskoczyła jak dziecinna zabawka. Podmuch gazów prochowych wypełnił wnętrze pojazdu i łuska pocisku spadła do płóciennego worka zawieszzonego pod rygłem armaty.

Von Dodenburg wrzucił kolejny pocisk do komory zamka, a potem błyskawicznie spojrzął przez wizjer peryskopu.

* Za krótko, Schulze!

* O, kurwa! * zaklął nieregulaminowo sierżant.

* Dodaj pięddziesiąt!

Palce Schulza pracowały szaleoczo przy celowniku. Chwilę później nacisnął pedał spustu. Wieża zatrzęsa się ponownie, a kapitan rzucił się po raz kolejny do okularu wizjera. Koliste pole widzenia wypełnione było dymem, który na szczęście szybko opadał. Po chwili zobaczył, że tam, gdzie stała radziecka armata, zionęła wielka dziura w ziemi wypełniona poskręcanyimi kawałkami metalu i ludzkich ciał.

* Dopadliśmy łachudrę! * zawołał triumfalnie oficer. * Mamy go!

* Chryste, panie kapitanie! * nagły okrzyk Hartmanna przerwał radość dowódcy. * Trzech Iwanów na jedenastej!

Pierwszy zareagował Schulze. Gdy czołg jednorękiego dowódcy 3. kompanii zarył w ziemię pod wpływem uderzenia pocisku, sierżant w tej samej chwili wystrzelił. Pierwsza sowiecka armata zniknęła w fontannie ziemi wyrzuconej przez eksplozję. Prawie natychmiast dwie pozostałe, sprytnie ukryte w zagłębieniu terenu odległym zaledwie trzysta metrów od Tygrysa, skierowały swe stalowe pyski w kierunku nowego zagrożenia. Rozległ się świst, a potem poczuli dobrze znane smagnięcie niczym biczem. Pierwszy wystrzelony przez Rosjan pocisk ogłuszył ich jak dzwon piekielny.

* Hartmann! * zawołał opętaoczo von Do*denburg. * Znajdź jakiś kawałek terenu, abyśmy gdzieś schowali tę naszą skorupę!

* Rozkaz! * były legionista był dobrym żołnierzem, więc nie protestował.

Zaszarżował w gęsty dym wydobywający się z uszkodzonego Tygrysa Barscha. Jego cielsko osłaniało ich trochę przed ostrzałem Rosjan. Gdy wydawało się, że wjadą w burtę czołgu dowódcy 3. kompanii, kierowca skręcił szybko w prawo. Potem od razu wrzucił wyższy bieg, a ciężki czołg zwiększył prędkość, wystawiając cały swój bok na widok Rosjan. Ale nim ci zdołali przestawić armaty i ich celowniki, zwierzyna zniknęła z pola widzenia, Tygrys wjechał w niewielkie zagłębienie terenu i zahamował z takim impetem, że aż von Dodenburg spadł z metalowego siedzenia.

* Pierwsza klasa, Hartmann! * pochwalił go dowódca.

* Niech pan się nie martwi o medal dla mnie * odparł spokojnie kierowca, nawet nie dysząc ciężko.
*

Raczej udam się szybko do kompanijnego płatnika!

Von Dodenburg tylko się zaśmiał.

* Schulze, do roboty! * zawołał chwilę później, gdy rozwścieczeni Rosjanie zaczęli ciężkimi pociskami ryd ziemię osłaniającą pancierz kadłuba czołgu.

Oślepiany przez fruujące kawałki ziemi i kamienie Schulze zaczął ostrożnie celować. Z długiej lufy armaty czołgowej padł wystrzał. Odrzut lufy poruszył wielkim czołgiem jak żywym zwierzęciem. Pocisk odłamkowy uderzył w ziemię jakieś pięćdziesiąt metrów przed stanowiskami armat sowieckich.

* Znowu za krótki, Schulze! * krzyknął z gniewem von Dodenburg. * Na miłość Boską! Zabieraj paluchy!

* Ale panie kapitanie... * jego protest zagłuszyła seria wystrzelona z karabinu maszynowego radiooperatora.

Groźna smuga świetlnych pocisków pomknęła lekkim łukiem w kierunku umykającej obsługi sowieckiej armatki. Pocisk czołgowy wybuchł w pobliżu uciekających ludzi. Rosjanie nadal próbowali zwiewad, ale na próżno. Strzelec czołgowego kaemu ściął trzech z nich długą serią, a czwarty udawał zabitego. Ten ostatni zerwał się do biegu chwilę później, ale nim zdołał pokonać pięć metrów, nadział się na kolejną serię ołowiu, która dosłownie rozerwała go na strzępy.

* Nigdy się nie nauczą * powiedział Hartmann przez trzeszczący komunikator czołgowy, zakłócany przez odgłosy bitwy. * Jakby leżał spokojnie, tam gdzie się ukrył, to miałby co potem opowiadać wnukom.

* Wnuki? * prychnął Schulze, cały czas obrażony na von Dodenburga. * Na rany Chrystusa, a kto chciałby je mieć?

* Zamknij się, sierżancie * rozkazał kapitan.

* Zakryj tę drugą armatkę wszystkim, co masz

* bo zatrzymała całą naszą kompanię!

Znajdujący się na prawo od nich PzKpfw IV dosłownie gotował się w ogniu. Jego dowódca, pokryty płaszczem płomieni, próbował wydostać się przez właz w wieżycze. Udało mu się wytoczyć na zewnątrz, upadł na ziemię, poderwał się z niej i pobiegł na ślepo pod gaśnice jednego z niemieckich czołgów jak żywa pochodnia. Kierowca najeżdżającego Tygrysa nawet nie zauważył biedaka. Wielkie gaśnice stalowego potwora przeżyły swoją ofiarę i wypłuły z tyłu pojazdu w postaci krwawej papki.

Schulze ponownie nacisnął pedał spustu i pocisk rozpryskowy eksplodował ponad głowami obsady ostatniej armatki Rosjan. Gorące szrapnele uderzyły jak fala w jej płytę przeciwodłamkową i rozerwały oponę na jednym z kół działa. Radzieccy artylerzyści wpadli w panikę i zaczęli uciekać.

Ale czekał już na nich radiooperator z karabinem maszynowym. Ponownie przemówił MG*34. Seria pocisków

wystrzeliwana z częstotliwością ponad ośmiuset sztuk na minutę poleciała w ich stronę i skosiła ich jak kępę trawy.

* Znakomicie, von Dodenburg * zachrypiał czyjś głos przez głośnik krótkofalówki. * Ale bierzcie się znowu za patyczki. Za długo tu zalegacie!

Był to oczywiście Sęp.

* Tak jest, panie pułkowniku! Nacierad w obecnym kierunku?

* Oczywiście * potwierdził spokojnie Sęp, jakby to były zwykłe dwiczenia w Westfalii. * Obserwowałem sposób ostrzału Rosjan. Był dobry na początku, a potem się pogorszył. Naturalnie puszczają im nerwy. Im bliżej podjedziemy do wzniesień, gdzie okopali armaty przeciwpancerne, tym więcej będziemy mieli szans. Nie będą w stanie opuścić tak nisko luf, aby do nas strzelać. Łapiesz, o co mi chodzi?

* Tak jest, panie pułkowniku!

* To w porządku i dobrych łowów, von Dodenburg!

Gdy 1. kompania ruszyła do dalszego natarcia w szyku rozproszonym, kapitanowi opadła z wrażenia dolna szczęka. Dym bitwy na chwilę się rozrzedził. Sowieckie działa przeciwpancerne na wzgórzu natychmiast wznowiły ostrzał. Ale nie ten fakt zadziwił von Dodenburga, tylko to, co zobaczył za nimi.

Od jednego krańca horyzontu do drugiego rozciągała się masa sowieckich czołgów. Były ich setki, jeśli nie tysiące!

Schulze, siedzący obok niego w wypełnionej siwym dymem wieży, westchnął pełnym respektu głosem:

* Na palmę betlejemską! Czy pan to widzi, panie kapitanie?

Jednak von Dodenburg nie był w stanie odpowiedzieć. Bał się, i to tak jak nigdy wcześniej w swoim życiu.

Dwie wielkie fale stalowych pojazdów nieubłaganie zbliżały się do siebie.

Kostki w dłoniach Fuhrera zbielewały * był to znak napięcia nerwowego * gdy ubrany w szary uniform

„polowy materac” (Żargonowe określenie członkini kobiecej służby pomocniczej.) dodawał informacje o kolejnych zidentyfikowanych jednostkach, które pojawiały się na wielkiej mapie leżącej na stole z zaznaczonym przebiegiem frontu wschodniego. To już nie były tylko bataliony czy pułki, ale całe dywizje, korpusy czy nawet armie! Tył munduru referującej dziewczyny zrobił się mokry od

potu, gdy biegała od telefonu do mapy, by nanieść znak kolejnej nowej jednostki radzieckiej. Hitler z przerażoną twarzą odwrócił się do pobladłego Jodla.

* Mój drogi Jodl, skąd ci bolszewicy biorą ludzi?

Nie czekając na odpowiedź, spytał:

* Czy sprawdzałeś z Gehlenem prawdziwość tych informacji?

Major Buechs, inteligentny adiutant generała Jodla, który odegrał tak znaczącą rolę w planowaniu wielkiej ofensywy na zachodzie w 1940 roku, wtrącił się:

* Myślę, że możemy polegać na informacjach od generała Gehlena, mój Führerze. Jego dane przeważnie są prawdziwe.

Hitler odwrócił się do niego zagniewany, ale i zadowolony, że znalazł ofiarę i może dać upust wściekłości.

* W porządku, Buechs. Ale czy Gehlen zna obecne możliwości tych jednostek? Skąd mamy mieć pewność, że te sowieckie pułki nie są tylko zwykłymi batalionami?

* Naturalnie Rosjanie redukują siłę swoich jednostek, tak samo jak my, mój Führerze. Jednak gdy Gehlen mówi o pułku, to jest to pułk!

Chorobliwa twarz Adolfa Hitlera oblała się nerwową czerwienią. Jodl spojrział na niego i powiedział, iż ten człowiek nie przetrzyma nawet roku, pomimo tych wszystkich środków odurzających, które pompował w niego prawdziwy szarlatan, doktor Morrell.

* Dziękuję, Buechs, możesz odejść * powiedział grobowym głosem Hitler.

Major z obrażoną miną stuknął obcasami i pomaszerował w stronę drzwi, jakby szedł na paradzie. Jodl uśmiechnął się pod nosem. Znosił humory Hitlera już od czterech lat, były one gorsze niż wściekanie się wodza.

Führer chwycił się gwałtownie za łokied.

* Blondi, chodź * wydał komendę.

Duża alzacka suka, która z wywieszonym z gorąca jęzorem leżała na podłodze, podniosła się i powoli ruszyła za nimi na dziedziniec. Ciężki jak ołów natarczywy upał uderzył ich w twarze jak lepka pięd.

Stojący wśród jodeł strażnicy z SS wyglądali, jakby zbudzili się ze snu i mocniej chwytali broń spoconymi rękami. Gdy ci dwaj ludzie szli powoli zatopieni w ukraijskim kurzu, z głowami nisko opuszczonymi z powodu rozmowy, wyglądali jak czarne złe cienie.

* Jodl, nigdy mi się nie podobał pomysł operacji „Cytadela”. To ty i twoi towarzysze ze sztabu generalnego namówiliście mnie do niej. No i zobacz, w jaki bałagan mnie wpakowaliście!

* Tak jest, mój Fuhrerze * powiedział posłusznie generał.

Zwycięstwo ma wielu ojców, powiedział w duchu, a klęska jest... Jednak nie dokończył w myśli znanej sentencji, gdyż Hitler zaczął znowu mówić.

* Ale skąd, na niebiosa, bolszewicy biorą takie siły? Wiedzieliśmy, że będą licznie nad nami przeważać. Ale tysiąc pięćset czołgów i to nowych, rzuconych na pole bitwy! Pytam, przecież to niewiarygodne! Jodl, co na to powiesz?

Ale generał nie był przygotowany, aby go pocieszać, jak to robił w przeszłości. Fuhrer musiał wreszcie stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Narodowosocjalistyczne Niemcy przegrywały wojnę.

Niespokojny umysł Hitlera pracował szybciej niż jego współpracownika.

* Dobrze * powiedział nagle, chwytając Jodla za ramię. * Jeśli nie jesteśmy w stanie rzucić na pole walki tyle samo broni pancernej co Rosjanie, to musimy zrekompensować ich przewagę.

Przez chwilę patrzył na generała z uśmiechem szaleńca.

* Dlaczego o tym nie pomyślałem od początku?

* Co pan ma na myśli, mój wodzu? * spytał obowiązkowo Jodl, a jego ciało stężało w oczekiwaniu tego, co nastąpi. Znał zbyt dobrze te przeczucia Hitlera.

* Rudel, pułkownik Rudel z Luftwaffe! * zawołał entuzjastycznie wódz narodu niemieckiego. * Cokolwiek można było powiedzieć o Luftwaffe Goeringa, to na pewno nie można było odmówić Rudelowi zdolności i odwagi. Ile razy był on już ranny od początku działań wojennych?

* Dziewięć razy, mój Fuhrerze * odpowiedział pospiesznie Jodl, zastanawiając się, dlaczego on, szef sztabu największej armii świata, musi pamiętać takie szczegóły. A z drugiej strony wiedział, że gdyby nie odpowiedział na to pytanie, opuściłby otoczenie Hitlera w ciągu dwudziestu czterech godzin. * W tym dwa razy ciężko.

* To jest coś! * zawołał podniecony wódz narodu. * Taki człowiek, po tylu ranach nadal lata i walczy!

Z radości uderzył prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

* Przecież on sam jest wart tyle co cały sowiecki korpus pancerny! W porządku, Jodl. Poinformuj dowództwo Luftwaffe, że chcę, aby pułkownik Rudel z pięcioma dywizjonami łowców czołgów natychmiast dołączył do bitwy * rozumiesz, natychmiast!

Ale nim Jodl zdołał zebrać w sobie odpowiednią dawkę entuzjazmu, z pokoju konferencyjnego wybiegł w ich stronę Buechs z twarzą wykrzywioną szokiem.

* Mein Fuhrer! * krzyczał. * Mein Fuhrer!

* Co jest, Buechs? * spytał szczerliwie Hitler.

Major wcisnął w dłoń wodza cieniutką karteczkę.

* Właśnie przyszło od marszałka Rommla * wysapał. * Błyskawiczny telegram.

Fuhrer wyprostował niewielki zwitek bibuły, a jego twarz nadal była zaróżowiona entuzjazmem z powodu podjęcia nagłej decyzji.

Niezgrabnie założył okulary w złotej oprawce, w których Hoffmann nigdy nie pozwalał mu się fotografować. W koocu udało mu się skoncentrować wzrok na tekście telegramu. Z głębi jego gardła wydobył się ryk demona. Mięśnie policzkowe zaczęły mu niebezpiecznie drgać.

* Co się stało, mein Fuhrer? * spytał z obawą Jodl, wyciągając ręce do przodu, jakby mógł wesprzeć nimi swego przywódcę.

Hitler bez słowa podał mu karteczkę z super tajną informacją. Była jasna i czytelna, więc Jodl od razu wiedział, że kilka słów od Rommla oznaczało koniec Tysiącletniej Rzeszy.

DZIŚ RANO ALIANCI WYLĄDOWALI NA SYCYLII

Podpisano ROMMEL

Było gorąco jak w piecu. Oślepiające światło cięło w oczy jak ostrze noża. Ponad oczekującymi czołgami zasnute dymem niebo przybierało groźne kolory. Przez tę kurtynę tarcza słońca wyglądała jak miedziana moneta. Jednak pomimo morderczego upału wszyscy czekali w pogotowiu. Na przednich pancerzach

czołgów rozpostarte zostały płachty identyfikacyjne. Wielkie strzałki, ułożone na wypalanej do korzeni trawie, wskazywały kierunek sowieckich pozycji. Oddziały niszczycieli czołgów mogły już wyruszyć.

* Tam są! * krzyknął niespodziewanie Schulze, wskazując na zachód.

* Stamtąd nadlatują! * zaczęli krzyczeć żołnierze Wotana, wdrapując się na pancerze nieruchomych Tygrysów i PzKpfw IV, aby mieć lepsze pole widzenia, nie zważając na fakt, że w okolicy nadal działali sowieccy snajperzy.

Jak czarne jastrzębie nadleciały z wyciem silników od strony słońca. Pojawiła się spora gromada JU*87 G

Panzerknacker, zwanych

„zgniataczami pancerzy”. Wisiały w powietrzu niemal nieruchomo, gotowe w każdej chwili spaść na swój łup. Nagle ich lider poruszył statecznikami lekko zakrzywionych skrzydeł. Jeden raz, drugi i trzeci; to był

sygnał.

Pierwszy samolot odłączył się od grupy i z ohydny wyciem syren rzucił się do lotu nurkowego.

Natychmiast odezwała się artyleria przeciwlotnicza Rosjan. Wokół szarżującego w kierunku ziemi Stukasa zaczęły wykwitać kłębuszki dymu, ale pułkownik Rudel, as Luftwaffe, nie przerywał ataku. Gdy już się wydawało, że uderzy z szybkością 400 kilometrów na godzinę w zwęglone pole walki, wyrównał

tor lotu. Mirady czarnych pocisków wyleciały spod białego brzucha bombowca nurkującego i zaraz potem pierwsze sowieckie pozycje pancerne zniknęły w paskudnych, czarnych tumanach dymu.

Grenadierzy stojący na pancerzach czołgów zawyli z radości. Gdy samolot Rudla ponownie wznosił się w powietrze, czarny całun dymu rozerwały żółte i czerwone rozbłyski. Jeden sowiecki czołg za drugim otrzymywał trafienia. Białe i zielone sznury świetlistych paciorków krzyżowały się w powietrzu.

* Dalej, dowalcie tym bolszewikom! * darli się w szaleoczej ekstazie esesmani, gdy kolejny Stukas pognał

w kierunku ziemi.

Powietrze stało się gęste od duszącej mgły powstałej z pyłu stepowego zmieszanego z tłustym dymem olejowym. Całe pole bitwy wypełniło się radosną wrzawą Niemców, do których dochodziły słabe, ale dręczące krzyki rannych i umierających Rosjan. I wtedy atak, który tak szybko się rozpoczął, równie szybko się zakończył. Dobiegały tylko pojedyncze wystrzały artylerii przeciwlotniczej. Warkot silników Stukasów wyraźnie słabł, gdy odlatywały one, pozostawiając za sobą zniszczone sowieckie czołgi.

Ale łowcy Rudela jeszcze nie zakończyli dzieła. Gdy tylko bombowce zniknęły za linią horyzontu, od zachodu doleciał terkot silników kolejnej fali samolotów. Chwilę po tym ponad widnokregiem

zamajaczyły sylwetki Henschli 129, zwanych „latającymi otwieraczami do konserw”, zgrupowane w dwóch dywizjonach. Wszystkie spojrzenia natychmiast skierowały się w ich stronę. Twarz von

Dodenburga rozpałała się nadzieją.

* Jest ich więcej. Teraz pokażemy Iwanom!

* Mimo wszystko to nie są czołgi * powiedział posępnie Schulze, gdy narastał warkot silników lotniczych.

* To jeszcze nie są czołgi!

* Daj spokój, promyczku * uspokajał go kapitan, osłaniając oczy dłonią, by lepiej przyjrzed się nadlatującym samolotom * osiemnaście z nich właśnie przygotowywało się do nalotu.

Jedna eskadra skierowała się trochę na wschód, druga przeleciała nieco na zachód, a trzecia pozostała w środku. Razem tworzyło to w powietrzu trzy szpikulce wielkich wideł. Sowiecka artyleria przeciwlotnicza ponownie ożyła. Henschle wyraźnie chwiały się w powietrzu. Z prawego silnika jednego z samolotów wystrzeliła smuga białego dymu. Pilot próbował utrzymać maszynę w szyku, ale mu się nie udało.

Pozwolił jej powoli wytracać wysokość, aby posadzić ją bezpiecznie na stepie w wypadku awaryjnego lądowania. Zaniepokojone spojrzenia żołnierzy Wotana śledziły jego lot, a ich spocone twarze stężyły w napięciu. Nagle Henschel eksplodował i zamienił się w czerwoną kulę ognia. Samolot rozpadł się na milion błyszczących punkcików, które zaraz zgasły jak świece. Reszta formacji nie zmieniła szyku.

W tym momencie samoloty znalazły się nad sowieckimi pozycjami. Lider prawoskrzydłowej eskadry zamachał skrzydłami. Zaraz potem rzucił swój samolot do lotu nurkowego. Henschel leciał w dół z prędkością 300 km/h i strzelał z dwudziestomilimetrowych działek.

Na linii rosyjskich czołgów rozpętało się piekło. Pierwsza fala samolotów poleciała w dół szerokim wachlarzem do wysokości stu pięćdziesięciu metrów, a ich specjalnie wysunięte podwozia działały jak hamulce. Wielkokalibrowe pociski wylewały się spod ich skrzydeł. Jeden T*34 po drugim stawały przy*duzione do ziemi lawiną ołowiu. Obserwatorzy na ziemi doskonale widzieli, jak zdjęci paniką rosyjscy pancerniaci opuszczają swoje pojazdy, zanim zostaną zniszczone. Raz za razem Henschle schodziły niemal do poziomu terenu, kręcąc się i przechylając, by uniknąć ostrzału Rosjan, a potem wzbijały się ponownie w niebo, aby ponownie zaatakować z lotu nurkowego.

Ludzie stojący na oczekujących na wejście do walki Tygrysach darli się aż do ochrypnięcia i machali entuzjastycznie, gdy Henschle przelatywały tak nisko nad ich głowami, że widad było twarze

prowadzących je pilotów.

Ale tym razem Luftwaffe nie mogła działać według własnej woli, gdyż Sowieci zaalarmowali własne lotnictwo. Od wschodu pojawiły się chmary Jaków i Ławoczkinów, by dołączyć do bitwy. Całe niebo pokryło się zygzakami smug kondensacyjnych, które pozostawiały walczące ze sobą samoloty. Ale Henschle nie były w stanie sprostać szybszym myśliwcom radzieckim i jeden po drugim były zestrzelane z nieba.

Jeden z uszkodzonych szturmowców niemieckich, ciągnąc za sobą warkocz białego dymu

wydobywającego się z podziurawionego silnika, z wyciem zbliżył się do ich parku maszynowego. Uderzył

w ziemię, odbił się od niej na jakieś trzydzieści metrów w górę, uderzył ponownie w grunt, zrobił

salto i zatrzymał się na stepie. Inny wpadł pomiędzy dwa drzewa i połamał skrzydła jak gałęzie. Jego pilot wyszedł z kabiny z drżącym uśmiechem na białej jak kreda twarzy i poprosił o trochę wódki. Zaraz potem zemdlął.

Ale to był jeden z nielicznych szczęśliwców. Jaki zestrzeliwały jeden po drugim wolniejsze niemieckie bombowce, a potem z rykiem silników przelatywały nisko nad głowami Niemców, robiąc ciasne becзки, by zademonstrować swą wyższość bezradnym czołgistom wroga. W zasadzie było już po wszystkim.

Nieliczne ocalałe Henschle umykały na zachód, pozostawiając niebo we władzy Rosjan.

Schulze splunął szyderczo na ziemię i patrzył, jak dym rozwiewa się nad rosyjskimi pozycjami. Kiedy to już się stało, było jasne, że ponieśli oni spore straty. Na stepie stało sporo uszkodzonych lub płonących czołgów. Jednak za nimi czekały nadal setki ciemnych, przysadzistych maszyn z lufami skierowanymi w stronę Niemców.

* Do diabła, Hartmann! * powiedział gorzko. * Już dwa razy zamykałem oczy, a ten koszmar nadal nie zniknął.

Leniwy, cyniczny uśmiech, który zawsze gościł na twarzy byłego legionisty, tym razem ustąpił.

* No, sierżancie, jeśli nie chce zniknąć...

* przerwał nagle, patrząc prosto w twarz podoficera.

* Wiem, co ci chodzi po głowie, Hartmann

* odpowiedział powoli Schulze. * Nie musisz mi wysyłać telegramu. Jeśli oni nie odejdą, to my będziemy musieli zmykać, co?

Hartmann nie zdążył już nic powiedzieć, gdyż rozległy się oficerskie gwizdki. Czołgowe silniki z rykiem powracały do życia. Von Dödenburg powracał biegiem ze stanowiska dowodzenia Sępa, przyciskając do siebie podskakującą kaburę pistoletu.

* Wsiadad do czołgów! * zawołał. * Do wozów! Musimy zaatakować, nim Rosjanie ochłoną!

Ostrzał artyleryjski rozpoczął się jak ryk rozwścieczonej bestii. Niezliczone oślepiające błyski rozjaśniły równinę za ich plecami. Ogłuszające dudnienie. Chwilę później cały ciężar salwy artylerii korpusu zwałił

się na pierwszą linię pozycji Rosjan. Ziemia zadrżała. Nawet skryci za grubym pancerzem Tygrysa czuli podmuch eksplozji. Odruchowo otwierali usta, by uchronić bębni słuchowe przed popękaniem.

* Czołgi wroga na drugiej! * zaskrzeczał w radiu nieznamy głos. * Tysiące drani!

Von Dödenburg rozejrzył się po pogrążonej w półmroku wieży. Czerwona lampka kontrolna

wskazywała bezpiecznik zamka armaty. Wszystkie lufy były na razie czyste. Spojrzał na Schulzego, który przykucnął

przy okularze celownika. Byli gotowi do walki. Zerknął jeszcze przez szczelinę obserwacyjną. Zadymiony krajobraz rozciągający się przed nimi, wypełniony był sowieckimi czołgami i działami szturmowymi.

Jeden za drugim stalowe potwory toczyły się w ich stronę.

W głośniku niemal radośnie zachrypiał głos Sępa.

* No, panowie. Myślę, że nadszedł czas, abyśmy stawili czoło naszemu wyzwaniu. Przewalcowad ich!

Hartmann wrzucił bieg w sześćdziesięcioletnim kolosie. Po prawej i lewej stronie czołgi batalionu Wotan ruszały na spotkanie wroga. Rozległ się grzechot radzieckich karabinów maszynowych, jakby ktoś uderzał w klawisze maszyny do pisania. Złoto*białe koraliki pocisków uderzały w pancerną wieżę jak ziarnka grochu.

* Nie strzelaj, Schulze * rozkazał von Do*denburg. * Oni tylko ustalają dystans.

* Nie miałem zamiaru, panie kapitanie * odparł Schulze, jak na niego niezwykle cicho.

Wyglądał na człowieka, który toczy własną, wewnętrzną bitwę. Ale w obecnej sytuacji kapitan nie miał

czasu angażować się w jego sprawy. Przekrwionymi oczami śledził przez wizjer

najbliższe przedpole, aby policzył sowieckie T*34, które nacierały w kierunku czterdziestu kilku czołgów ich batalionu. Gdy dociągnął do stu czterdziestu, poddał się z desperacją.

Kompania Schwarza już weszła do akcji. Znalazła się trochę na prawo od osi natarcia batalionu. Jak zawsze porucznik był chętny, by znaleźć trochę sławy i walki. Znalazł jedno i drugie. Nagle tuzin jego Tygrysów i PzKpfw IV zwiększył prędkość i ruszył na przeważającego liczebnie wroga.

* Na miłość Boską, Schwarz! * chciał zawołać von Dodenburg, ale słowa zamarły mu na ustach.

Lunatyczny, jak do tej pory, przejazd Rosjan skooczył się, a ich kanonierzy gwałtownie obracali wieże armatnie, aby skoncentrować ogień na nacierających Niemcach. W wielu miejscach radzieckiego szyku pojawili się w wieżach czołgów dowódcy oddziałów, wymachując gorączkowo chorągiewkami

sygnalizacyjnymi jak szaleni skauci.

Strzelcy Schwarza nie mogli zmarnować takiej okazji. Serie czerwonych pocisków świetlnych przeleciały pomiędzy obiema grupami czołgów. Włazy do wież zostały natychmiast pozamykane, a sowieccy

kanonierzy pociągnęli za dźwignie spustów.

Słupy białego dymu pojawiły się ze wszystkich stron, gdy Rosjanie zaczęli opętaoczno strzelad w zuchwałą grupę niemieckich czołgów. Trzeszczącym w radiu głosem Schwarz oświadczył buoczucznie:

* Zagraliśmy im na nerwach! Dalej, pokażmy im, z czego jest zrobiony Batalion Szturmowy Wotan!

Wszystkie armaty kalibru 88 i 75 mm ożyły. Chwilę potem pociski uderzyły w pancerze niemieckich czołgów, jakby kowale zaczęli wielkimi młotami walid w kowadła. Nagle na falach radiowych zaczęły krzyżowad się rozkazy, okrzyki triumfu, bólu i rozpacz.

* T*34 strzela... przez tamte krzaki! Strzelaj w podwozie!... Ognia!... Chryste Nazareoski, spudłowałeś!..

Ponad sto... ponad setkę! Powiedziałem... Tak jest... strzelaj dalej!

Niemal od razu bitwa zamieniła się w chaotyczne starcie brytanów. Smukłe języki ognia zaczęły przebijać się przez oleisty dym, po czym następowała eksplozja kolejnego palącego się czołgu.

Schwarz znalazł się dokładnie w środku formacji Rosjan. Wszędzie płonęły lub strzelały T*34 i działa szturmowe. Ale czołgi z jego kompanii poniosły też znaczne straty. Gdy reszta batalionu znalazła się na skraju tej potyczki, zmierzając w kierunku głównej masy sowieckiej fali pancerniej, jego żołnierze mogli obserwowad, jak jeden wóz bojowy po drugim jest kolejno eliminowany z walki.

* Chryste, patrzcie tylko na to! * wydarł się podniecony Schulze, a von Dodenburg uderzył go boleśnie łokciem w żebra.

Przystojny, olbrzymi blondyn, który pierwszego dnia natarcia tak łatwo przenosił skrzynki z granatami, kołysał się na pokrywie silnika płonącego Tygrysa, jakby chciał wyciągnad kogoś ze środka. W pierwszej chwili von Dodenburg myślał, że ten człowiek klęczy. Dopiero po chwili zrozumiał, że się mylił. Olbrzym kołysał się na kikutach, które kiedyś były nogami. Za jego plecami zaczęły się palie drewniane skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych.

* Skacz! * wrzasnął bezsensownie w mikrofon krtaniowy. * Na miłość Boską, skacz, człowieku!

Ale jasnowłosy czołgista nie mógł go usłyszad. Chwilę później najbliższa skrzynka z amunicją wybuchła, skrywając go w oślepiającym błysku.

Teraz Schwarz został już sam. Jego cała kompania została zgnieciona masą sowieckich czołgów. Ze wszystkich stron Rosjanie koncentrowali ogieo na osamotnionym Tygrysie. Ale ten ani nie dymił, ani nie chciał się wycofad. Nagle wielki czołg zakołysał się jak statek na wzburzonym morzu, paskudne czerwone iskry wystrzeliły z tylnego koła kierunkowego. Przez chwilę stalowego kolosa skrywał dym. Von Dodenburg ścisnął spoconymi dłoomi obudowę peryskopu i przyglądał się bezradnie całej

sytuacji. Gdy dym się rozwiął, okazało się, że Tygrys nadal parł do przodu, tyle że trochę wolniej.

* Poruczniku Schwarz! Rozkazuję ci wycofać się z walki * rozległ się w słuchawkach głos pułkownika Geiera. * Słyszysz mnie, Schwarz? Przerwij walkę!

Jedyną odpowiedzią był trzask w słuchawkach. Kolejny T*34 zapłonął, a jego załoga wyskakiwała na zewnątrz przez właz desantowy tylko po to, by zostać bez litości skoszona serią pocisków z broni maszynowej. Wtedy szczęśliwy sowiecki strzał spowodował, że rozpadła się szpilka spinająca ogniwa lewej gąsienicy Tygrysa. Czołg zadygotał i zarył w miejscu. Schwarz w swoim szaleostwie natychmiast odpalił świece dymne.

* Na miłość Boską, Schwarz, zwiewaj stamtąd! * wrzeszczał w mikrofon Sęp, gdy opary zaczęły skrywad dogorywającego Tygrysa.

I Schwarz właśnie tak zrobił. Był jednak na tyle sprytny, że najpierw wypuścił swoją załogę. Zdjęci paniką czołgiści wyskoczyli poza zbawienną ochronę dymu i natychmiast wpadli na koncentryczny ogień

kilkunastu sowieckich erkaemów.

* Dupy w górę! Heil Stalin! * zaklął Schulze głosem pełnym gorzkiej bezsilności. * Dlaczego, do diabła, biegli taką gromadą?

Zaraz jednak skooczył narzekad, gdyż z dymu wyłonił się sam porucznik Schwarz. Czołgał się na brzuchu, w jednej ręce trzymał pistolet maszynowy, a z drugiej ściekała mu krew z głębokiej rany. Ostrożnie rozejrzał się na prawo i lewo, po czym zaczął przemieszczać się pod osłoną rozbitego sowieckiego działa szturmowego, wokół którego leżały porzucane ciała zabitej załogi. Pięć metrów, za chwilę już dziesięć. Wydawało się, że Schwarz ma szczęście. Podczas gdy Wotan zbliżał się coraz bardziej do ściany sowieckich pojazdów pancernych, von Dodenburg nadal nie mógł oderwad wzroku od małego

porucznika, który krył się w terenie jak wąż, aby znaleźć schronienie. Gdyby jemu się udało, to oni też mogliby pokonać Rosjan * pomyślał nieracjonalnie kapitan.

Jednak Sowietci go odkryli. Złośliwa seria pocisków pomknęła tuż nad ziemią. Schwarz zwinął się jak ranny robak, wyrzucając z siebie fontannę krwi. Niezdarnie próbował dostać się pod osłonę stalowego pancerza, podczas gdy u jego stóp ołowiane kule wzbijały fontanny ziemi.

* No, dalej! Jeszcze trochę! * Dodenburg słyszał własny płacz, a po plecach spływał mu pot strachu. * Na miłość Boską! Schwarz, zrób to!

Ale kolejna seria już przecięła plecy porucznika.

* Schwaaaaarz...! * zawył kapitan.

Ręce opadły porucznikowi wzdłuż ciała, a kolana się ugięły. Nie był już w stanie ustać. Pistolet maszynowy wypadł z pozbawionych czucia palców. Oficer powoli osunął się na ziemię. Dokładnie

w tej samej chwili pierwsza osiemdziesiątka ósemka Wotana zaczęła strzelad do Rosjan. Von Dodenburg już wiedział, że nie mogą wygrać tej bitwy.

Generał Alfred Jodl podawał szczegóły z zimną, aptekarską precyzją, podczas gdy Hitler, jego sztab i zebrani generałowie stali sztywno i słuchali informacji w śmiertelnej ciszy.

* Montgomery wysadził swoją 8. Armię,

o tutaj. Udało nam się już zidentyfikować XII

i XXX Korpus * obydwie znamy jeszcze z pustyni. Ten kowboj Patton tutaj osobiście wylądował razem z 7.

Armią.

Uśmiechnął się lekko, ale jego oczy nie rozjaśniły się radością.

* Nie ma wątpliwości, że zobaczymy go w następnej amerykańskiej kronice filmowej, która wpadnie w nasze ręce. Ten człowiek oczywiście ma oko na swój osobisty rozgłos.

Klepnął starannie wypielegnowaną dłońią w dużą mapę Sycylii.

* Zdobyli już Syrakuzy i bez wątpienia wkrótce dotrą do Geli. Z pewnością urzędzą pokaz razem z ruchem oporu na równinie Katanii.

Nawet nie próbował ukrywać pogardy dla kosztownych sojuszników włoskich.

* Daję Montgomery'emu tydzień. Jest tak powolny, że w Cieśninie Messyoskiej będzie dopiero w przyszłym tygodniu.

* Tak to wygląda * przerwał mu brutalnie Model, zbierając razem wszystkie myśli i wiadomości. *

Straciliśmy Sycylię.

Wcisnął mocno monokl w oczodół i spojrzał na Hitlera takim wzrokiem, jakby to on odpowiadał za całą sytuację.

* To oznacza koniec operacji „Cytadela”, prawda?

Hitler nie zauważył jego spojrzenia, gdyż przeszedł od razu do rzeczy. Nowe zagrożenie ożywiło jego umysł. Czuł się już staro.

* Dzięki nędznemu dowodzeniu Włochów utrata całej Sycylii jest równie pewna * powiedział. * Może jutro Eisenhower wylądować na Półwyspie Apenińskim lub na Bałkanach. Jeśli tak się stanie, cała południowa flankę europejską zostanie zagrożona. Muszę temu zapobiec.

Wolno podszedł do okna, otwierając i zwierając dłonie, rozważał problem, wążąc jedną opcję przeciwko drugiej. Stojący na zewnątrz strażnicy w czarnych mundurach czujnie rozglądali się wśród rosnących wiekowych jodeł. Wilczyca Blondi leżała rozciągnięta w cieniu, a wielki różowy jęzor zwisał jej z pyska, jakby próbowała złapać trochę powietrza. Pomimo

wczesnych godzin porannych było przeraźliwie gorąco.

Hitler szybko odwrócił się do generałów.

* Potrzebuję dywizji do Włoch, panowie. Jeśli nie można ich zabrad z innych miejsc, to trzeba zabrad je z Rosji.

* Kursk? * spytał szybko Model.

* Tak, generale, z Kurska. Ruszę 1. Dywizję Pancerną z Francji na Peloponez. Ale potrzebuję więcej pancernych jednostek bardziej na południu, wszędzie tam, gdzie Anglo*Ameryka*nie mogą uderzyd.

Muszę je w większości zabrad Hothowi, albo przynajmniej Korpus Pancerny SS. Oni są najlepsi.

* Byli * powiedział do siebie po cichu Jodl, który widział ostatni bilans strat.

Ale naturalnie nie pokazał go Fuhrerowi, który natychmiast dodał:

* Jodl, masz rozkazad, aby Korpus Pancerny SS wycofał się z walki.

* Ale to oznacza koniec operacji „Cytadela”, tak jak wcześniej stwierdziłem * upierał się generał Model, a jego twarz poczerwieniała bardziej niż zwykle.

Teraz Hitler zwrócił się w jego stronę.

* Tylko w chwili obecnej, Model * powiedział wódz i zacisnął ponownie pięści, a jego twarz zapłonęła ogniem, który pozwolił mu się kiedyś wyrwad z wiedeoskiej nędzy i stanąd na czele największego narodu Europy.

* Ale wrócimy tam, Model! Musisz mi uwierzyd * my tam wrócimy!

Jodl tylko westchnął i momentalnie zaczął się przygotowywad do wydania rozkazu odwrotu dla Korpusu Pancernego SS. W tym samym czasie Hitler i reszta generałów spoglądali na siebie w pełnej napięcia ciszy.

* Uwaga, dowódcy czołgów... uwaga, dowódcy wszystkich czołgów! * przedarł się przez zakłócenia radiowe głos Sępa. * Jeszcze raz mówię, wstrzymad ogieo! Panowie, chciałbym wam życzyd szczęścia!

Po raz pierwszy odkąd poznał Sępa, von Dodenburg wyczuł w jego głosie nutę emocji. * I dobrego strzelania!

* Dobrego strzelania! * prychnął Schulze, gdy krótkofalówka ucichła. * Potrzebujemy czegoś więcej niż tylko strzelania, żeby poradzić sobie z tymi pieprzonymi Iwanami!

* Przeszao kłapad dziobem! * skarcił go von Dodenburg, przyglądając się nadjeżdżającym sowieckim czołgom.

* „Srad” powiedział w dawnych czasach król i tysiąc tyłków się wypinało, ale wtedy królewskie słowo było jak prawo * mrucał pod nosem Schulze, ale sam również zaczął przyglądać się wrogim pojazdom.

W ich stronę musiała toczyd się chyba setka rosyjskich czołgów, tak przynajmniej pomyślał

von Dodenburg. A było to więcej wozów bojowych, niż mógł zebrać cały batalion Wotan po wczorajszych piekielnych walkach. Nie wiedział czemu, zaczął dyszed, gdy patrzył na ząbkowane ogniwa gąsienic, przyczepione do czołowych płyt pancernych nadjeżdżających T*34. Wszystkie one miały zamknięte włazy i były gotowe do walki, podobnie zresztą jak ich własne czołgi. W tej chwili ustawiano tylko dalmierze, sprawdzając ich namiary, i przygotowywano pociski do wystrzelenia, gdy tylko padnie rozkaz.

Spojrzał jeszcze przez peryskop na prawo i lewo, jakby sprawdzając wykonanie rozkazów dowódcy batalionu. Sęp ustawił pozostałe czołgi na znakomitych pozycjach. Przejął pozostałości kompanii Schwarza i kazał im stanąć nad grzbietem niskich pagórków, które osłaniały pancerze czołgów, co dawało im znakomitą pozycję obronną. 3. kompania otrzymała rolę ruchomego odwodu, który miał szybko wyjść na skrzydło rosyjskiego ataku. Jego oddział, sześć pozostałych Tygrysów, miał utrzymać centrum, zawierając wszystko grubym pancerzom czołowym, które miały wytrzymać koncentryczny

ostrzał wroga. A tak miało być, jeśli utrzymają Rosjan na dystans dzięki znakomitym, dającym przewagę nad wrogiem, armatom kalibru 88 milimetrów.

Ich obrona była znakomita, chociaż siły Sowietów, które przystąpiły do uderzenia, robiły przerażające wrażenie, nawet w porównaniu z wczorajszą ogromną liczbą czołgów. Nagle usłyszał zniekształcony strachem głos podporucznika, który dowodził 3. kompanią.

* Uwaga, wszystkie maszyny... uwaga, wszystkie maszyny! Wchodzę do walki. Dystans trzysta metrów... I życcie mi szczęścia!

* jego wołanie gwałtownie zamarło.

Von Dodenburg szybko obrócił obiektyw peryskopu. Pierwszy PzKpfw IV jadący po jego prawej stronie wystrzelił i nie trafił w cel.

* Głupi bękart! * wyrwało się kapitanowi.

* Powinien poczekad!

Ale Tygrys jadący obok feralnego PzKpfw IV uzyskał trafienie już za pierwszym razem i przez radio poleciały trzaskające od zakłóceń okrzyki radości. Jeden z T*34 podskoczył do góry i od razu zamienił się w kulę ognia.

* Chryste na krzyżu * jeszcze jeden!

* krzyknął Schulze przez komunikator wewnętrzny, gdy kolejny przysadzisty kształt przyhamował i zaczął

się z niego wydobywał atramentowy dym zasnuwający drgające od żaru powietrze. Jego załoga ewakuowała się tylko po to, by zginąć w lawinie kul wystrzeliwanych przez karabiny maszynowe.

Sowiecki dowódca, a sądząc po ilości atakujących czołgów, musiał być w randze generała,

zareagował natychmiast. Pozostawił z tuzin T*34, aby skrzyły w bok i pancerny w pancerny załatwiły porachunki z 3. kompanią, a z resztą maszyn ruszył naprzód, zwiększając prędkość. Rosyjskie pojazdy bojowe gnały przez step i podskakiwały rytmicznie w górę i w dół na znakomitym zawieszonym systemie Christie, strzelając bez przerwy. Dystans między nimi i czekającymi czołgami Wotana zmniejszał się błyskawicznie. Pięćset metrów... czterysta... trzysta pięćdziesiąt... trzysta.

* Chyba powinniśmy otworzyć ogień * zaczął von Dodenburg.

Jednak Sęp przerwał mu chłodno, znowu pozbawionym emocji głosem. Zdawało się, jakby wydawał spokojnie rozkazy w okresie pokoju na poligonie ogniowym, gdzieś poza Berlinem.

* Mamy zajęte takie pozycje, aby osłonić w terenie kadłuby pojazdów, von Dodenburg, a dopiero potem strzelaj według woli... Upewnij się, że nas nie oskrzydla...

Resztę jego słów przerwał brzęk dwóch pocisków przeciwpancernych, które uderzyły w pancerny i odskoczyły pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

* Ognia! * ryknął kapitan.

Pocisk armatni wystrzelił z potężnym hukiem. Tygrys zatrzęsł się, a rygiel zamka odskoczył, wypluwając w komory dymiącą, mosiężną łuskę. Znajdujący się dokładnie przed nimi T*34, który strzelał wcześniej do nich, zatrzymał się, jakby wpadł na olbrzymią, niewidzialną ścianę. Potem już nic się nie działo. Nikt z niego nie wyskoczył. Ale rosyjski czołg nadal się nie poruszał ani nie strzelał.

* Cholernie dobry strzał, Schulze * pochwalił sierżanta von Dodenburg. * Oby tak dalej!

Po czym podał ładownicemu kolejny błyszczący pocisk.

Schulze nie potrzebował zachęty. Na ich osamotnionego Tygrysa nacierało ze wszystkich stron sześć

T*34. Pot zalewał mu plecy, zamieniając koszulę w moką szmatę, ale on pompował pocisk za pociskiem w stronę atakujących sowieckich maszyn. Von Dodenburg rzucił przelotne spojrzenie na stojaki dla pocisków przeciwpancernych. Te błyskawicznie robiły się puste, a podłoga zapełniała się wystrzelonymi łuskami. Ale nie mogli teraz zrezygnować z walki.

Rosjanie prawdopodobnie by ich zniszczyli. Teraz teren przed nimi wypełniony był płonącymi sowieckimi tankami i ich załogi kryły się w wypalonej dookoła trawie albo ich trupy zwisały z włazów. Jednak pomimo kolosalnych strat wydawało się, że Rosjanom nie ma kooca. Pierwszy Tygrys wypadł z akcji, gdy jeden z T*34 zdołał objechać ich skrzydło

i strzelił od tyłu w koło napędowe niemieckiego czołgu.

* Trzymad się bliżej! * darł się w mikrofon radiostacji von Dodenburg. * Bliżej siebie, sukinsyny...

Chcecie, żeby wjechali między nas?

Dwa pozostałe Tygrysy osłaniające do tej pory skrzydło, zaczęły cofać się w stronę pozostałej trójki. Za późno! Trzy T*34 zwały się na niemiecki czołg zajmujący pozycję na lewym skraju. Sowieckie pociski kalibru 76 mm uderzyły w jego bok. Tygrys zakołysał się, jakby uderzył w niego huragan. Z jego boku zaczęła wypływać metaliczna lava. Języki ognia lizwały leniwie pokrywę silnika, po nich pojawił się gęsty biały dym. Ale von Dodenburg nie miał więcej czasu, aby obserwować trafiony czołg. Sowiecki dowódca spostrzegł swoją szansę. Pięć kolejnych T*34 odłączyło się od głównego strumienia radzieckich maszyn i z rykiem silników przejechały obok trzech czołgów, które zniszczyły skrzydłowego Tygrysa.

* Wszyscy, uwaga wszyscy! * wydzierał się desperacko do mikrofonu kapitan. * Skoncentrowad ostrzał

na tych T*34 po lewej stronie. Ognia!

Schulze, jak na dobrego żołnierza przystało, pierwszy zareagował. Od razu posłał trzy pociski w kierunku nadciągającego zagrożenia. Pierwszy nie trafił w cel, na szczęście pozostałe trafiły w pojazdy przeciwnika. Siedzący poniżej niego radiooperator strzelał z karabinu maszynowego. Załogi rosyjskich czołgów zostały ścięte jak zboże, nim odskoczyły od swoich maszyn na parę kroków. Ale sześć

pozostałych T*34 z chrzęstem gąsienic nadal gnało prosto na skrzydło formacji von Dodenburga. Kolejny Tygrys otrzymał trafienie i zniknął w imponującej kuli szaleoczo pomarańczowego ognia.

Pocisk musiał uderzyć w skrzynię z amunicją.

Kapitan przestał się już bać, teraz był po prostu wściekły. Nigdy nie czuł wcześniej takiego gniewu jak w tej chwili. Zły był na Rosjan, na niedoświadczone załogi, wojnę i na samego siebie.

* Hartmann * zawołał przez intercom. * Będziemy nacierać!

* Co? * zapytał zaskoczony były legionista.

* Słyszysz mnie czy masz wosk w uszach! Będziemy nacierać!

* Ale kapitanie!

* Jeżeli nie ruszysz tej metalowej suki w ciągu sekundy, to rozwalę ci ten głupi łeb i zajmę twoje miejsce!

Maszeruj albo zdychaj!

* No dobrze, lepiej maszerowad! * mruknął kierowca i „pomaszerował”.

Łącznik na motocyklu zawinął tylnym kołem pokrytej kurzem maszyny jak żuźlowiec i zatrzymał pojazd za czołgami Sępa czekającymi, by odeprzeć sowieckie natarcie.

Pochylił się nisko i pobiegł zygzakiem w stronę czołgu dowódcy batalionu.

Kolbą pistoletu maszynowego zastukał w klapę wjazdu, dokładnie w tej samej chwili, gdy sowiecki pocisk przeleciał z wizgiem nad jego głową.

* Otwórzcie! * krzyczał ze strachem, gdyż zagrożenie z każdą chwilą wzrastało. * Otwórzcie tę cholerną klapę od klozetu, słyszycie?

Wreszcie ktoś zareagował na jego walenie. Sęp ostrożnie wychylił głowę na zewnątrz. Zaraz potem wyłonił się Metzger.

* O co chodzi? * krzyknął Sęp.

Łącznik przyłożył ręce do ust, by przekrzyczeć narastającą kanonadę.

* Przesyłka ze sztabu dywizji! * wrzasnął, obserwując z niepokojem zbliżające się rosyjskie czołgi. * Tutaj!

Wcisnął kopertę w ręce pułkownika. Ten szybko ją rozerwał i przeczytał komunikat.

* W porządku! Daj mi formularz zwrotny. Nabazgrał kilka słów. W tym czasie nad ich

głowami przeleciało kilka następnych pocisków, więc celowniczy Tygrysa zaczął namierzać wroga.

* Masz! Tylko sprawdź, czy dotrze do rąk generała.

Łącznik chwycił kartkę z wiadomością.

* Tak jest, panie pułkowniku.

Odmeldował się i zeskoczył ze stalowej płyty pancerza. Nisko pochylony dobiegł do motocykla i jednym kopnięciem buta przywrócił jego silnik do życia. Chwilę po tym zniknął w olbrzymiej chmurze dymu i pędził tak, jakby go ścigała cała Armia Czerwona. Sęp dławiał śmiech, wyraźnie

zadowolony.

* Co się stało, panie pułkowniku? * spytał z niepokojem Metzger, nie mogąc oderwad wzroku od nadciągających sowieckich potworów.

* Mamy żyd, aby podjął walkę innego dnia, Metzger. Mamy się wycofać, i to natychmiast!

* Dzięki ci Boże za to! * powiedział Metzger z wyraźnym uczuciem ulgi.

* Tak, przynajmniej nadal będę mógł ścigać moje generalskie gwiazdki. Ci tłustodupi de*kownicy na tyłach nie zgarną dla siebie wszystkich awansów po wojnie. A teraz, Metzger, schowaj głowę, bo ci ją odstrzelą Rosjanie!

Oficer szybko wślizgnął się do wnętrza wieży i chwycił mikrofon.

* Zasłona dymna! * krzyknął w eter. * Stawiać zasłonę dymną i wycofywać się!

Nie trzeba było specjalnie poganiad wystraszonych, młodych dowódców czołgów. Rosjanie już prawie na nich wjeżdżali. Wzdłuż linii pojazdów niemieckich wyskoczyły w powietrze z lepkiem mlaśnięciem niewielkie pojemniki. Spadły na ziemię i po chwili zaczął się z nich wydobywać gęsty, czarny dym. Silniki czołgów z dudnieniem powróciły do życia, a kierowcy od razu wrzucali wsteczne biegi.

Sześćdziesięcotonowe kolosy zaczęły wyjeżdżać z płytkiej niecki, strzelając w stronę Rosjan na pożegnanie.

Tygrys podskoczył i zatrzymał się gwałtownie. Siedzący w głębi jego kadłuba Hart*mann darł się jak przestraszona baba.

* Deschner, panie kapitanie * miał na myśli kolegę radiooperatora siedzącego obok niego * on oberwał... Zerwało mu czubek głowy!

Przez chwilę von Dodenburg nie rozumiał, o co chodzi. W głowie dźwięczało mu jak w środku dzwonu, gdyż cała wieża wypełniona była dziwnym, metalicznym echem, które nie chciało przeminąć. Wtedy zobaczył oleisty biały dym, który zaczął wypełzać ze spodu pojazdu. Wieża szybko wypełniała się kwaśnym, duszącym oparem.

Oficer potrząsnął mocno głową i krzyknął:

* Z wozu... to pudło zaraz wybuchnie!

Potem w pobliżu rozległa się kolejna niszcząca eksplozja. Trafiony Tygrys zatrzęsł się niebezpiecznie.

Załogi sowieckich czołgów były pewne siebie. Przecież niemiecki czołg został poważnie

uszkodzony, a teraz wystarczyło go tylko dobić. Von Dodenburg siedział

skulony i mrugał powiekami w gryzącym dymie, próbując coś przez niego dostrzec w przedziale bojowym.

Deschner nadal siedział w foteliku, obejmując ręką uchwyt karabinu maszynowego, jakby miał za chwilę zacząć strzelać. Nie było tylko głowy. Leżała ona na zaśmieconej łuskami podłodze, ze słuchawkami na uszach i uśmiechem na ustach, który nie zdążył zniknąć. Ledwo powstrzymując wymioty, kapitan wspiął

się ponownie do wieży. Nic już nie mógł zrobić dla Deschnera. Hartmann już się ewakuował.

* Schulze! * zawołał, gdy pierwsze płomienie pokazały się wokół niego. * Wynoś się stąd, i to szybko!

Ciężki dym był dosłownie wszędzie. Wypełnił śmiertelnie groźnymi oparami wnętrza ich uszkodzonego Tygrysa. Oficer przecisnął się przez otwór włazu, przetoczył po panczerze i rzucił się w trawę na stepie.

Schulze, który uciekał z drugiej strony czołgu, zrobił to samo. Potem podmuch powietrza po wybuchu uderzył go w twarz. Gdzieś blisko zagrzehotał rosyjski karabin maszynowy. Obok niego trysnęły niewielkie fontanny ziemi wyrwanej uderzeniami kul karabinowych. Ledwo podniósł się z ziemi. Czuł się całkowicie wyczerpany. Teraz pragnął tylko rzucić się na spaloną ziemię, zamknąć oczy i pogрузić się we śnie,

zapominając o tragedii, jaka spadła na jego kompanię.

Zza ściany dymu wyłonił się Schulze. Miał czarną od brudu twarz, a z paskudnego rozcięcia nad prawym okiem ściekała krew. Za nim pojawił się Hartmann, który nerwowo walczył z pasem pistoletowym.

Wreszcie rozpiął jego zamek i odrzucił go z obrzydzeniem na ziemię.

* Co to znaczy, Hartmann? * spytał drżącym głosem von Dodenburg.

* Mam już tego dosyć... Pieprzę to * warknął Hartmann i od razu przypadł do ziemi, gdyż kolejny pocisk eksplodował w ich pobliżu.

Kapitan starł brud z twarzy i patrzył zaskoczony na kierowcę.

* Coś ty powiedział? * spytał w koocu.

* Słyszałeś... pieprzę to! Wszyscy to pieprzemy!

* Nie możesz tak gadać! To jest dezercja w obliczu wroga * protestował von Dodenburg. * Postawią cię za to pod ścianą!

W przypływie gniewu oficer nie zauważył, jak Hartmann puścił szybko oko do Schulzega.

* Niech sobie wezmą tę całą pieprzoną wojnę * powiedział były legionista, a w tym czasie Schulze skradał się za plecami dowódcy. * My już swoją mieliśmy! Nie widzisz tego?

Oczy Hartmanna z wściekłości omal nie wyskoczyły z orbit.

* Niemcy przegrały tę głównianą wojnę! Te jebane Iwany nas pobiły. Teraz niech każdy myśli o sobie. A jeśli jesteś sprytny kapitanie, to zrobisz to samo.

Ogarnięty gniewem oficer zaczął szarpad za kaburę pistoletu.

* Hartmann! * zagrział, starając się przekrzyczeć odgłosy sowieckiego natarcia, które jak stalowa fala docierało do linii czołgów Sępa. * Tyś chyba postradał rozum! To tylko jedna bitwa! Niemcy nie są skooczone, do tego daleka droga! Chryste, człowieku, jaki diabeł cię opętał, że tak...

Kapitan von Dodenburg nigdy nie dokończył tego zdania. To, co poczuł, było jak uderzenie cegły w tył

głowy. Płonący horyzont zadrżał, potem znieruchomiał i ponownie zadrżał. Oczy uciekły mu w głąb głowy i nagle przestały widzieć. Westchnął gardłowo, nogi ugięły się pod nim i rozjechały na boki. Stracił

przytomność.

Na szczycie wzniesienia górującego nad polem bitwy generał Rotmistrz opuścił lornetkę i pocierał

czerwone kręgi na policzkach, które odcisnęły gumowe osłony soczewek. Stojący obok niego komisarz polityczny nadal obserwował wycofujących się Niemców i dopiero po chwili odsunął lornetkę od twarzy.

* No, to Fryce uciekają * powiedział powoli, tak jakby chciał przekonać samego siebie, że to nie iluzja.

* Mówiliście, że tak będzie, towarzyszu Chruszczow * powiedział generał.

Ukrainiec się uśmiechnął.

* Wiem, ale ja sam do końca w to nie wierzyłem, towarzyszu generale * odpowiedział, nie kryjąc radości.

Rotmistrz też się uśmiechnął, chociaż nie lubił tego nieco prostackiego politruka. Tego wielkiego dnia nie mógł się na niego gniewać, chociaż niski grubasek bardzo często mieszał się w sprawy Naczelnego Dowództwa.

* I co dalej, towarzyszu Chruszczow?

Politruk machnął w powietrzu pulchną dłońią z okropnie brudnymi paznokciami w kierunku

wycofującego się batalionu Wotan. Ocalałe czołgi przejeżdżały przez sztuczną zasłonę dymną i z chrzęstem gąsienic oddalały się na południowy zachód.

* Pomaszerujemy na zachód, towarzyszu generale * obwieścił.

* A jaki będzie nasz następny cel?

* Cel? * przyszły dyktator komunistyczny powtórzył w zamyśleniu to kluczowe słowo. * Cel, towarzyszu Rotmistrow! To oczywiste, Berlin!

KSIĘGA CZWARTA

NADCHODZĄ JANKESI

Ci Amerykanie są wszędzie! Muszą się płodzić jak pieprzone króliki w tych swoich pieprzonych Stanach Zjednoczonych Ameryki!

Sierżant Schulze do majora von Dodenburga, 20 września 1943 roku

Pomalowany maskującymi farbami opel wanderer, który wiózł go z lotniska dell' Uba, zatrzymał się, aby przepuścić kolumnę niewy*rośniętych członków faszystowskiej milicji, którzy wzniecali kurz na drodze sfatygowanymi butami. Mizerni Włosi śpiewali:

Tutte le sere, sotto quel fanal Presso la caserna ti stavo ad aspettar... Con te Liii Marleen con te Liii Marleen.

Jednak nie czuło się entuzjazmu w ich ciepłych, południowych głosach, ale raczej cynizm i zmęczenie wojną. Duży spadochroniarz, który stał na straży przy wejściu do budynku dowództwa, splunął na ziemię, gdy tylko przeszli, nie kryjąc nawet pogardy dla włoskich sojuszników.

* Pieprzeni makaroniarze * von Doden*burg chrząknął, wysiadając z samochodu sztabowego.

Dopiero wtedy zwrócił uwagę na gwiazdki majora i czapkę z trupa czaszką, która spoczywała na obandażowanej głowie. Strażnik wyprostował się.

* Dzieo dobry, panie majorze * zawołał niemal radośnie, jakby był na paradzie.

Von Dodenburg przyłożył starannie dłoń do czapki.

* Dzieo dobry, kapralu. Ciekaw jestem, czy mi pomożesz.

Spadochroniarz stuknął służbiście obcasami butów. Jednak jego spadochroniarskie obuwie na gumowych podszewkach wydało kiepski odgłos na rozgrzanym asfalcie.

* Panie majorze!

* Szukam sztabu Batalionu Szturmowego SS Wotan.

* Ma pan na myśli grupę bojową Wotan * poprawił go strażnik z nosem, na którym były widoczne ślady złamania. * O tak, to przez skwer, a potem boczną uliczką, obok makaro*niarskiego pierdolnika.

Przepraszam, panie majorze, miałem na myśli włoski burdel.

Von Dodenburg uśmiechnął się trochę od niechcenia.

* Wiem, co to jest pierdolnik, kapralu. Dziękuję.

Ponownie dotknął dłonią czapki i trzymając się w cieniu domów, poszedł powoli w kierunku wskazanym przez spadochroniarza.

* Gówniane SS * mruknął do siebie strażnik i pokazał wyprostowany duży palec dłoni w obscenicznym geście. * Nadymane bękarty. Myślą, że z ich dupy codziennie wschodzi słooco!

Powoli, czując, jak pot kroplami spływa mu po krzyżu z powodu sierpniowego upału, von Dodenburg pokonywał trasę prowadzącą do nowej siedziby dowództwa batalionu. Wszędzie dookoła

spadochroniarze z korpusu powietrz*nodesantowego generała Studenta ryli nowe okopy. Najwyraźniej, pomyślał oficer, spodziewają się kłopotów. Nawet jeśli Amerykanie nie zrzucą desantu

spadochronowego na Rzym, to jest cholernie prawdopodobne, że Włosi zerwą „Pakt Stalowy” i przystąpią do wojny przeciwko niedawnemu sojusznikowi. Cokolwiek się stanie, pomyślał, gdy dotarł do zbawiennego cienia, który dawało wejście do siedziby sztabu Wotana i pokazywał dokumenty

wartownikowi z SS, batalion i tak wkrótce wejdzie do akcji, nawet jeśli Amerykanie czołgali się przez Półwysep Apenioski powoli jak leniwe robaki.

Metzger ubrany w letni mundur stuknął regulaminowo obcasami, gdy zobaczył von Dodenburga.

* Panie majorze, cieszę się, że pana znów widzę!

* Dziękuję, Metzger * spojrzenie oficera spoczęło na nowym odznaczeniu zdobiącym szeroką pierś podoficera. * Srebrny Medal za rany?

* Tak jest, majorze.

Podniósł do góry prawą rękę, którą okrywała czarna, skórzana rękawica.

* Tak mnie Iwany załatwili. Lekarze powiedzieli, że nigdy już jej nie użyję.

* Przepraszam, nie wiedziałem, Metzger * powiedział ze współczuciem.

* Nie ma problemu * odpowiedział sierżant z fałszywą skromnością. * I tak jestem szczęściarzem. To się zdarza żołnierzom, szczególnie, gdy wszyscy są przeciwko nam.

Von Dodenburg pokiwał potakująco głową.

* Tak, masz rację. Teraz wszyscy jesteśmy żołnierzami. Chciałbym zobaczyć się z dowódcą.

* Oczywiście, panie majorze! Ale najpierw wolałbym sprawdzić, czy pułkownik jest u siebie.

Metzger obrócił się szybko i zapukał głośno do drzwi. Czekał dosyć długo, po czym wsadził łeb za drzwi i zameldował dyskretnie.

* Major von Dodenburg * jego głos brzmiał niemal anielsko.

* Niech wejdzie za chwilę, Metzger * dobiegł chrapliwy głos zza drzwi.

Sekundę później z gabinetu wybiegł drobniutki, przecudnej urody podporucznik w mundurze włoskich strzelców alpejskich, który pomimo okropnego upału miał na sobie zawadiacko narzucony wielki brezentowy płaszcz. Skinął błyszczącą od brylantyny ciemną głową w stronę oczekującego oficera.

* Ciao! * mruknęła postać, ukazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby i pozostawiając po sobie delikatny zapach wody kolooskiej.

* Co to za zjawisko? * zapytał zaintrygowany von Dodenburg.

Metzger tylko pociągnął nosem.

* Ten zjadacz makaronu ma chyba o sześć zębów więcej niż którykolwiek ze znanych mi ludzi * chrząknął, ale nic więcej już nie chciał wyjaśnić majorowi.

Pułkownik Geier od razu poderwał się na nogi, gdy tylko von Dodenburg wszedł do jego gabinetu. Twarz miał chyba nadal lekko zaróżowioną, gdy obciągał poły munduru, jakby dopiero co go założył.

* Mój drogi von Dodenburg, jak to dobrze cię znowu widzieć. Gratuluję awansu!

* Dziękuję, panie pułkowniku.

* Jak tam twoja głowa?

* Coraz lepiej, tak przynajmniej mówią szpitalni cyrulicy. Ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czym wtedy dostałem. Dobrze, że miałem hełm na głowie.

Sęp zaproponował, aby usiedli.

* Wykonałeś kawał dobrej roboty. Faktycznie wasz czołg rozpadł się prawie natychmiast,

przynajmniej zgodnie z tym, co meldowali Schulze i ten drugi gość, co cię wyciągnął. Jeszcze minuta dłużej i odbierałbyś awans pośmiertnie.

* A sierżant Schulze, co z nim?

* Wydawało się, że został paskudnie ranny. Strasznie krwawił, przynajmniej wtedy, gdy cię przynosili.

Przenieśli sporo naszych ludzi do ambulansów, a potem wszyscy pojechali na tyły.

Gdy to mówił, grzebał dyskretnie przy rozporoku, który, jak zauważył von Dodenburg, był cały czas nie zapięty.

* Jest najprawdopodobniej w jakimś szpitalu bazowym, próbując namówić konowalów, aby go z niego wypuścili. A teraz, von Dodenburg, staram się wykorzystać każdego doświadczonego podoficera i oficera, który wpadnie mi w ręce, jeśli tylko zdołam postawić tę grupę bojową na nogi, nim Amerykanie dotrą do Rzymu.

Przerwał na chwilę, jakby dla nabrania oddechu.

* Przy okazji, Schwarz do nas wrócił, chociaż ma się codziennie meldować w szpitalu wojskowym numer dwa. Próbuje mu dopasować protezę. Dostał szczęśliwie, że Rosjanie odstrzelili mu lewą rękę. Inaczej nie mógłbym go przywrócić do służby.

* No, to miał rzeczywiście szczęście * stwierdził nieco ironicznie von Dodenburg.

* Schwarz będzie moim adiutantem. Dobrze jest mieć go z boku, gdyż dosyć szybko się rozrastamy. A tak dla ciebie to chciałbym, abyś przejął dowodzenie batalionem grenadierów pancernych w naszej grupie bojowej.

* Dziękuję, panie pułkowniku, Jak tak dalej pójdzie, to staniemy się dywizją, nim się zorientujemy *

dodał major ze śmiechem.

Sęp nie dołączył do tego wybuchu radości, tylko pozostał śmiertelnie poważny.

* Taki jest właśnie mój plan. A teraz posłuchaj, co musimy zrobić...

To, co później nastąpiło, było już tylko wyścigiem z czasem. Alianci wylądowali w Salerno. Mussolini, obalony dyktator Włoch, został schwytany, a potem odbity przez spadochroniarzy dowodzonych przez wcześniej mało komu znanego byłego porucznika z dywizji Das Reich, Otto Skorzeny'ego. „Pakt

Stalowy" oczywiście rozpadł się i jego spadochroniarze wkroczyli do akcji przeciwko byłym jednorazowym sojusznikom. W tym samym czasie Amerykanie wyrwali się z przyczółka pod Salerno i dotarli do Neapolu. Jednak z drugiej strony te ważne wydarzenia przeszły w zasadzie niezauważone w sztabie formującej się grupy bojowej Sępa.

Pewnej nocy pułkownik dopadł kapitana dowodzącego trzymającymi wartość spadochroniarzami, gdy ten popijał z podwładnymi. Młody oficer otrzymał patent skoczka spadochronowego jeszcze w 1941 roku, ale do tej pory nie wykonał jeszcze żadnego skoku bojowego. Sęp pracował nad nim całą noc.
A

następnego dnia rano zdeglustowany i skacowany oficer zgłosił się na ochotnika z całą swoją kompanią do grupy bojowej Wotan. Z pomocą młodego porucznika strzelców alpejskich Sęp zorganizował oddział, który miał z kompanii szkoleniowej wykraść Tygrysy, przekazane alpejczykom z włoskiego poligonu znajdującego się w pobliżu Rzymu. Nagle kolejnego poranka żołnierze Wotana, którzy właśnie wstali z łóżek, odkryli, że ich oddział stał się posiadaczem dziesięciu całkiem nowych Tygrysów. Przecierali oczy ze zdumienia, obserwując, jak ich spoceni oficerowie w pośpiechu usuwali z maszyn włoskie znaki taktyczne.

Schwarz został wysłany do głównego więzienia wojskowego Wehrmachtu w Torgau i powrócił z połową kompanii „ochotników”, którzy woleli służbę w Wotanie niż ponure mury więzienne czy przeniesienie do słynnego batalionu karnego numer 999. Jak tylko pierwszy z nich został schwytany przy próbie dezercji i osobiście zastrzelony przez Sępa,

reszta od razu ucichła i normalnie przystąpiła do wykonywania zadań.

Von Dodenburg osobiście udał się w górzyste rejony Włoch leżące na północ od miasta Bolzano i przywiózł pół setki nieokrzyszanych wiejskich chłopaków z Tyrolu, oficjalnie obywateli włoskich, którzy byli jednak Niemcami tak samo jak Fuhrer. Jednak gdy rozmawiali oni między sobą swym specyficznym dialektem, nie mógł zrozumieć ani słowa.

Nowa grupa bojowa szybko nabierała kształtu, chociaż słyszano więcej niż raz, jak Metzger skarżył się na tych „popapraoców z Legii Cudzoziemskiej” i „więziennych wyrzutków”. Rzeczywiście była to siermiężna zbieranina, a von Dodenburg dostrzegając podczas porannej musztry, że nie wykazywali oni takiego samego entuzjazmu i zaangażowania jak idealistycznie nastawiona młodzież, która wstępowała w szeregi Wotana w 1939 roku. Ci ludzie, spadochroniarze z rozbitych pułków, wojskowi kryminaliści i weterani przegranej operacji „Cytadela”, byli pozbawieni iluzji, wiary i lojalności poza wiernością samym sobie i grupie bojowej Wotan.

* Mój drogi von Dodenburg * komentował tę sytuację Sęp pewnego poranka, gdy udawali się na dwiczenia * zapożyczę frazę z wypowiedzi pewnego angielskiego generała, który pomógł naszemu marszałkowi Blticherowi

wygrać bitwę pod Waterloo. Nie wiem, czy boją się naszego przeciwnika, ale na Boga, mają mied piętra przede mną!

Major roześmiał się. Przed nim też „mieli pietra”. Ale czas uciekał. Dalsza rekrutacja została wstrzymana, podobnie jak szkolenia. Cała grupa bojowa przeszła na drugi stopień pogotowia. Szybko ci z nowych rekrutów, którzy wiedzieli, jak jeździć pojazdami mechanicznymi czy znali się na obsłudze armat, zostali przeniesieni do pododdziału czołgów, by uzupełnić braki wśród załóg

Tygrysów. Reszta znalazła się w batalionie grenadierów pancernych von Do*denburga. Jak zauważył Sęp pewnego popołudnia,

pocierając swój nos:

* Od tej chwili będą się sami szkolid. Ci, co przeżyją, będą wyszkoleni, a ci, którym odstrzeli ktoś łeb, będą okrutnym przykładem dla innych, że opłaca się dobrze wykonywać swoją robotę w SS.

Młodzi oficerowie musieli pogodzić się z taką opinią. Sytuacja w południowych Włoszech robiła się zbyt poważna, aby przejmować się takimi drobiazgami jak dwiczenia.

* A poza tym * lubił dodawać Sęp * wszyscy wiedzą, że Tommies i Amis nie potrafią walczyć. Pozabijają im oficerów i już latają po polu walki jak kurczaki z odrąbanymi głowami. Poza tym wieść gminna niesie, że alianci są pozbawieni jakiegokolwiek inicjatywy bojowej.

Ale pomimo słabego wyszkolenia żołnierzy z grupy bojowej von Dodenburg dwoił się i troił, aby zapewnić swoim grenadierom jak najlepsze wyposażenie. Wracał po nocach na kwaterę ślepy ze

zmęczenia, a kiedy z tego powodu nie mógł zasnąć, upijał się bezsensownie w jednym z oficerskich burdeli, jakich było pełno w dzielnicy czerwonych latarni, zwanej Mario di Fiori.

Gdy wreszcie któregoś dnia Anglicy z 8. Armii połączyli się z Amerykanami na wschód od Eboli i rozpoczęli ostatni etap szturmu na Neapol, Sęp zebrał wszystkich ludzi ze swojej grupy bojowej i oznajmił im, że następnego dnia rano wyruszają na spotkanie wroga. Von Dodenburg szybko przebiegł

wzrokiem po szeregu odzianych w szare mundury grenadierów. Wydawało się, że ta informacja nie zrobiła na nich żadnego wrażenia. Większość rekrutów miała pewnie kaca po opilstwie zeszłej nocy, a żyjący bez grzechu prości chłopcy z Tyrolu prawdopodobnie kompletnie nie rozumieli, o czym mówił do nich Sęp tym swoim urywanym, pruskim dialektem. A nawet jeśli rozumieli * pomyślał z lekkim

uśmiechem major * to ta wiadomość dotrze do ich płaskich mózgów dopiero za pół godziny.

Sęp stał na skrzynce amunicyjnej ustawionej na środku placu znajdującego się w wiekowych koszarach otoczonych stylowymi barokowymi budynkami. Wcisnął mocniej monokl i po chwili ponownie

zachrypiał:

* Ranek poświęćcie na pakowanie gratów. Reszta dnia jest wasza, tak samo jak i noc.

Uśmiechnął się jakby nieśmiało, ale jakoś nie znalazł zrozumienia wśród zgromadzonych.

Kątem oka von Dodenburg uchwycił błyszczącą kanarkowożółtą plamę. To w cieo rzucony przez wysokie cyprysy rosnące na skraju placu apelowego zajechał krzykliwie pomalowany sportowy fiat porucznika włoskich strzelców alpejskich. Kierowca kokieteryjnie pomachał ręką Sępowi, który

lekko się zawstydził i zaczął szybciej mówić.

* Możecie robić, co chcecie. Dwie rzeczy jednak * nie załapcie jakiejś francji. Będę to traktował jak przestępstwo do rozpatrzenia przez sąd wojenny i nie potrzebuję wam mówić, jak karane są w nim próby samookaleczenia w obecnej kryzysowej sytuacji. A druga kwestia * macie być o szóstej rano gotowi do wymarszu.

Teraz roześmiał się szeroko i dodał:

* Dobrych łowców i celnych strzelców. Rozejść się!

Metzger nadzorował oddziały opuszczające ogromny plac, a w tym czasie von Dodenburg usiłował

wypytać Sępa o dzienne rozkazy. Dowódca nie miał jednak dla niego czasu, a jego spojrzenie wbite było cały czas w porucznika o dziewczęcej urodzie, który siedział w jasno*żółtym autku.

* Lotario na mnie czeka * ledwo wybełkotał * a czasu jest niewiele, straszliwie mało.

Po czym ruszył szybkim krokiem, rzucając na odchodne przez ramię:

* Jeśli masz jakieś wątpliwości, spytaj Sch warzą!

Zadumany major podszedł do jednorękiego porucznika. Spojrzał na niego znacząco, ale nie dostrzegł w jego oczach nic poza szaleostwem.

* No to jak, Schwarz * zaczął rozmowę. * Jeśli dowódca może to zrobić, to my chyba też. Co powiesz, abyśmy się napili, a potem poszli na Mario di Fiori.

* Co tylko chcesz * odparł kaleka i uderzył drewnianą protezę w kaburę pistoletu * dopóki jesteśmy uzbrojeni, bo tym cholernym Włochom nie można ufać.

Von Dodenburg zaśmiał się.

* Ja zawsze jestem uzbrojony. Tylko jak idę na Mario di Fiori, to biorę trochę inny rodzaj broni, niż myślisz.

Po drodze do kwater natknęli się na Met*zgera. Ten zsalutował tak energicznie, jakby chciał wzbudzić się w powietrze. Prawa kieszeń kurtki jego munduru była wypchana bezwartościowymi lirami, którymi chciał

opłacić wdzięki dziewczyn z domu publicznego.

* Czy mogę się odmeldować, panie majorze? * ryknął w swoim ulubionym pruskim stylu.

Von Dodenburg spojrzał na niego z kpiącą powagą.

* Możecie odejść, sierżancie Metzger. Dobry podoficer nigdy nie jest poza służbą, szczególnie w

batalionie Wotan. Możecie więc w ciągu dnia objąć kancelarię grupy bojowej. Poza wszystkim będzie to od dzisiaj ciepła posadka, do tego niezwiązana z działaniami bojowymi.

Metzger wyraźnie poczuł się zawstydzony, ale nic nie odpowiedział. Gdy oficerowie odeszli na tyle daleko, że nie mogli go usłyszeć, zaczął gęsto przeklinać.

* Oficerowie, sram na nich! Banda alfonsów, pedałów i kozojebców; oni wszyscy tacy są.

I z tymi słowami wszedł do biurowego piekielka, aby spędzić w nim resztę długiego sierpniowego dnia.

Mario di Fiori tętniło życiem przepełnionym namiętnością i pożądaniem. Ciemnowłose włoskie prostytutki z obfitymi biustami leniwie kołysały biodrami, a ich chudzi alfonsi, ubrani obowiązkowo w przyciasne marynarki w prążki, nagabywali wszędzie mężczyzn w szarych mundurach, gdy ci głośno tupiąc, przechadzali się po brukowanych lub porośniętych trawą uliczkach w poszukiwaniu przygód. Tu i ówdzie stały długie kolejki przed drzwiami do oficjalnych wojskowych burdeli, które kiedyś były zarezerwowane tylko dla armii włoskiej, a w których nadal obowiązywały stare, niskie ceny.

Często naprzeciw nich stały równie długie kolejki nadzorowane przez podejrzliwych żandarmów o kamiennych twarzach. Stali w nich ludzie, aby dostać przepisane środki przeciwko chorobom

wenerycznym, które otrzymywali po wizycie w płatnych przybytkach miłości. Dlatego pchali się jak spragnione zwierzęta do cynkowych koryt wypełnionych roztworem nadmanganianu potasu i zanurzali w nich swoje penisy, aby pozbyć się wszelkich możliwych infekcji.

Dwóch oficerów SS dumnie kroczyło przez ten tłum, jakby go nie zauważali, i chociaż zwykli żołnierze zrzędzili na nich, to szybko schodzili im z drogi.

* Co zabawniejsze * właśnie mówił von Dodenburg, gdy skręcili za róg budynku i natknęli się na grupkę szeregowców otaczającą kilka kobiet * jest ona małą blondynką, czystą i schludną i nie tak spasioną jak przeciętne Włoszki.

Major nagle zamilkł i tylko jęknął. Rzadko kiedy udawało się zobaczyć brzydsze kobiety niż te trzy otoczone gromadą żołnierzy. Pierwsza była niewiele wyższa niż karzeł, twarz miała bladą jak śmierd, a rzadkie włosy przycięte tak krótko, jakby uciekła z klasztornej nowicjatu. Druga była monstrualnie gruba i do tego zezowata. Zaś trzecia była wyższa o głowę od samego von Dodenburga, a z prawej skroni sterczała jej narośl podobna do rogu nosorożca.

Ale to nie brzydota kobiet przyciągnęła uwagę oficera, lecz głos faceta, który zdawał się być ich alfonsiem. Gość ubrany był w źle dobrane cywilne ciuchy, stał do nich tyłem i zachwalał seksualne talenty swych trzech „klaczy”, jak nazywał je, mówiąc do roześmianych żołnierzy. Jednak nie można było z niczym pomylić jego portowego żargonu.

* Nazywam je Wiara, Nadzieja i Miłosierdzie * przemawiał stręczyciel. * Ta mała, nisko skanalizowana, nazywa się Wiara, ponieważ nie rozchyła nóg za pieniądze. Absolutnie! Co więcej,

mógłbym powiedzied, że jest jak instytucja dobroczynna, zabiera waszą sałatę tylko dlatego, abyście nie wydawali jej na demoniczne pijaostwa. A potem oddaje wszystko papieżowi * i to osobiście! A Nadzieja? Jedyne kobieta z poczwórnymi oczami. Jeśli wsadzicie głowę między jej bufory, a ona lekko je ścisnie, to pomyślicie, że jesteście głusi. Ma nadzieję, że któregoś dnia znajdzie faceta, który ma na tyle wielkiego zaganiacza, że nawet ona przeżyje dreszcz emocji.

Teraz ściszył konfidencjonalnie głos.

* Nie uwierzycie w to, ale ona nadal jest dziewicą.

* Schulze! * ryknął von Dodenburg, wreszcie odzyskując głos.

Naganiacz odwrócił się gwałtownie, jakby dostał postrzał w plecy. Cały czas miał wzniesiony do góry palec wskazujący, tak samo jak w chwili, gdy zachwalał swoje „podopieczne”. Gdzieś pozbył się rumieców na twarzy, a nad prawym okiem miał świeżą, jeszcze siną bliznę, ale nie można go było nie rozpoznać. To był na pewno Schulze.

Facet rozdziawił ze zdziwienia usta i wymamrotał.

* Niech gównem ozdobi świąteczną choinkę! Toż to kapitan von Dodenburg...

Schwarz udał się na górę po schodach razem z Wiarą. Schulze wziął głęboki łyk czerwonego wina, oblizwał

spierzchnięte usta i rozpoczął opowieść.

* To było tak, panie majorze. A tak przy okazji, gratulacje z okazji awansu.

* No, dalej Schulze * przerwał mu oficer * tylko bez wazeliny i wciskania kitu.

* Kiedy wyciągnęliśmy pana z Tygrysa, po tym paskudnym uderzeniu, które pan dostał w głowę,

zabraliśmy pana na punkt opatrunkowy, a potem postanowiliśmy się sobą zająć. Byliśmy we dwóch, ja i Hartmann. A kilka złotych dwudziestorublowek nam w tym zupełnie nie przeszkadzało, tylko pomogło.

Tak więc we trzech zostaliśmy wysłani pociągiem Czerwonego Krzyża do centralnego szpitala we Lwowie.

* Tam się właśnie obudziłem * powiedział von Dodenburg.

Ponad jego głowę dynamicznie skrzypiały sprężyny w łóżku, które było warsztatem pracy Wiary.

* Ale ciebie i Hartmanna już tam nie było.

* Nie, panie majorze. Widzi pan, zdecydowaliśmy, że możemy szybciej powrócić do zdrowia i

batalionu, jeśli odbędziemy kurację w Rzeszy. Wie pan przecież, jak to jest? Tak czy inaczej dotarliśmy do Monachium, gdzie podjęliśmy decyzję, że trzeba jechać dalej na południe. Lekarz, którego poznaliśmy w szpitalu wojskowym w Schwabing, doradził nam, że najlepiej na nasze rany podziała powietrze w Austrii, oczywiście jeśli chcemy wracać do jednostki. Wypisał nam skierowanie do ośrodka w Bad Ischl. Gdy byliśmy dzieło drogi od celu, zgubiliśmy trasę i znaleźliśmy się w kraju, gdzie na polach rośnie makaron, czyli w słonecznej Italii. Oczywiście chcieliśmy od razu wracać, ale stwierdziliśmy, że jeden dzieło w tę czy w inną stronę nie zrobi różnicy. Zawsze słyszałem, że Włochy to kraj wielkiej kultury. Czyż sam Schiller nie przyjeżdżał tutaj, a może ktoś podobny?

Spojrzał na von Dodenburga pytająco.

* Chyba Goethe * poprawił go oficer.

* No tak, wiedziałem, że to był jeden z tych starych pieśniarzy. Pomyśleliśmy, że co było dobre dla nich, będzie i dla nas.

Sprężyny w łóżku stojącym ponad ich głowami przestały trzeszczeć, za to na głowę zaczęły im się spadać z sufitu niewielkie kawałki tynku.

* No, dalej * poganiał go major. * Jak ta wycieczka w kulturę doprowadziła cię do twojej dzisiejszej profesji?

Wskazał znacząco palcem w górę.

* To przez Hartmanna. To zwykłe bydlę, jeśli wybaczy mi pan te słowa. Chcieliśmy zobaczyć statki w Genui.

* To znaczy, że wy, dwaj bandyci, chcieliście zdezerterować!

* Nie określałbym tego tak drastycznie, panie majorze. To po prostu miała być wycieczka do Hiszpanii w celu poprawy naszego zdrowia. Cały czas mieliśmy w głowach, by powrócić do naszej paczki, jak tylko będzie to możliwe. Przynajmniej ja tak uważałem. Hartmann to zupełnie co innego.

* Czyli?

Sierżant dotknął nowej blizny na czole.

* Tej samej nocy, gdy nawiązaliśmy znajomość z hiszpańskim skipperem, ten bękart walnął mnie w głowę. Byłem nieprzytomny

przez dwanaście godzin. Gdy doszedłem do siebie, to okazało się, że ten bydlak zniknął z moimi rublami.

* No dobrze. Ale dlaczego nie zameldowałeś o tym na najbliższym posterunku policji? * spytał ostro von Dodenburg.

* Wstydzilem się, panie majorze * powiedział sierżant i zwiesił lekko głowę. * Przede wszystkim chciałem trochę odzyskać siły i wrócić do oddziału, ale teraz z tym rozwalonym łbem nikomu nie jestem

potrzebny.

Von Dodenburg usłyszał, jak ciężkie buciory Schwarza stukają po rozchwianych schodach. Musiał szybko podjąć decyzję.

* W porządku, Schulze. Esesmanie Schulze, nie będziemy więcej mówić o twojej dezercji. Stracisz tylko swój stopień i wrócisz do oddziału jako szeregowiec. Wotan jest w tej chwili pełen łobuzów, więc jeden więcej nie zrobi różnicy.

Schulze szybko uniósł głowę, a oczy rozblęły mu jak dawniej.

* Nie będzie pan żałował, panie majorze! * krzyknął z entuzjazmem.

* Wiem, że nie będę, bo następnym razem staniesz pod ścianą przed plutonem egzekucyjnym. A teraz wypuść te swoje klacze na wolność i zaraz zgłoś się do batalionu. Jestem pewien, że sierżant Metzger bardzo się ucieszy, gdy cię znowu zobaczy.

* Tylko jedna prośba, nim odejdę, panie majorze.

* Co znowu? * spytał wyraźnie zniecierpliwiony oficer.

* Panie majorze * zaczął Schulze z dużym wahaniem. * Dziewczyny miały dobrze ze mną przez ostatni miesiąc. Myślę, że nie byłoby dobrze, gdybym je tak po prostu zostawił. Mam na myśli, że to nie byłoby fajnie, prawda?

* To twoja sprawa, człowieku!

* Myślę, że powinienem je trochę szturchnąć ostatni raz. Nie Wiare oczywiście, bo ta ma nadal mokry pokład po wizycie porucznika Schwarza. Ale dwie pozostałe * Nadzieję i Miłosierdzie. Rozumie pan, one mnie naprawdę kochają.

Tego major już nie wytrzymał.

* Schulze, ty chyba jesteś patologicznym idiotą! Zabieraj stąd tę swoją dupę do koszar, nim się rozmyślę i zastrzelę cię tu na miejscu!

Neapol płonął. Kilka mil od brzegu lądu zakotwiczyły alianckie pancerniki i ze swych szesnastocalowych dział zasypywały pociskami włoski port. Z nabrzeża nie było ich widać, ale za każdym razem, gdy Amerykanie strzelali, nad horyzontem unosił się gejzer dymu jak po wybuchu wulkanu. Ostrzał okrętowy wspierały dwusilnikowe Mitchelle, które zrzucały bomby nawet na najmniejszą wioskę leżącą przy autostradzie numer 6, strategicznie ważnej drodze wiodącej do Monte Cassino, a potem dalej do Rzymu.

Ale grupa bojowa Wotan była dobrze oko*pana. Grenadierzy pancerni von Dodenburga zajęli rozproszone pozycje po obu stronach drogi, gdzie kooczył się zakręt i biegła ona prosto do mostu nad rzeką Volturmo. Tam z kolei na prawym brzegu rzeki stały sprytnie okopane i zamaskowane Tygrysy Sępa.

Kiedy już Amerykanie zdobędą skrzyżowanie dróg i ruszą pewni siebie na północ, to tutaj właśnie spotka ich sroga niespodzianka.

Właśnie pierwsi strzelcy batalionu, który bronił do tej pory rozwidlenia dróg, docierali od ich pozycji.

Oczy mieli rozszerzone strachem, a na twarzach malowało się zwierzęce przerażenie. Wpadali do dołków strzeleckich i krzyczeli.

* Już idą... już idą. Są ich tysiące!

Nawet nie próbowano ich zatrzymad, gdyż byli załamani, przez co bezużyteczni. Poza tym po drugiej stronie mostu żandarmeria stworzyła posterunek kontrolny właśnie po to, by wyłapywad takich

spanikowanych piechurów. Na pewno zastrzelą kilku pierwszych uciekinierów, aby dad przykład tym, którzy nadejdą później. I tak się stało. Kilkunastu ogarniętych strachem piechurów przebiegło przez ich pozycje, porzucając w panice broo,

i stanęło chwilę później naprzeciwko swego przeznaczenia. Grenadierzy pancerni z lekko pobladłymi twarzami siedzieli w napięciu w swych okopach, przypominających wielkością doły na trumny i pozwalali bez przeszkód umykad uciekinierom.

Jeden z byłych spadochroniarzy splunął na sucho i pogardliwie zauważył:

* Typowa postawa piechoty wielkich Niemiec. Jeden pocisk wroga i już wszyscy mają mokro w szarych portkach.

Pięć minut później spadła na nich lawina amerykaoskiego ognia artyleryjskiego. Wydawało się, że alianci mają niewyczerpane zapasy amunicji. Ryli pociskami cały teren poza skrzyżowaniem w tę i z powrotem, jakby ich oficerowie ogniowi mieli nadzieję, że zaskoczą wroga w otwartym terenie. Ale nie dopadli go.

Grenadierzy von Dodenburga skryli się głębiej w wąskich dołkach, zwinęli napięte ciała do pozycji embrionalnej i czekali, aż gorące kawałki szrapnełi przestaną nieszkodliwie latać ponad nimi.

W koocu ostrzał się skooczył. Żołnierze ostrożne wystawiali głowy ponad krawędzie wykopów. Obraz terenu leżącego przed nimi zmienił się całkowicie, jakby setka gigantycznych kretów usypała setki kopców w jakiejś szaleoczej gorączce kopania. Von Dodenburg z niepokojem dopytywał się o straty.

Odetchnął z ulgą, gdy dowiedział się o sześciu zabitych i dziesięciu rannych.

* Zabitych złożcie na razie w leju po wybuchu, a ci ranni, którzy mogą chodzić, niech idą na tyły do sztabu oddziału * rozkazał, potem usiadł koło Schulzego leżącego obok MG*42 i czekał na dalszy rozwój wydarzeń.

Czas upływał nieskończenie wolno. Okolica przed ich oczami była cicha i spokojna. Nie było widać prawie żadnego ruchu, poza słupami dymu unoszącymi się ponad skrzyżowaniem.

* Wydaje mi się, że Amerykanie zrobili sobie przerwę na lunch i wypicie koktajlu mlecznego, widziałem to na przedwojennych filmach * powiedział bez troski Schulze, ścierając pot z twarzy.

* To fajna myśl, Schulze, ale coś mi mówi, że ci dżentelmeni z Ameryki jeszcze złożą nam wizytę, nim dzieło się zestarzeje.

* Może tak być * zgodził się posępnie były szeregowiec. * Tak może być.

Ale chwilę potem jego szeroka twarz rozjaśniła się.

* Czy opowiadałem panu kawał o biustonoszach, jakie wydają naszym „połowym materacom”?

* Nie * odpowiedział von Dodenburg, nie odrywając oczu od szerokiej doliny Voltur*no, która rozciągała się przed jego oczami.

* Nie i nie wierzę, że to kiedykolwiek zrobisz, Schulze.

* No, to w takim razie, jest pięć rodzajów

* małe, średnie, duże. Teraz idą, o święty Boże!

* przerwał dramatycznie, jakby chciał podkreślić swą wypowiedź. * A teraz... aż mnie plecy ze śmiechu bolą...

* Zamknij się! * rzucił krótko major. * Już tu są!

Potem krzyknął podniesionym głosem:

* Przekazad dalej * niech wszyscy przygotują broń. * Dżentelmeni z Ameryki przyszli nas odwiedzić!

Gdy grenadierzy pancerni szykowali broń do walki i ustawiali celowniki, ich dowódca obserwował

postacie w mundurach khaki, które ostrożnie wyłaniały się od strony płonącego skrzyżowania. Ludzie ci szli z karabinami uniesionymi do wysokości piersi i stawiali stopy delikatnie, jakby w każdej chwili spodziewali się, że w ich miękkie ciała może grzmotnąć ołowiana kulka. Major ocenił, że musieli to być zwiadowcy. Część z nich wdrapała się na nasyp białej od kurzu, podziurawionej szosy i czujnie ruszyła w stronę mostu. Teraz za ich plecami pojawiało się coraz więcej Amerykanów. Nagle pola i gaje oliwne znajdujące się po obu stronach drogi zapełniły się postaciami w zielonych mundurach. Było ich coraz więcej. Dziesiątki, setki, a potem już chyba tysiące.

Było ich tyle, że w zasadzie tworzyły zwarte linie.

* O cholera * wysapał leżący z boku Schulze, uniósł trochę wyżej lufę erkaemu i przycisnął mocniej jego twardą kolbę do ramienia. * Tam są chyba tysiące tych bękartów! Wszędzie Amerykanie. Muszą się płodzić jak króliki w tych Stanach Zjednoczonych pieprzonej Ameryki!

Von Dodenburg nic nie mówił. Nagle poczuł się straszliwie stary. Ile razy widział już podobne sceny: najpierw w Belgii, potem we Francji. Później Angole i Iwany, a teraz nowi chłopcy * Amerykanie.

* Mnożą się jak króliki * mrucał gniewnie Schulze.

Mogło tak być. Jakby na całym świecie nienawiść do Niemców przysparzała im coraz to nowych wrogów.

Można było zabić jednych, ale zaraz na ich miejsce pojawiali się nowi. Opanowało go nieodparte pragnienie, aby spojrzeć w twarze tych nowych wrogów, którzy przebyli tyle tysięcy kilometrów, aby zostać zmasakrowanymi na włoskiej równinie. Podniósł lornetkę do oczu, nastawił ostrość widzenia tak, aby przyjrzed się twarzom ludzi idących w pierwszym szeregu.

Byli wypoczęci, dobrze odżywieni i nie mieli zmarszczek. Większość z nich była bardzo młoda, jeden czy dwóch śmiało się i żartowało,

jakby ich natarcie było zwykłym spacerem, letnią przechadzką we włoskim słońcu. Wyglądało na to, że dla nich wojna to starcie maszyn, a nie ludzkich istnień. Popatrzył na nich ze strachem w duszy. Mieli niewinne twarze, nadal nietknięte zagrożeniem, brutalnością i okropnościami totalnej wojny. Przy nich poczuł się bardzo stary i bardzo rozgniewany.

Opuścił lornetkę na piersi. Jednym skokiem znalazł się na krawędzi dołka strzeleckiego i stanął tak, aby jego ludzie mogli go wyraźnie widzieć. Uniósł rękę, by za chwilę dać sygnał do walki. W tej chwili grenadierzy pancerni * kryminaliści, spadochroniarze, chłopcy z gór i weterani * patrzyli przez celowniki na beztrąsko zbliżających się wrogów.

* Witamy w Europie, Amerykanie! * zawył wściekły von Dodenburg i opuścił szybko rękę.

Schulze natychmiast nacisnął spust ogniowy MG*42. Karabin obudził się ze śmiercionośnym piskiem.

Białe i czerwone paciorki koralików przecinały płytką dolinę. Chwilę później cała linia obrony grenadierów rozblęła ognikami wystrzałów. Ołów z gwizdem zaczął przecinać powietrze. Amerykanie padali na ziemię z twarzami naznaczonymi strachem, bólem i zaskoczeniem.

Wotan rozpoczął nową wojnę z nowym wrogiem.

SPIS TREŚCI

KSIĘGA PIERWSZA

WIELKI PLAN

KSIĘGA DRUGA

OPERACJA „CYTADELA”

KSIĘGA TRZECIA

STARCIE GIGANTÓW POD KURSKIM

KSIĘGA CZWARTA

NADCHODZĄ JANKESI

Instytut Wydawniczy ERICA poleca książkę

TOTENKOPF

LEO KESSLER

Rok 1941. Front wschodni, operacja Barbarossa. Po niesamowitym zwycięstwie nad Francją w 1940 roku, Niemcy pozostają w stanie euforii, która udziela się także Batalionowi Szturmowemu SS WOTAN.

Hitler chcąc wykorzystać zapał narodu rzuca Wehrmacht do ataku na Rosję Sowiecką.

Ta kampania będzie inna niż poprzednie * okrucieństwo i bezwzględność przekroczą wszelką miarę * co szybko zauważą członkowie WOTANA walcząc zaciekle z radzieckimi żołnierzami i bezradnie obserwując zbrodnie popełniane przez bratnią dywizję SS TOTENKOPF.

BATALION SZTURMOWY SS to nowy cykl powieści ukazujący nieznane oblicza II wojny światowej.

Leo Kessler był czołgistą podczas II wojny światowej. Napisał kilkadziesiąt książek beletrystycznych i fachowych przetłumaczonych na wiele języków.

Instytut Wydawniczy ERICA poleca książkę

PUSTYNNNE PANTERY

Piekło Sahary

LEO KESSLER

Batalion Szturmowy SS WOTAN zostaje przerzucony do Afryki. Żołnierze mają za zadanie wsparcie AFRIKA KORPS i zdobycie Aleksandrii, która znajduje się w rękach Brytyjczyków.

Nieoczekiwanie ich plan zmienia się całkowicie. Generał Rommel, sławny Lis Pustyni, okazuje się niechętny nowo przybyłemu batalionowi i wyznacza mu samobójczą misję przez tysiące kilometrów pustynnego piekła...

Żołnierze WOTANA wiedzą, że nie czeka tam na nich nic dobrego, jednak nie zdają sobie sprawy, że wszystko może pójść aż tak źle...

BATALION SZTURMOWY SS to nowy cykl powieści ukazujący nieznane oblicza II wojny światowej.

Leo Kessler był czołgistą podczas II wojny światowej. Napisał kilkadziesiąt książek beletrystycznych i fachowych przetłumaczonych na wiele języków.

Operacja Cytadela, Kursk.1943